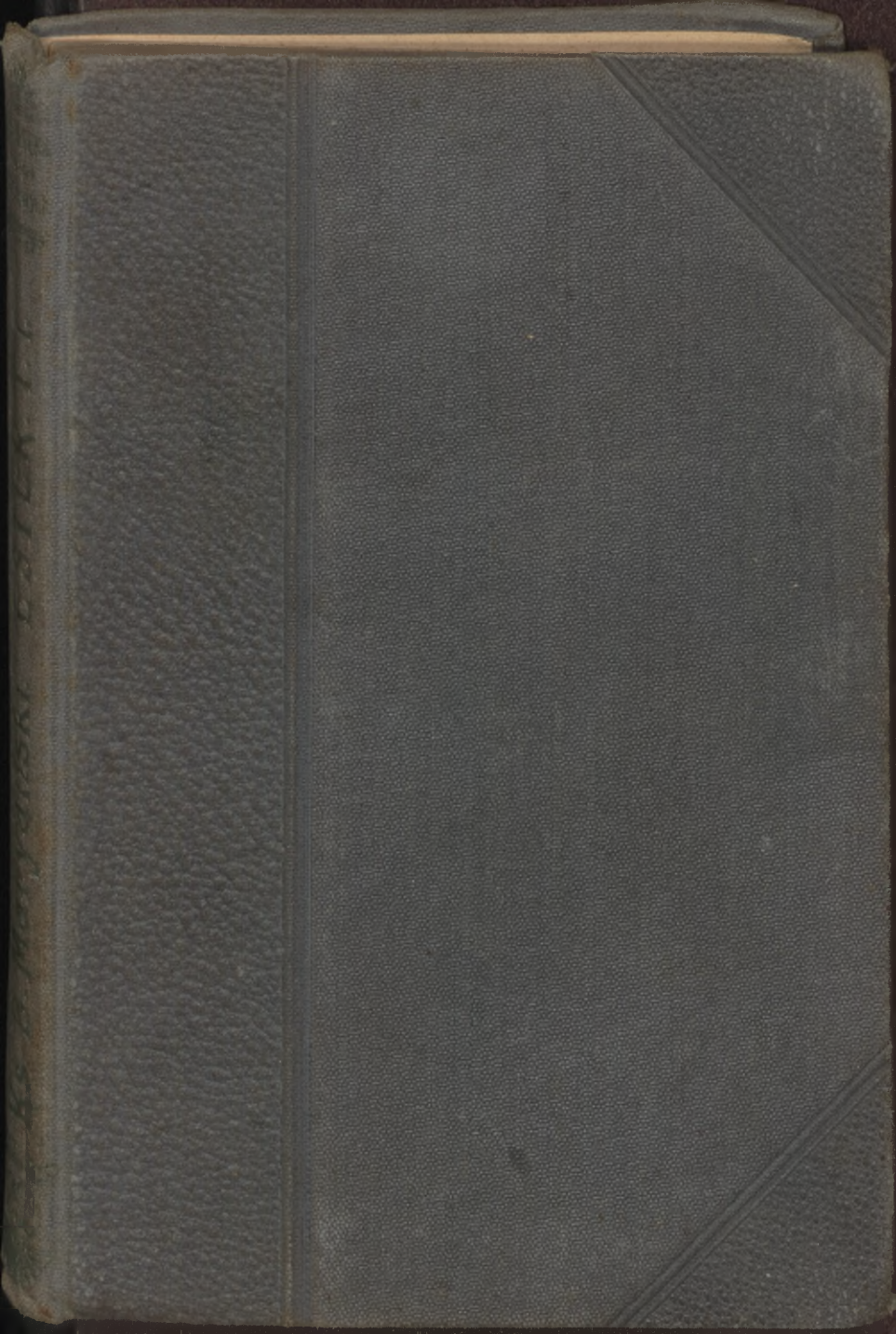




BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . . (52 tomy) rs. 10

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Za odnośnienie do domu 15 kop. kw.

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 8 kop —

Półrocznie. (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —

Kwartalnie (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670:
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 202.

ESTER

POWIEŚĆ Z CZASÓW NIEWOLI BABILOŃSKIEJ

przez

Ks. BOLESŁAWA MARYAŃSKIEGO.

——
TOM I.
——

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.

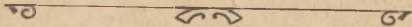
Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

—
1901.

ESTER.

Ks. BOLESŁAW MARYAŃSKI.



ESTER

Powieść z czasów niewoli babilońskiej.



TOM I.



WARSZAWA.

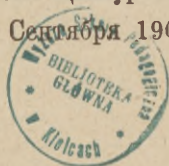
DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.

Варшава 26 Сентября 1901 года.



174038

I.

Mardochai źle przespał noc.

Trapiły go sny przykre, złowieszcze. Śniła mu się straszna burza. Widział niebo powleczone ciężkimi chmurami, które zionęły pioruny i błyskawice, wstrząsały ziemię ogłuszającym hukiem grzmotów. Wiatr wył, jak stado głodnych szakali, rwąc drzewa, wywracając domy i unosząc wszystko w powietrzu. Widział tłumy ludzi o twarzach białych, przerażonych, którzy, nie mając nigdzie schronienia, krzyczeli do nieba o zmiłowanie. Dwa straszne ogniste smoki stanęły naprzeciw siebie do walki i wołały na ludzi, ażeby mordowali sprawiedliwych. Powstało na ziemi okropne zamieszanie. Narody, uniesione jakąś wściekłą nienawiścią, miały się rzucić na siebie, aby się wzajemnie wygubić, gdy wtem wytrysło z pagórka małe źródło wody przejrzystej i popłynęło z szumem w doliny. Niebawem ze źródła utworzyło się ogromne jezioro, którego brzegi nikły w oddali. Zaraz też burza ucichła, słońce wyjrzało z za chmur, jasność oblała ziemię, smoki pierzchły, a ludzie weseli posiadali nad brzegami jeziora i złączyli się w bratnim uścisku.

Mardochai przetarł oczy, ziewnął głośno i usiadł na posłaniu.

— Coby ten sen oznaczał?—myślał, ziewając.— Chaldejczyk oblega Jeruszałaim, zguba nasza pewna.

Bo i któż nas wyrwie z ich rąk, skoro Jechoniasz król niedołężny?...

— *Negaim* ¹⁾ och, *negaim* narodowi, mającemu króla głupiego.

Westchnął ciężko i zaczął wstawać.

— Ale źródło?—myślał dalej.—Co ono znaczy? Czy jest, ktoby miasto ocalił? Dziwny, doprawdy, sen...

Wstał, nałożył *ketoneth* ²⁾ i wyszedł na dach.

Powietrze świeże owionęło go. W mieście było cicho, tylko gdzieś z oddali dolatywały głosy straży i koguty piały po domach. Wschodnia część nieba była czerwona.

Mardochai wszedł do *aljah* ³⁾, usiadł na ławeczce i zaczął się modlić...

Od bramy północnej doleciał go głuchy szmer z obozu nieprzyjacielskiego. Mardochai przerwał modlitwę, zgrzytnął zębami, splunął, rzucił przekleństwo i zstąpił do *hacer* ⁴⁾.

Poszedł do komórki, gdzie było mieszkanie niewolnic.

W przedsionku na słomianej macie spała snem twardym dziewczka służebna. Jej nagie piersi podnosiły się i opadały miarowo, a z półotwartych ust wydobywało się głośnie chrapanie.

Mardochai trącił ją nogą.

— Wstawaj, Sara, słońce już wschodzi.

Wstała leniwo i poszła mleć zboże.

Słońce już ozłociło baszty bram miejskich i dachy złocony świątyni Salomona. W mieście powstawał zwykły ruch. We wszystkich domach zaczynały się odzywać żarna i napełniły miasto głuchem, podziemnem warczeniem.

¹⁾ *Negaim* znaczy plagi, nieszczęścia.

²⁾ Długa szata (rodzaj koszuli), sięgająca do kolan, lub kostek.

³⁾ Altanka na dachu.

⁴⁾ Dziedziniec, rodzaj wirydarza.

Otwierano bramy, wychodzące na ulice, po których zaczęły się rozlegać głośne jęki i narzekania.

— *Wah! Wah! Szebuth!* ¹⁾.

Mardochai krew uderzyła do głowy.

— O miasto święte—mruknął—jesteś jako wdowa opuszczona!... I ty *chalal* ²⁾ wodzu izraelski, którego dzień zatracenia przyszedł!... O, biada nam, biada!

Przystąpił do cysterny, która się kryła wśród zielonych krzewów wpośrodku *hacer*, obmył twarz i ręce i, oparłszy się o słup, myślał.

Wojska babilońskie od kilku dni trzymały miasto w oblężeniu. Wiedziano już w całej Jerozolimie, że jak tylko przyjedzie do obozu Nabuchodonozor, natychmiast zostanie przypuszczony szturm do miasta.

Wiedzieli o tem wszyscy od małego dziecka do zgrzybiałego starca.

Z drżeniem więc witano każdy nowy dzień, bo mógł on być ostatnim dla ukochanego Jeruszałaim i dla ich wolności.

Po przebudzeniu się spoglądano posępnie na siebie, na swe mienie i na całe miasto, bo wieczorem może nic z tego nie zostanie, jedno gruzy i trupy.

Wschodzące słońce nie budziło radości i nadziei. Lepiej, żeby się już nie ukazywało na niebie, bo i cóż po dniu, który ma przynieść pożogę, rabunek, śmierć lub niewolę? Cóż po słońcu, które ma przyświecać mordom, łupieztwu, które ma patrzeć spokojne, uśmiechnięte, wesole na nędze, płacze, jęki, na drgania konwulsyjne? Lepiej niech dzień taki zamieni się na noc bez końca... Jozue zatrzymał słońce, by nie zachodziło, bo mu potrzebne było do zwycięstwa, Mardochai wstrzymałby je chętnie, aby nie wschodziło, bo pomoże do klęski, do hańby jego narodu.

Myśli te gnębiły go.

⁴⁾ Biada, biada, niewola.

⁵⁾ Plugawy, godzin śmierci.

Wolnym krokiem wszedł do izby, usiadł na niskim taborecie, ukrył twarz w dłoniach i zaczął zcicha zawodzić:

— O, biada ci, biada, Jeruszałaim! Biada, miasto święte. Biada ci, świątynio Boża! Stolico Dawida!...

Do izby weszła młoda niewiasta. Oczy czarne, załzawione zwróciła na Mardochai:

— Czemuś smutny, *iszi?* ¹⁾

— Jakżeż mam się cieszyć, kiedy wszyscy płaczą? Jakże mam się śmiać, kiedy godziny mej ojczyzny policzone? Jakże mam być wesół, kiedy wróg gotuje zgubę temu miastu?

— Już tyle dni smutki i płacze w mieście, kiedyż to się nareszcie skończy? — szepnęła *iszah* ²⁾.

— Skończy się, gdy nas miecz wroga przeszyje, lub gdy w okowach pójdziemy do niewoli.

Nastało milczenie; w przeciwnej stronie domu warczał kamień młyński, obracany silną ręką dziewczki służebnej; zdaleka dolatywał szum, jakby zbliżającej się burzy.

— Cóż biadać ustawicznie? — przemówiła wreszcie niewiasta. — Miejmy ufność, że Pan obroni nas od pogan.

Mardochai wstrząsnął głową.

— Bóg nas ukarał za grzechy króla — rzekł.

— Nie urągaj mu, *iszi*, to pomazaniec Boży.

Oczy zaśkrzyły się Mardochai.

— Pomazaniec!... — zawołał. — *Aric* ³⁾, zaprzaniec, którego zbrodnie wołają o pomstę do nieba! Obrzydliwością jego napełnione jest Jeruszałaim i całe królestwo Judy.

— Cóż on winien? On cierpi za grzechy ojca

¹⁾ Mężu mój.

²⁾ Niewiasta.

³⁾ Tyran.

i całego narodu, którego cnoty i mężstwo gdzieś się podziały, że ich dopatrzyć trudno.

— On grzeszył i jego ojciec, a naród karę ponosi — mruknął Mardochai.

— Kara z ręki Bożej — odrzekła *iszah* ¹⁾. Jeżeli zginiemy, to Bóg tak chce.

Mardochai przeszedł się parę razy po izbie, wreszcie stanął przed *iszah* i rzekł:

— Bezwątpienia, że kara z ręki Bożej. To też nie powstaje ja przeciw Bogu, jeno przeciw królowi, którego uczynki są złe!

— Prawdę mówisz — odrzekła *iszah*. — ale gdyby naród zachował cnoty ojców, gdyby nie podlił się w braterstwie z poganami, złe czyny króla nicby nam nie szkodziły. To też dziś, gdy nie umiemy odpędzić od miasta pogan, nie zwalajmy winy na króla, bo i jemu niesłodko, gdy Chaldeczyk przed bramą.

— Zapewne — rzekł nieco spokojniej Mardochai — ale cóż uczynił dotąd? Jak pomyślał o obronie? Zaufał faraonowi, że da mu pomoc, ale przyjaźń pogańska zawiodła go; a teraz co? Stracił rozum i odwagę, próżno oczekując zbawienia.

— Powinni poradzić coś starsi, trudno siedzieć z założonemi rękami.

— Mądra jesteś *iszah* — zawołał Mardochai. — Pójdę, dowiem się, co postanowiono, uczynię.

Przepasał się *hagorą* ²⁾, zarzucił na ramiona *simlę* ³⁾, to jest kawał płótna, obszyty nitkami różnobarwnemi, i wyszedł.

Chciał przedewszystkiem wiedzieć, co myśli dwór i przełożeni. Udał się więc wprost do *bet-hammelech* ⁴⁾.

¹⁾ Żona, niewiasta.

²⁾ Pas.

³⁾ Płaszcz.

⁴⁾ Pałac królewski.

Na ulicach było ludno i gwarno.

Tłumy błąkały się bez myśli, żadna praca ich nie zajmowała.

Twarze blade, wylękłe, oczy czerwone, chód niepewny, ruchy gorączkowe świadczyły, że stało się coś strasznego w życiu tego miasta.

Odgłosy maszyn wojennych, dochodzące od murów, przypominały ustawicznie, że nieszczęście zbliża się i rośnie.

Kobiety głośno płakały i zawodziły:

— *Elohim, Elohim, himelit!... didegia!... ¹⁾*

Te i inne westchnienia wydzierały się z piersi i napełniały powietrze. Mardochai słyszał je na każdym kroku; dolatywały go z góry, z dachów, słyszał je przed sobą, obok siebie, szły za nim, jak rój much brzęczących i rozdzierały mu duszę.

— Nieszczęście — szeptał, pnąc się pod górę przy ogrodach królewskich, w których miliardy różnobarwnego kwiecica nęciły oko i łechtały powonienie.

Te pstrokate łąny, nad którymi unosiły się pszczoły i inne owady, ocienione szpalerami cyprysów i drzew oliwnych, były w najzupełniejszym przeciwieństwie z usposobieniem Mardochai. To też, patrząc na ten kąt spokoju i rozkoszy, czuł się bardziej jeszcze przygnębiony i ponury.

Na dziedzińcu zewnętrznym *bet-hammelechu* zastał kilku starszych ludu, między którymi zauważył proroka Ezechiela.

Rozprawiali żywo, gwałtownie gestykulując.

Mardochai zaczął się przeciskać przez tłum do bramy. Wtem ktoś trącił go w bok.

Obejrzał się. Przed nim stał Aod, należący do rady miasta.

¹⁾ Boże, Boże, wybaw, udziel pokoju!

— *Szalom leda, Mardochai!* ¹⁾

— *Szeal leszkom, Aod ben Abiud!* ²⁾

— Cóż uradziliście?

— Nic.

— To mało. A cóż słyhać na *bet-hamelech*?

— Nic.

Mardochai zmarszczył brwi, gniewny, że starsi nie nie uradzili i że na *bet-hamelech* nie nie słyhać. Wreszcie rzekł:

— Mówisz, jakbyś żartował, a doprawdy, żartów tu być nie powinno.

— Ba, i cóż ci powiem, kiedy naprawdę nie nie wiem. *Melek* ³⁾ był śmiały, gdy nie było wroga, a dziś siedzi złamany, bezradny w *bet-jaar-ha-lebanon* ⁴⁾ i nie nie robi.

— Podatki nakładał i lud ciemieżył. a bronić się nie chce.

— Tak jest, Mardochai, lud umiał zdzierstwami męczyć, a teraz chce miasto poddać i sam się oddać na łaskę Nabuchodonozora.

— Słyszałeś? — zawołał Mardochai.

— To pewna, że tak uczyni. Cały dwór o tem mówi. A zresztą łatwo się tego domysleć, patrząc na marne przygotowania do obrony.

— *Kelalah!* ⁵⁾ — syknął Mardochai.

Wtem od strony *Bet-Elohim* ⁶⁾ rozległy się chrapliwe tony trąb i piszczałek. Powietrze zabrzmiało tą muzyką świętą, która spływała z góry Syońskiej, jak potok górski, wrzaskliwa, niespokojna, gwałtowna, a jednak wdzierająca się do serc, jako słodkie ukoje-

¹⁾ Jak się masz, Mardochai.

²⁾ Życze zdrowia, Aodzie synu Abiuda.

³⁾ Król.

⁴⁾ Dom lasu libanowego (była to sala w pałacu, ozdobiona mnóstwem kolumn cedrowych).

⁵⁾ Przekleństwo.

⁶⁾ Świątynia.

nie, jako nadzieja w miłosierdzie Boże, iż nie da na pastwę poganom miasta, w którego murach mieści się Jego świątynia, Jego dom chwały.

Gwar na dziedzińcu ucichł. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę świątyni, a z serc popłynęła w górę cicha, gorąca modlitwa o sprawiedliwość i miłosierdzie.

— Odprawiają *Ola tamid* ¹⁾ — zauważył Aod.

— Spóźnili się kapłani z ofiarą — mruknął niechętnie Mardochai.

— Nabi Jechezikel ²⁾ powiedział, że *Ola tamid* ustanie.

— Niech Pan odwróci nieszczęście!

— Czegośmy dożyli — biadał Aod — Zdawało się, iż pokój zapanuje przez dłuższy czas, że król powiększy wojsko, zaprowadzi ład, osłoni lud od zdzierstwa, a tymczasem on sam się przyczynił, niestety, do wojny, upadku i ucisku.

Mardochai zniecierpliwiony szarpnął go za *simlę*.

— Niczego się tu nie dowiemy. Wstąpmy na górę Moria, tam przynajmniej zobaczymy, jak postąpił nieprzyjaciół.

Poszli, mrucząc po drodze modlitwy.

Słońce wspięło się tymczasem wysoko i zaczęło prażyć.

Na górze Moria, w dziedzińcu świątyni, mnóstwo było modlących się. Na ołtarzu paliły się ofiary. Powietrze też było nasycone swędem palonego mięsa. Kapłani uwijali się przy swych czynnościach, a pracy mieli wiele, bo oprócz zwykłych codziennych ofiar, tak zwanych *ola tamid*, mieli inne, było bowiem wielu pobożnych, którzy przyszli złożyć ofiary i czekali na swoją kolej.

Na górze świętej jakby nie zwracano uwagi na

¹⁾ Ofiara codzienna.

²⁾ Prorok Ezechiel.

to, że miasto obleżone; tylko niewielkie gromadki ciekawych patrzyły na północ, gdzie były główne siły Chaldejczyków.

Kilkudziesięciu muzykantów stało na podniesieniu. Na przodzie stali śpiewacy; przed nimi na kamiennej posadzce umieszczono około dwudziestu chłopców w ten sposób, że głowy ich dotykały stóp śpiewających na podniesieniu lewitów.

Chłopcy śpiewali z dużej tablicy, na którą pilnie patrzyli.

Różnorodne tony instrumentów zlewały się w jeden potężny jęk, który napełniał powietrze rozdzielającym serce wołaniem o miłosierdzie. *Kinnory* ¹⁾ brzęczały smutno, jakby rój pszczoł, wypędzonych z ula. Wtórowały im *asory* ²⁾, *minnimy* ³⁾, jak monotonne skargi koników polnych. Jak szmer szumiącego lasu warczały *machole* ⁴⁾ i *szalinimy* ⁵⁾. Od czasu do czasu odzywały się płaczliwie *nablumy* ⁶⁾, których było najwięcej. Zagłuszały je *kereny* ⁷⁾ i *szofary* ⁸⁾ i *chacocerachy* ⁹⁾. *Tofy* ¹⁰⁾ wyły i brzęczały zawzięcie, a gdy huknęła potężnym głosem *magrapha* ¹¹⁾, powietrze drżało, ziemia się chwiała pod nogami, zda-

¹⁾ *Kinnor*, rodzaj arfy; był trójkątny, miał strun 12 do 24.

²⁾ *Asor*, lira o strunach, które szarpano piórem.

³⁾ *Minnim*, rodzaj skrzypiec; grano na nim smyczkiem, ale nie ciągnąc, tylko uderzając o struny.

⁴⁾ *Machol* i ⁵⁾ *szalinym*, rodzaj violi di gamby, albo wioloneczeli i kontrabas.

⁶⁾ *Nablum* albo *nebel*, rodzaj liry. Między lewitami był cały oddział, który na nich grał.

⁷⁾ *Keren* i ⁸⁾ *Szofar*, trąby w rodzaju waltorni lub puzonu.

⁹⁾ *Chacocerach* wyglądał jak trąba.

¹⁰⁾ *Tof*, bęben z dzwoneczkami.

¹¹⁾ *Magrapha*, podobna do olbrzymiej kobzy; nadymano ją dwoma miechami. Gdy na niej zagrano, ludzie w Jerozolimie rozmawiać nie mogli. Były jeszcze *Chilil*, *nekubim* (piszczałki) i t. d.

wało się, że wszystko runie dokoła, jak niegdyś runęły mury jerychońskie. To też ludzie bledli, nie mieli, czuli się nader maluczkimi wobec głosu tej trąby, która ryczała, jako znak potężnego Jehowy, dla którego igraszką było zmiażdżyć zastępy wraże, co otoczyły dokoła Jeruszałaim.

Mardochai z Aodem uchyłili czoła przed niewidomym Jehową i spojrzeli w stronę góry Oliwnej, która usiana była namiotami, jakby chcieli się przekonać, czy poganie nie pierzchają na głos straszny *magraphy*.

Ale muzyka przycichła, tylko płakały rzewnie *nablumy*, a na tle tego płaczu srebrne głosy dziecięce, podtrzymane męzkim głosem lewitów, wyjęczały:

Halleluhu... bigborathaw...

Halleluhu... bethekath szopharoth... ¹⁾

I zaraz odezwały się głosy wszystkich instrumentów i zagłuszyły śpiew.

Aod uśmiechnął się gorzko, patrząc na jednego z tych małych śpiewaków, którego czarne oczy, zwrócone na tabliczkę, błyszczały w słońcu, jak dwa węgielki, a włosy rudawe lśniły złotym blaskiem.

Był to jego syn jedyne, Aminadab; jego pociecha, jego przyszłość, jego wszystko. Co się z nim stanie jutro? Co się z nimi wszystkimi stanie? Może poganin uderzy jak jastrząb w gromadkę niewinnych gołębi, pomorduje, albo do niewoli zapędzi?

Zaburzyła się krew w Aodzie, pociągnął Mardochai i przeszli na północny stok góry Moria.

Na lewo piętrzyła się góra Syon. Słońce, odbijając promienie od jej boków, prażyło coraz bardziej.

Na Syonie, pod murami zamku, w dolinie, na

¹⁾ Chwalcie Go za wielkie czyny,
Chwalcie Go odgłosem puzonów.

moście, łączącym Syon z górą Moria, pełno było ludzi: mężczyzn, kobiet, dzieci.

Na prawo przed nimi sterczała góra Oliwna, usiana w tej chwili białymi namiotami, zarojona żołnierzami, połyskująca zbroją i orężem.

Nad potokiem Cedron, który cicho szemrał ukryty w cieniu góry Oliwnej, przechadzały się różne zwierzęta obozowe.

Na murze, oddzielającym Moria od doliny Jozafata, i na zamku Ophel połyskiwały hełmy i długie kopie. Ale żołnierzy izraelskich była garstka w porównaniu z zastępami wrogów, którzy za murami zalegli wszystkie wzgórza i wąwozy. Nie widać było końca tego morza namiotów, machin, zwierząt i ludzi.

Na północy między górami Golgotą i Oliwną były zebrane główne siły.

Tam przygotowano setki machin wojennych. Z tamtej strony będzie główny atak.

Mardochai z Aodem widzieli, jak po dwudziestu żołnierzy dźwigało ogromne belki, okute żelazem, jak dalej ustawiano tarany, w których belki, osadzone na rusztowaniu, poruszały się za pomocą lin. Widzieli, jak ustawiano na kołach tarany ruchome, które można było swobodnie przesuwąć z miejsca na miejsce. Machiny te zabezpieczone były olbrzymimi puklerzami ze skór wołowych lub grubego sukna, zagiętymi u góry, ażeby osłonić je od ciężkich pocisków. Na wierzchu ich były zrobione kopuły lub półkopuły, które zakrywały miejsca przytwierdzenia lin, służących do poruszania belki. W tych kopułach siedzieli łucznicy, niepokojąc bezustanku obleżonych i przeszkadzając im podpalać maszyny.

Maszyny już były gotowe.

W niektórych miejscach żołnierze rozkopywali pagórki, równali wąwozy, gdzieś ukladali nawet bruk kamienny, aby łatwiej można było przystawić maszyny do murów.

Na wszystkich wzgórzach, okalających miasto,

w dolinach, wąwozach, gdzie spojrzeć, widać było gorączkową pracę.

Dokoła murów zwartym pierścieniem stali procarze i łucznicy, którzy ani chwili nie dawali spokoju obleżonym.

Szli oni do ataku w parze z kopijnikami, ukryci we dwóch za wielką tarczą, splecioną z łożyny. Kopijnik niósł zwykle ten puklerz, niby szaniec ruchomy, i osłaniał nim siebie i swego towarzysza. Gdy się zbliżyli do muru na kilkadziesiąt kroków, kopijnik ustawiał odpowiednio tarczę, a łucznik zaczynał strzelać.

Łucznicy izraelscy z baszt i poza zrębu muru odstrzeliwali się, jak mogli.

Tymczasem inne oddziały nieprzyjacielskie pod osłoną strzał pełżyły do bram, by je wywalić lub zapalić. I tu właściwie była walka prawdziwa.

Nieprzyjaciel najbardziej nacierał na bramę Emath. Żołnierze, zasłonięci tarczami, poruszali się jak żółwie i starali się zrobić wyłom w fundamentach, ale dotąd byli zawsze odpierani.

Lecz nie jest to właściwie walka, to tylko wypróbowanie sił wzajemnych i umęczenie obleżonych.

Atak prawdziwy zostanie wtenczas przypuszczony, gdy się skończą przygotowania i gdy przyjedzie Nabuchodonozor.

Obleżeni, patrząc na te niezliczone zastępy nieprzyjacielskie, na straszne maszyny, na przygotowania, upadali na duchu.

Mardochai zacisnął zęby i rzekł:

— Nieprzyjaciel wszystko przygotował, a my czekamy z założonemi rękoma.

— Przecież żołnierze stoją na murach, gotowi do walki — mruknął Aod.

Mardochai zaśmiał się boleśnie.

— Dziś gotowi do walki, a jutro do ucieczki.

— Czegoż chcesz?

— Piękne mi przygotowanie. *Isz-hail* ¹⁾ z procą lub łukiem na murze. Ładna będzie obrona, gdy przystawią maszyny.

— Widzisz przecie na murze kamienie i belki — zawołał Aod, który, choć widział, że Mardochai ma słuszość, jednak gniewny, sam nie wiedząc na kogo i za co, miał dziwną chęć pokłócić się z kimś.

— Parę kamieni — biadał Mardochai — i kilka belek, to na lisy, ale nie na wojsko Nabuchodonozora.

— Cóż więc?

— Et — machnął ręką — nie ma co mówić.

— Skoro *melek* postanowił miasto oddać dobrowolnie, to niepotrzebne przygotowania.

— Wojnę wywołał — wrzasnął Mardochai — a teraz bić się nie chce.

— Szalom, Mardochai — zawołał człowiek, biegnący od strony Syonu.

— Szalom, Jefte, co się tak śpieszysz?

— Szukam cię po całym mieście.

— Co się stało?

— *Melek* podobno chce się poddać dobrowolnie; nie myśli o obronie. To jest niegodziwe. Postanowiliśmy więc zebrać się dziś na radę. Twój dom obrano za miejsce zgromadzenia.

— To dobrze — odrzekł Mardochai — chętnie przyjmę was u siebie; ale o czemże radzić będziemy?

— O obronie ojczyzny. Na *bet-hamelech* postanowiono się poddać, skoro tylko Nabuchodonozor przybędzie do obozu.

— Tak postanowiono?

— Tak mówią. Nabi Echezikel sprzeciwia się temu i kazał gotować się do obrony. On też zwołuje na radę starszych ludu, bo lepiej zginąć, niż iść do niewoli.

¹⁾ Żołnierz.

— Przedziwna mowa twoja, Jefte — zawołali Aod i Mardochai.

— Przyjdź i ty, Aodzie, i zwołuj wszystkich, którym na sercu leży obrona miasta—rzekł Jefte, odchodząc.

Mardochai rozstał się z Aodem przy bramie Beniamina i wrócił do domu.

Słońce rzuciło ostatki promieni na złocony dach *Bet-Elohim* i zapadło za dwiema machinami, ustawionymi na wzgórzach za bramą Efraima.

Mardochai odmawiał na dachu modlitwy wieczorne. Służba ustawiała w *hacer* niskie ławeczki. Przy cysternie pod drzewami oliwnymi rozpostarto dywany i poduszki, zaciągnięto płótno z wierzchu. Drzwi od ulicy zamknięto na zasuwę i postawiono przy nich odźwiernego.

Mardochai wzdychał ciężko. Myśli jego przeniosły się w przeszłość do tych świetnych czasów, kiedy naród *heber* ¹⁾ był potężny, kiedy hołdowały mu ludy okoliczne. Stanęli mu w pamięci Saul i Dawid, którzy prowadzili wojska do zwycięstw, i tak się zanurzył w tych myślach, że zapomniał o teraźniejszości, zapomniał o Chaldejczykach i o tem, że w domu jego ma być zebranie *sarai* ²⁾, przedniejszych *ish-hail* ³⁾ i *gedolim* ⁴⁾, którzy nie myślą iść dobrowolnie do *szebuthim* ⁵⁾.

Kołatanie do drzwi wywiodło go z zamyślenia.

Zstąpił prędko z dachu, ażeby spotkać przychodzących w przedsionku.

Niebawem zapełnił się *hacer*. Na środku paliło się ognisko i parę *neroeth* ⁶⁾. Goście starsi i prze-

¹⁾ Naród hebrajski.

²⁾ Książęta

³⁾ Żołnierzy.

⁴⁾ Przedniejsi.

⁵⁾ Niewola.

⁶⁾ Lampy, kaganki

dniejsi siedzieli na taboretach, młodszy stali przy ścianach. Wszyscy przejęci byli jedną myślą: ponieść życie w obronie miasta.

— Podobno Nabuchodonozor przybył do obozu— ktoś się odezwał.

— Zkąd ta wieść? — pytano.

— Mówiono, że dziwny ruch panował przed wieczorem między poganami i wywieszono znak królewski na Golgocie, a wszystko wojsko wydawało okrzyki.

Wiadomość ta przeraziła zgromadzonych.

Jeżeli bowiem Nabuchodonozor naprawdę jest w obozie, to nie będzie zwlekał z atakiem, bo wszystko gotowe, gdy tymczasem oni zgromadzili się dopiero na radę, jak przygotować środki do obrony i jak przeciągnąć wszystkich na swoją stronę.

Zanim więc zdążą coś obmyśleć, Jerozolima może być zdobytą. Albo też król każe swojemu wojsku złożyć broń i otworzyć bramy.

Położenie było tem przykrzejsze, że nie można było sprawdzić, czy wieść o przybyciu Nabuchodonozora jest prawdziwą.

Głuche milczenie zapanowało wśród zgromadzenia. Każdy czuł się bezradnym, bezsilnym; nikt nie śmiał ust otworzyć.

Wreszcie powstał prorok Ezechiel i rzekł:

— Mężowie bracia! Wiadomo, że Jechoniasz czyni złość przed Panem według wszystkiego, co był czynił ojciec jego Jojakim, który, wyniesiony na stolicę Dawidową przez Nechao, króla Egiptu, na miejsce wybranego przez naród Joachaza, który umarł w niewoli w Egipcie, uciskał nas podatkami ciężkimi, a pieniądze te szły w części na rozpustę, w części zaś do Egiptu, jako opłata za kupioną koronę. Uciśkał też lud roboczną, zmuszając do pracy przy budowie. Oczy jego i serce były na łakomstwo i na rozlanie krwi niewinnej i na potwarz i na bieganie do złych uczynków... Zdeptał święte prawo Mojżesza

i sprowadził bałwany syryjskie, perskie i egipskie. Głowski prawdy i prawa był nienawistny... Uryasz schronił się przed zapalczywością jego do Egiptu, ale słudzy królewscy sprowadzili go ztamtąd i niecie zabili. Jeremiasz i Baruch również na obcej ziemi szukali schronienia... Bóg też podał go w ręce Nabuchodonozora!

Zamilkł.

Oczy zabłysły mu blaskiem złowieszczym. Podniósł głowę do góry, ręce wyciągnął przed siebie i piorunującym głosem zawołał:

— Niewola was czeka!...

Obecni przerażeni wstrzymali oddech; każdy słyszał bicie swego serca.

Ezechiel zaś ciągle patrzył do góry. Oczy mu pałały, twarz była blada, drżał na całym ciele.

Zaczął mówić głosem przyciszonym, który się wzmagał w miarę, jak mówił:

— Oto lud idzie ze Wschodu; wielki naród wyszedł z wnętrzości ziemi; mają oni łuk i tarczę; łamią i rozdzierają bez litości, ich szum podobny do szumu bałwanów morskich, siedzą na koniach, uzbrojonych na wojnę...

Tu zaczął krzyczeć:

— Biada nam, biada! Rozdrapią nas!... Krzyk strachu słyszeć od Danu, lęk dochodzi nas z gór Efraim!... Powiedzcie w Jeruszałaim, że stada szarańczy pędzą na nią!... Widziałem kraj, kraj spustoszony...

Głos jego przeszedł w okropny jęk:

— Widziałem góry: drżą! Pagórki spychają się ze strachu... Patrzyłem wszędzie: niema już ludzi... pustynia... Ptaki niebieskie odleciały... Lud daleki, straszny przyszedł do nas. Kołczan jego—nasz grób; jego żołnierze mocni wszyscy... Oni zjedzą wasz chleb, wasze żniwo, wasze dzieci, wasze woły, wasze figi i wasze winnice...

Zamilkł.

Nad głowami słuchaczy cicho szeleściło rozpostarte płótno; trzaskały głośnie na ognisku i skwierczała oliwa w *neroth*.

Prorok powiódł oczyma po zgromadzonych i zawołał:

— *Szebuth-Szebutkim* ¹⁾... Niewola! Nie chcę niewoli! Niech zbieleją tu kości moje, wypalone słońcem ojczystem; niech tu wsiąknie krew w ziemię rodzinną, byłem był wolny; niech tu umrę na gruzach mego miasta, byłem nie szedł jako baran pędzony do niewoli.

— Amen, amen!—zawołali obecni.

Prorok zaś, wzniosłszy oczy i ręce do góry, mówił:

— O Adonai! Ratuj nas od pogan! Nie odbieraj nam ojczyzny; a jeśli zasłużymy na Twe ukaranie, obróć nas w prochy, ale daj wolność!

— Amen, amen!—wołano z zapalem.

Prorok usiadł i zaczęła się rozprawa żwawa, burzliwa, namiętna. Jedni chcieli walczyć, inni czekać aż król ogłosi swoje zamiary, inni odłożyć postanowienie ostateczne do jutra.

Czasami zdawało się, że wybuchnie bójka zacięta. Trzeba było zbyt burzliwych łagodzić i uspakajać. Były chwile, w których wszyscy krzyczeli, a nikt nikogo nie rozumiał.

W końcu postanowiono nie słuchać króla, ale stanąć w obronie miasta.

Jutro, skoro jutrenka zabarwi niebo, a kogut powtórnie zapieje, jedni mają stanąć na murach, inni iść między lud i namawiać do walki, inni udać się do *bet-hamelich*. Każdy miał wyznaczone zajęcie i stanowisko.

Było już po północy, gdy się rozeszli. Żaden nie udał się na spoczynek, bo i czasu nie było i wa-

¹⁾ Niewola.

żne, a niewesołe myśli odpędzały sen z powiek. Bo łatwo wymówić „obrona ojczyzny”, lub „śmierć za ojczyznę”, ale jakie uczucia musiały przygniatać tych ludzi, gdy się widzieli w szczupłej garstce przeciw niezliczonym zastępom, z którymi walka nie na zwycięstwo, ale na śmierć pewną.

Każdy więc szedł do domu przygnębiony, aby wydać rozporządzenia odpowiednie, pożegnać się z ukochanymi i podążyć na wyznaczone mu stanowisko.

Mardochai wszedł do izby kobiecej. Spała tu jego żona na niskiem łożku, zasłanem matami; obok niej mały chłopczyk. Oboje byli nader piękni w tym śnie cichym, spokojnym. Zbliżył się do łoża i owionęło go przyjemne ciepło od ich ciał rozespanych. Ucałował synka w czoło, żonie przesłał pocałunek w powietrzu i prędko wybiegł, żeby się nie rozczulić i nie zakłócić może ostatnich chwil błęgiego wypoczynku.

Bo nie wiadomo, co dzień przyniesie.

Z dwoma niewolnikami wyszedł na mur. Było tu ludno i gwarno, jak we dnie. Aod i Efraim biegali, ustawiali ochotników, wyznaczali pracę.

Znoszono kamienie, kłocę drzewa, wodę w stągwiach.

Były też kobiety i dzieci, gotowe umrzeć w obronie miasta i świątyni... Praca szła ochoczo... Jedni zachęcali drugich, przypominali waleczne czyny przodków, opowiadali straszny stan dziesięciu pokoleń w niewoli asyryjskiej, ich nędze i poniżenie. Prysła gdzieś trwoga i zniechęcenie. Duch męstwa i dzielności owionął obłączonych. Z pogardą i nienawiścią spoglądano na wroga, którego obóz, przesłonięty mgłą, szumiał, jak fale morza Genezaret podczas gwałtownej burzy.

Niebo na wschodzie było czerwone, na zachodzie ołowiane.

Koguty piałły drugi raz.

Mardochai objął stanowisko między bramami Emath i Haiawoth w północnej stronie miasta. Murzy tu były silne, a oprócz bram były dwie baszty, obsadzone wojskiem. Spodziewano się słusznie, że tu uderzą główne siły nieprzyjacielskie, bo z tej strony był najłatwiejszy przystęp do miasta. Tu więc rozstawieni byli najdzielniejsi młodzieńcy i najodważniejsi mężowie.

Był tu też Aod, który przyprowadził wszystkich niewolników i dwunastoletniego syna, Aminadaba.

Słońce tymczasem wzeszło i zaczęło rozpraszać mgłę, która wielkimi kłębami szybko staczała się w dolinę Cedron i zatrzymała się tylko w głębokich rozpadlinach.

Obóz powoli wyłaniał się z ciemności.

Najpierw ukazał się wierzchołek Golgoty jasny, świeży, połyskujący. Światło pędziło za mgłą, jakby chciało wepchnąć ją do miejsc ukrytych.

Na prawo, z za góry Oliwnej, wystrzelił snop promieni i odrazu cały obóz ukazał się jak na dłoni.

Przez chwilę zapanowała cisza na murach. Oczy wszystkich wyteżyły się w stronę wroga...

Nagle rozległ się straszny okrzyk zgrozy i rozpacz.

Kobiety zaczęły głośno płakać; mężczyźni zawyli, zgrzytając zębami.

Przed okopami obozu stało kilkadziesiąt palów, a na nich sterczało tyluż Żydów, pojmanych w okolicach Jerozolimy.

Męczennicy cierpieli nieopisane bólesci. Wyczytać to można było z ich twarzy wykrzywionych, członków konwulsyjnie kureczących się, z ich jęków głuchych.

Za nimi stali żołnierze i, grożąc obłączonym, wołali, że wszystkich taki los spotka.

Zagotowało się w sercach walecznej młodzieży.

Zaiskrzyły się oczy, zacisnęły pięście. Aod, biegnąc po murze, wołał.

— Patrzcie, mężowie, patrzcie! Bracia nasi po-
hańbieni, na mękach. Śmierć psom pogańskim! Kto
za mną?

Kilkadziesiąt szlachetnej młodzieży spuściło się
z murów z błyskawiczną prędkością i ze śmiałością
rozjuszzonego lwa napadło na ten płot żywy.

Nie chodziło im o uwolnienie nieszczęśliwych,
którzy już żyć nie mogli, ale jedynie o skrócenie im
mąk przez zadanie śmierci i o pomszczenie pogan.

Zdziwieni tą śmiałością Chaldejczycy, oniemieli,
ale wnet się opanowali i rzucili na dzielnych He-
brów.

Rozpoczęła się walka straszliwa. Ludzie sko-
czyli do siebie, jak dzikie zwierzęta. Gdy broń wy-
padła z ręki kłasnali się zębami, tarzali po ziemi, du-
sili, wydrapywali sobie oczy.

Żaden z tych bohaterów nie wrócił do Jerozoli-
my, ale też żaden nie został wzięty do niewoli.

Wszyscy polegli.

Nagle rozległo się na murach wołanie:

— *Mah hi? Mah hi?* ¹⁾—i wszystkich oczy zwró-
ciły się na Zachód.

Z bramy Ha-Dag wyjeżdżał do obozu nieprzyja-
cielskiego orszak królewski.

Zdziwieni obrońcy opuścili ręce.

Węc tak się ma skończyć ich zapal? Tak ma-
ją postąpić z wrogiem, który ich braci wbił na pal,
który spustoszył całą krainę?

— *Mahi? lamah?* ²⁾ — pytał jeden drugiego, ale
nikt nie odpowiadał, bo słowa zamarły w gardle.

W milczeniu patrzano na hańbę narodu.

Na czele orszaku kroczył król z całą rodziną,

¹⁾ Co to jest?

²⁾ Dlaczego?

a wszyscy z gołemi głowami, bez broni, w szatach odświętnych. Za królem szli kopijnicy, łucznicy, straż pałacowa z łukami na ramieniu, kołczanami na plecach. Dalej kapłani i lewici przy odgłosie trąb i śpiewie psalmów. Na ostatku szli chłopcy chórowi i nieco ludu za nimi.

Aminadab, którego trzymał Mardochai, aby nie rzucił się za ojcem z muru, zapytał, szlochając:

— *Mah hi, Mardochai?* ¹⁾

— Król idzie do obozu.

— *Lamah?* ²⁾

— Prosić Nabuchodonozora o łaskę.

— A czy ją otrzyma?

— Zobaczysz — rzekł niecierpliwie Mardochai.

Tymczasem rozwarły się bramy Stara i Efraim. Tłuszcza pogańska zaczęła płynąć do miasta. Już dolina Mello zapełniona, już połyskują kopie pogańskie na stokach Jebus, w Starej Jerozolimie, na moście, otaczają ogrody królewskie, cisną się do pałacu.

Mardochai w rozpacz pobiął do domu, który stał w przeciwnej stronie miasta, niedaleko od bramy Beniamina. Już tam gospodarowali poganie w sposób okrutny. Żony z synkiem nie było; parę niewolnic zamordowanych; wszystko wywrócone do góry nogami.

Gdy chciał uciekać, żołnierze pojмали go, skrepowali i z wielu innymi odstawili do obozu.

Okolo południa wjechał Nabuchodonozor, jako tryumfator, do miasta. Nie okazał się jednak wspańiałomyślnym. Pozwolił miasto zrabować. Zabrał do niewoli króla, jego matkę i całą rodzinę, przedniejszych mieszkańców i wszystkich żołnierzy i niewolników w liczbie dziesięciu tysięcy. Ze świątyni zabrał naczynia święte i skarby z pałacu królewskiego.

¹⁾ Co to jest, Mardochai?

²⁾ W jakim celu? Dlaczego?

W spustoszonej Jerozolimie została tylko uboga ludność, nad którą Nabuchodonozor ustanowił królem Sedecyasza.

II.

Długim i szerokim szlakiem ciągnęły z południowego zachodu na północny wschód wojska chaldejskie. Nigdy chyba jeszcze nie była pustynia Syryjska tratowana tylu kopytami końskimi; nigdy nie czerniła się tak szeroko droga po przejściu na jeźdźców.

Setki wielbłądów dźwigały bogate łupy.

Gromady jeńców i branków — jedni skrupowani, inni swobodni, wlokły się za wojskiem. Nie było tu różnicy stanu, wieku i płci. Wszyscy szli zmieszani: bogacze obok nędzarzów, kobiety obok mężczyzn, dzieci razem ze starszymi; wszyscy w jednej ogromnej beładnej masie, w jednakowem pohańbieniu, w jednakowej niewoli. Odzież ich zabłocona i zakurzona, podarta niekiedy w strzępy, które straciły pierwotną barwę, zaledwie okrywa ciało.

Wszyscy przynębieni, smutni, wynędzniali.

Ludzie niegdyś wolni mają wygląd ponury i niespokojny. Ich zaciśnięte usta, wzrok utkwiony przed siebie okazują, iż w piersiach kipi gniew i żądza zemsty.

Niewolnicy niewiele się troszczą o to, co ich czeka. Niektórzy są nawet weseli. Wszystko im bowiem jedno, czy służyć w Jerozolimie, czy w Babilonie, czy gdziekolwiek indziej; nie zmieniają wcale stanowiska, tylko właściciela. Wielu zaś nie ukrywa okrutnej radości na widok upokorzenia i poniżenia dawnych swych panów, którzy dawali im zbyt boleśnie odczuwać władzę swoją. Mszczą się teraz słowem

i czynem, gdy tylko nadarzy się ku temu sposobność.

Młode kobiety — starych niema między brankami — i dziewczęta drżą o swą przyszłość. Nieszczęsne myślą, co się stanie z niemi przy podziale łupów; komu się dostaną: czy żołnierzowi prostemu, którego dzikim zachciankom będą musiały ulegać, czy też komuś wyższego stopnia, w którego domu może znajdą przynajmniej zamożność i wygodę, do jakich większość ich przywykła?

Dzieci mniejsze i większe — chłopcy i dziewczęta — przyglądają się nawpół z ciekawości, nawpół z przestachem tłumowi, który ich otacza. Nie rozumieją one jeszcze swej niedoli.

Mężczyźni dźwigają niewielkie worki z żywnością, kobiety prowadzą lub niosą na rękach albo plecach mniejsze dzieci.

Ogromne stada krów, kóz i owiec wlokły się za wojskiem.

Woły i muły ciągnęły ciężkie wozy, naładowane różnemi sprzętami.

Znaczniejsza część jeńców jest własnością króla. Niektórzy z nich zostaną zaliczeni do wojska, inni do robotników, rzemieślników, inni będą sprzedani, a reszta zostanie osiedlona w krajach opustoszonych, ale zdaleka od ziemi rodzinnej. Kobiety z małym wyjątkiem będą sprzedane, albo też zostaną niewolnicami żołnierzy.

Nikt nie wiedział, co go czeka; dopiero przy podziale łupów los się rozstrzygnie. Wielu z nich umrze w drodze, bo nie wytrzymają tej długiej i ciężkiej podróży, w której zmuszeni są obozować pod otwartem niebem i sypiać na gołej ziemi.

Mardochai był między jeńcami znaczniejszymi. Szedł więc nie razem z innymi, ale w orszaku Nabuchodonozora. Z nim był Aminadab, porwany ze świątyni, do której się schronił.

Znosili oni mężnie swój los. Mardochai bowiem

tłómaczył, że to nieszczęście jest zrządzeniem bożem, że kiedyś niewola się skończy i powrócą do ojczyzny.

Hiob utracił wszystko i wszystko odzyskał przez cierpliwość, i oni nie mają: utracili ojczyznę, rodziny, majątki, wolność; ale pozostało im zdrowie i rozum, a to nie byle skarby. Kto to ma, nie powinien rozpaczać. Hiob nie miał zdrowia, a jednak znosił wszystko cierpliwie.

Aminadab jednak z początku ciągle płakał.

— I czegoż płaczesz?—mawiał Mardochai — że ojciec umarł? a nie wiesz, że taka śmierć jest zaszczytna? Umarł, jako bohater w obronie braci. Powinienbyś cieszyć się z tego i być dumny. Daj Boże, ażebyś ty kiedyś tak poległ. Mój los gorszy od twojego, bo nawet nie wiem, co się stało z moją *iszah*. Czy zabita, czy w niewoli? A przecież widzisz, że nie płaczę, ani łba nie tłukę, jak ty. Bo zresztą, co tu płacz pomoże?

Aminadab ocierał łzy i starał się być obojętnym, a nawet wesołym, ale niezawsze mu się to udawało. Wtedy Mardochai mówił dalej:

— Bo gdybyś był małym dzieckiem! ale masz już dwanaście lat, powinienes być mężczyzną. Powinienes myśleć o powrocie do ojczyzny, bo to dobre, ale płaczem i narzekaniem przecież nie wrócisz! Winniśmy im nieść pomoc i pociechę, ale nie łzy. Łzami kupisz sobie śmiech i pogardę u wroga, ale nie więcej. Nie pokazuj więc łez nikomu, a zwłaszcza wrogowi.

Chłopiec uspakajał się powoli i oswajał z położeniem. Dopomagało mu do tego jego żywe i wesołe usposobienie.

Zabrał on z sobą *kinnor*, na którym teraz chętnie grywał; a gra nietylko jemu przynosiła ulgę, ale i Mardochai i wszystkim, którzy jej słuchali.

Bywało, gdy po całodziennym pochodzie nużącym zatrzymano się na spoczynek, gdy nieco przy-

cichł gwar żołdatwa i jego niedoli, Aminadab siadywał przy nogach Mardochai i, wpatrując się w gwiazdkę wieczorną, grał na swym instrumencie. Łagodne dźwięki brzmiały w powietrzu, jak słodkie słowa ukojenia.

Słuchali ich z przyjemnością nietylko wygnańcy, ale i poganie.

Jak niegdyś Dawid łagodził ataki szaleńswa Saula tonami kinnoru, tak teraz Aminadab kołł tąż samą muzyką bóle swoje, swoich współbraci i kruszył serca ciemieżców. Pod wpływem tego głosu ulatywały myśli do Jerozolimy, na górę Moria i wrywało się westchnienie do Jehowy o wolność.

Niekiedy do łagodnych tonów kinnoru przyłączał się srebrny, czysty głos Aminadaba, który z przymkniętymi oczyma zawodził:

K'ajjal thaharig el aphijeki ¹⁾

Jako na puszczy prędkimi psy szczwana
Strumienia szuka łani zmordowana,
Tak, mocny Boże! moja dusza licha
Do ciebie wzdycha!

Łzy moja karmia, potrawy płacz wieczny,
Kiedy mnie coraz pyta lud wszeteczny:
Gdzie teraz on Twój, nędzniku wygnany!
Bóg zawołany?

To człowiek słysząc, umiera na poły,
Pomniąc na on krzyk ludzi swych wesoly,
Które prowadzić zwykł był aż do proga
Żywego Boga.

Czemu się smucisz, duszo moja, czemu
Omdlewasz?—Panu ty ufaj, któremu
Jeszcze ja będę z radością dziękował,
Że mnie zachował.

Ale dzień idzie, kiedy Pan nademną
Litość okaże, a ja pieśń przyjemną

¹⁾ Psalm 42-gi, przekład Kochanowskiego.

I wpośród nocy zaśpiewam możnemu
Obrońcy swemu.

A teraz rzekę: Czemuś mnie, mój wieczny
Bożel zapomniał, kiedy mnie wszeteczny
Człowiek frasuje, a serce troskliwe
Już ledwo żywe?

W jedne mnie prawie kęsy rozdzierają,
Kiedy mnie coraz źli ludzie pytają,
Gdzie teraz on twój, nędzarzu wygnany!
Bóg zawołany?

Mardochai zwykle powtarzał przy końcu pieśni
te słowa:

Czemu się smucisz, duszo moja, czemu
Omdlewasz? Panu ty ufaj, któremu
Jeszcze ja będę z radością dziękował,
Że mnie zachował.

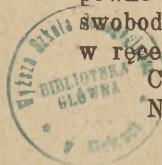
Po przejściu Jordanu zaczęła się pustynia,
uświęcona tylu drogiemi wspomnieniami. Po niej nie-
gdyś wędrowali Hebrejowie przez długie lata... Dziś
też wędrują; podróż ich terażniejsza będzie znacznie
krótsza, ale nie czeka ich Ziemia obiecana, lecz twar-
da niewola.

Mardochai opowiadał Aminadabowi dzieje nie
woli egipskiej, tułactwo na puszczy, wejście do Zie-
mi obiecanej, rozbudzał w nim miłość wszystkiego,
co ojcyste, i krzepił ducha.

Los jednak ich rozłączył.

Piękny, żywy chłopiec spodobał się bardzo do-
wódcy tych oddziałów, które strzegły jeńców. Zabrał
go więc do siebie. Ale rozłąka nie była tak straszną,
jak się z początku wydawało, bo Aminadab zyskał
pewne względy u swego pana i cieszył się zupełną
swobodą. Chodził więc po całym obozie z kinnorem
w ręce i wkrótce stał się ulubieńcem żołnierzy.

Codziennie wieczorem przychodził do Mardochai.
Niektóre z piękniejszych niewolnic były rozdane



między dowódców, aby im usługiwały i uprzyjemniały życie obozowe. Jechały więc na ich wozach między różnemi oddziałami, a noce przepędzały w ich namiotach.

Los ich był o wiele smutniejszy, aniżeli tych, co szły w gromadzie.

Mardochai trapiła myśl, że jego żona może dostała się do liczby tych nieszczęśliwych. Bo gdzieby się podziała? Aminadab nie mógł jej znaleźć między niewolnikami, wśród których kręcił się teraz ustawicznie.

A potrafił wszędzie się wcisnąć. Nic nie uszło jego uwagi. Zjednywał sobie coraz więcej przychylności u pogan, których ujmował rozumem, przyjemną powierzchownością i grą na kinnorze. Biedni wygnańcy witali go wśród siebie, jako anioła pocieszyciela, bo nie tylko umiał wlać otuchę do serca, ale pomagał dużo wstawienictwem u dozorców.

Codziennie wieczorem opowiadał Mardochai o tem, co robił, co mówił, a Mardochai jedno mu chwalił, inne ganił i tym sposobem kierował nim. Aminadab przyjmował wszystkie uwagi i ochoczo słuchał rad i wskazówek.

Pewnego razu rzekł doń Mardochai:

— Słuchaj *benni!* ¹⁾). Myśl straszna spokoju mi nie daje; odpędza odemnie sen, żądzę jedzenia i picia; męczy mnie we dnie i w nocy. Sam widzisz, że niewolę znoszę mężnie, że staram się nieść ulgę tym nieszczęsnym tłumom jeńców, ale sam nie mam znikąd ulgi. Nikt mnie nie pocieszy, a jednak troska, jak robak, wżarła się we wnętrzości moje i nie daje mi spokoju. Od ciebie czekam pomocy.

— Co chcesz, *abbi* ²⁾), abym ci uczynił? — zapytał żywo Aminadab.

¹⁾ Synu mój.

²⁾ Ojciec mój.

— Wiesz, iż nie wiem, co się stało z *israh*. Żywa-li, umarła? Co robi, gdzie jest? To mi życie zatruwa.

— Szukam jej bezustanku!—zawołał Aminadab.

— Ale jej tu niema.

— Może ją zabiły te psy pogańskie.

— Nie przeczę temu, ale i inna myśl przysłała mi do głowy. Może zabrał ją jaki *gedoli* ¹⁾, może jedzie na jego wozie i nocuje w jego namiocie?

Tu sięgną na twarzy jego zadrgały bólem, którego nie mógł w zupełności stłumić, a Aminadab, widząc tę jego boleść, ledwie powstrzymał się od łez.

— Czem ci mogę dopomódz?—zapytał po chwili Aminadab.

— Chodź, patrz, pytaj.

— Jednak to trudno, bo obóz ciągnie się na jakie pięć tysięcy *kane* ²⁾, a szerokość jego około pięć tysięcy *amma* ³⁾.

— Ale ty możesz, boś nie strzeżony. Jesteś sługą dowódcy oddziałów, otaczających jeńców, możesz chodzić wszędzie.

Aminadab wziął bardzo do serca to zlecenie. Biegał po ogromnym obozie, zaglądał do wozów, nawet do namiotów, grał, śpiewał, rozmawiał, rozpytywał się, ale się niczego nie dowiedział. Zdawało się, że cały obóz ze wszystkimi jego tajnikami poznał dokładnie, narobił wiele znajomości, nawet przyjaźni, szukał niby matki, ale wszystko na próżno. Nie mógł przynieść Mardochai żadnej wiadomości.

— Może została w Jeruszałaimie—mawiał Mardochai, gdy Aminadab strapiony nawiedzał go wieczorem—i to byłoby dla mnie milej. Bo niechby lepiej nie żyła, niż miałyby służyć tym podłym ciemiężcom i być u nich w pohańbieniu.

¹⁾ Przedniejszy, wysoko postawiony.

²⁾ Około dwóch mil.

³⁾ Blisko milę.

— Niema jej, napewno niema na żadnym wozie—powtarzał Aminadab, choć nie mógł być pewny, czy wszystkie wozy obejrzał.

— Oh, gdyby była, wyrwałbym się z pod straży, zabiłbym ją i siebie, niechby nie służyła poganom w takiej hańbie.

Pewnego dnia Aminadab przyniósł mu wieść, że między brankami poznał żonę Abigail z córeczką Hadasath.

— Abigail to mój brat!—zawołał Mardochai.

— Właśnie mówiła o tobie.

— Ona też na wozie?

— Jest między niewolnicami mojego pana. Jest ich dużo.

— Służy mu?

— Wszystkie one pracują. Jest bardzo smutna i wycieńczona.

Mardochai wpadł w głęboką zadumę. Może rozmyślał, w jaki sposób przyjść z pomocą bratowej, albo może błagał Jehowę o cierpliwość.

Aminadab sięgnął po kinnor. Jęknęły struny tonem płaczliwym, a zaraz ucichły głosy i rozmowy dokoła. Z początku muzyka płynęła cicho, spokojnie, jak nieśmiały jęk skargi, wkrótce jednak struny zawarczały głośno, namiętnie, jak krzyk długo tłumionego bólu, ale zaraz zamieniła się na pieśń pobożną, która koi rozdarte serca, i Aminadab zaczął śpiewać psalm.

Przycichły klątwy i złorzeczenia żołdactwa, urwały się piosnki wszeteczne, zamarła skarga na ustach wygnańców. Słuchano z zachwytem tej pieśni, która jednym przypominała straconą ojczyznę, drugich przejmowała jakimś nieznanem dotąd uczuciem.

Tak płynęły dni i tygodnie w ciągłym pochodzie. Im dalej wygnańcy byli od ojczyzny, tembardziej czuli się przygnębieni i osłabieni.

A iluż ich pomarło w drodze! Choroby pannały między nimi, a jeśli kto był tak słaby, że nie było nadziei, ażeby doszedł na miejsce, to porzucano go bez litości w pustyni na pastwę dzikich zwierząt, których gromady szły w trop za cbozem. Liczne trupy znaczyły ślad, którądy przechodzono.

Z Jerozolimy do Babilu droga daleka, a pożywienie jeńcom dawano liche. Trzeba było silnego zdrowia, ażeby tę podróż wytrzymać.

Zbliżono się wreszcie do łańcucha gór *Hermoinim*, a raczej do gór Amana. Ztamtąd miano zawrócić ku wschodowi, do brzegów Eufratu.

Nabuchodonozor postanowił dać wojsku dłuższy odpoczynek. Rozbito więc namioty. Niewolnicy, jak na wszystkich przystankach, tak i tu, musieli pracować; niewolnice przyrządzały strawy i usługiwały świeżym swym panom.

Namiot władcy Aminadabowego rozbito w bliskości niewielkiego potoku, który, wesoło szemrząc, krył się w cieniu białych topoli, dębów i cyprysów, któremi obficie były porośnięte zbocza gór.

Namiot był urządzony, jak wszystkie namioty znaczniejszych dowódców.

Były to dwa szeregi wbitych w ziemię żerdzi, połączonych u góry poprzecznicami, które przywiązano linami do kołków, znajdujących się na zewnątrz. Żerdzie i poprzecznice okryto grubem płótnem. W środku namiotu u góry zostawiono otwór, pod którym niewolnice roznieciły ognisko. Wewnątrz ustawiono zwyczajne sprzęty domowe: niski stół, kilka stołków i łóżko; na słupach zawieszono różne naczynia, używane do jedzenia i picia.

Dokoła namiotu umieścili się żołnierze, jak mogli: pod gołem niebem, pod wozami, lub w wielkich budach.

Nie troszczyli się zresztą o wygody. Niewolnicy nazbierali im suchego drzewa i traw, rozpalali wielkie ogniska, a oni, jeśli nie byli na służbie, za-

siadali z powagą po trzech lub czterech przy kociołkach i jedli a pili, wesoło rozmawiając.

Niewolnicy nieszczęśni otrzymywali bardzo liche porcy i musieli noce chłodne spędzać pod gołym niebem, zdala od ogniska.

Aminadab w czasie tego postoju nie mógł się widywać z Mardochai, bo jego oddział umieszczono w przeciwnej stronie obozu, bardzo daleko. Było mu to wielce przykro. Dowiedział się nadto, że od tego miejsca rozejdą się wojska kilku drogami. Zmartwił się tem niezmiernie, bo nikogo z bliższych nie miał w obozie, prócz Mardochai. Jeżeli więc rozłączą go z nim, to sam zginie wśród wrogów, którzy wprawdzie okazywali mu względy, ale których on nienawidził całą potęgą swej duszy.

Już cztery dni odpoczywał obóz. Ludzie i zwierzęta nie czuli już zbytniego zmęczenia. Kto był chory, umarł lub wyzdrowiał, a przynajmniej udawał zdrowego, żeby nie zostawiano go pustyni. Rozkazano przygotować się do drogi; nazajutrz miano wyruszyć.

Aminadab smutny siedział i ponuro spoglądał na swego pana, który w tej chwili rozmawiał z dwoma innymi dowódcami. Stali oni u wejścia namiotu, wprost ogniska.

Słońce schowało się za śnieżne cyple Hermonim; chłodny wietrzyk pociągał od strumyka.

Aminadab przez czas pochodu, obcując z żołnierzami, nauczył się tyle po chaldejsku, że mógł się z nimi rozmówić. Szło mu to zresztą łatwo, bo język chaldejski był bardzo podobny do hebrajskiego, gdyż oba pochodzą z jednego źródła. Nie mógł jednak zrozumieć, o czem panowie mówili, gdyż tylko niektóre wyrazy słyszał wyraźnie. Domyślał się przecie, że musieli omawiać bardzo ważne sprawy, bo chociaż mówili półgłosem, wszakże ich ruchy były gwałtowne, a oczy rzucały ogień.

Kilka młodych branek z dziećmi siedziało nieo-

podał w głębokiem zamyśleniu. Niejednej łzy szkliły się w oczach; wszystkie zaś były smutne — głęboko wzdychały. Bezwątpienia ból straszny szarpał ich wnętrzności po stracie ojczyzny, mężów, rodzinnego szczęścia; niektóre opłakiwały śmierć dziecka, którego kości bieleją w pustyni, obgryzione przez dzikie zwierzęta.

Między niemi była żona Angaila, brata Mardochai. Przy niej leżała na ziemi jej mała córeczka; główkę oparła na kolanach matki i ustawicznie kaszłała.

Kaszel drażnił Chaldejczyków, bo przeszkadzał im w rozmowie. Jeden z nich syknął parę razy; władcy Aminadaba zaiskrzyły się oczy; krzyknął groźnie.

Przerażona matka usiłowała utulić dziewczynkę, ale to się jej nie udawało. Dziewczyna kaszłała, jakby na przekorę. Po każdym nakazaniu jej milczenia, kaszel rozbrzmiewał coraz głośniejsze, coraz zawzięciej.

To doprowadziło dzikiego poganina do wściekłości.

— Ej ty, mały psie! — zawołał na Aminadaba. — Pójdź-no tu!

Aminadab stanął przed nim.

— Uspokój-no to szczenię, żeby więcej nie szczekało.

Chłopiec przerażony stanął, nie wiedząc, co czynić.

— Cóż stoisz, jak posąg Baala? — krzyknął pan. — Ucisz ją!

Aminadab się nie ruszył.

Chaldejczyk zbladł z wściekłości, ryknął przeraźliwie, pochwycił bicz i zaczął go smagać niemiłosiernie po gołych nogach. Zrobiły się w tej chwili czerwone od spływającej z ran krwi.

Zacisnął jednak biedny chłopiec zęby i milczał.

To doprowadziło rozjuszonego poganina do sza-

leństwa. Na nieszczęście, rozległ się nowy atak kaszlu dziewczyny. Aminadab stracił na chwilę rozum. Pod wpływem strasznego bólu skoczył ku dziewczynie z zaiskrzonymi oczyma, z zaciśniętymi zębami i przeraźliwym głosem zawołał:

— Milcz ty, przekłeta, bo cię ubiję. Patrz, jak mnie boli!

Ale dziewczyna w odpowiedzi zaniósła się nowym napadem kaszlu. To dopełniło miary wściekłości w smaganym wciąż chłopcu.

— Ja cię zaraz uciszę! — zawołał i podniósł pięść do góry.

Ale i Hadassath, głośno wołając: „mama, mama,” wyciągnęła ku niemu konwulsyjnie zaciśnięte piąstki.

— Uduś ją! — wołał prześladowca.

Aminadab uderzył ją silnie w piersi.

Wydała przeraźliwy jęk i potoczyła się na ziemię.

Matka zerwała się na pomoc, ale jeden z żołnierzy kopnął ją tak silnie, iż zachwiała się i upadła. Dobyła się — chciała powstać, ale ten sam żołnierz postawił nogę na jej piersi i szamoczącą się ciężarem swym przytrzymał.

Dyszając ciężko, wołała strasznym, ochrypłym głosem:

— Aminadabie, zlituj się! Aminadabie, zlituj się!

Aminadab ochłonął, odskoczył przerażony. Chciał podnieść dziewczynę, ale pan odepchnął go, i sam zaczął ją bić, aż zupełnie ucichła.

Żołnierze otoczyli to miejsce i śmieli się wesoło. Wypadek ten ubawił ich.

Ale Aminadab uciekł. Ogarnął go strach i niewypowiedziana litość dla biednej Hadassath. Potem porwała go okropna złość na podłego ciemiężcę, uczuł nagle niepokohamowaną chęć zemścić się na nim, pogryźć go, rozszarpać.

W głowie mu szumiało, obóz kręcił się, nogi chwiały; gotów był biedz gdzieś daleko, gotów był bić, tłuc wszystko i wszystkich i płakać.

Odszedł na stronę, ażeby nie patrzeć na zapłakane twarze niewiast, upadł na ziemię i gorzko zaczął płakać.

— Boże mój, Boże—szlochał—czegom ja dożył! Coby powiedział ojciec mój, gdyby to widział! Zabiłby mnie, ukamienował własną ręką! Oj, zasłużyłem na to. Co ja pocznę teraz, jak żyć będę? Oj, niewolo, niewolo, jak się okropnie zaczynasz!

Noc zasiała niebo gwiazdami, z gór spłynął podmuch zimnego wiatru. Dreszcz przeszedł po ciele Aminadaba; ciało miał rozpalone.

Wstał.

Dokoła było cicho i pusto. W dali płonęły ogniska, a przy nich gwarzyli żołnierze. Na skraju odzywały się straże.

Coś ciągnęło go do miejsca walki, ale tak silnie, że oprzeć się nie mógł.

I nie opierał się.

Poszedł zobaczyć, jak się ma Hadassath.

Przy namiocie dowódcy drzemał sługa. Nieco dalej leżało kilku żołnierzy, głośno chrapiąc. Dokoła było spokojnie.

Aminadab wstrząsnął się cały na wspomnienie, że za tem płótnem śpi podły poganin. Przeleciała mu myśl szalona, żeby tam wpaść i zamordować go własnym jego mieczem, jak niegdyś uczynił Dawid Goliatowi.

Tymczasem jednak szedł naprzód.

Na ziemi, na tem samem miejscu, leżała Hadassath. Twarz jej była blada, oczy przymknięte; w cieniach nocy zdawało się, że śpi. Aminadab jednak nie był pewny czy żyje, czy zabita. Żywo stanęła mu przed oczyma cała ta okropna scena. Widział jej matkę, jak z łoskotem upadła na ziemię, widział, jak żołnierz dławił ją nogą, słyszał jej głos błagalny,

głuszony wesołemi okrzykami żołnierzy, widział wre szcie, jak bicz spadały na twarz dziewczyny, jak wiła się pod nimi i... zgrzytnął zębami.

O, coby dał zato, gdyby mu teraz ten przekłety poganin powtórzył rozkaz. Chociażby go nawet zabił, nie ruszyłby się nawet z miejsca. Albo, owszem, rzuciłby się, ale nie do *tality* ¹⁾, lecz na niego. Wprawdzie był za słaby, aby go zmódz, i na pewno zamordowaliby go żołnierze natychmiast. Ale cóż z tego? Umarłby, jak jego ojciec, zaszczytnie; umarłby, jako bohater, prześladowany przez wroga; a tyran nie kazałby mu podnosić ręki na chore dzieci.

Tak myśląc, płakał cicho, ale gorzko i serdecznie.

I myśl jego uleciała do świętego miasta Jeruzalem, i stanęła mu przed oczyma waleczna obrona miasta przez garstkę obywateli, śmierć bohaterska wielu rodaków i sromotne poniżenie króla Joachina, który nie chciał walczyć, a zato dźwiga teraz pęta niewoli.

Uczuł nagle taki wstręt, taką nienawiść do pogan, że prawie głośno zawołał:

— Wolę zginąć na puszczy, wolę być pożartym przez dzikie zwierzęta, niż obcować z tymi przebrzydłymi poganami i służyć im.

Chciał odejść; ale gdy spojrzał na leżącą nieruchomie Hadassath, zatrzymał się. Żal mu było ją opuszczać.

— Jeżeli jeszcze żywa—myślał—poganie ją zamęczą, albo chorą porzucą bez litości na puszczy, a jeżeli umarła, nie pochowają, ale zostawią dzikim zwierzętom na pożarcie. Wezmę ją; przynajmniej pochowam ją uczciwie; niech jej zwierzęta nie gryzą.

Przystąpił do dziewczyny i ostrożnie wziął ją na ręce.

¹⁾ Dziewczyny.

Nie namyślając się długo, zaczął iść do strumyka. Niebawem spostrzegł kopijnika na straży.

Stał oparty na broni i zapewne drzemał. Obudził się jednak, a widząc Aminadaba, groźnie zapytał:

— Dokąd idziesz, chłopcze?

Aminadab się przestraszył. Nie myślał przedtem o straży, nie obliczył, na jakie niebezpieczeństwo się naraża. Kopijnik mógł bez namysłu przebić go kopią, albo też zatrzymać, jako zbiega, a jutro wymierzą mu straszną karę. Napatrzył się dosyć na okropne męki, jakie poganie zadają tym, którzy próbowali uciekać, bo patrzeć na to muszą wszyscy jeńcy.

Zadrżał. Ale wnet się opamiętał.

— Wynoszę trupa za obóz — rzekł. — Pan mi kazał.

Kopijnik zdziwił się takiemu rozkazowi; ale panowie mogą mieć swoje zapatrywania, których nie potrzebuje rozumieć prosty kopijnik.

Mruknął więc niechętnie:

— Szkoda zachodu, chłopcze; już kury pieją, nim wrócisz, obóz się ruszy do drogi.

— Trudno, rozkaz pana, muszę wypełnić.

— Masz słuszność. Kiedy pan każe, sługa słuchać musi.

Ale gdy Aminadab zaczął się oddalać, żołnierz zawołał.

— A co za trupa wynosisz?

— Trupa dziewczyny, którą pan zabił! — odpowiedział i przyspieszył kroku.

Żołnierz jeszcze pytał o coś, ale Aminadab szedł prędko. Słusznie bowiem lękał się, że Hadasath, jeżeli jeszcze żyje, może jęknąć, albo, co gorsza, gdy się przebudzi, może zacząć krzyczeć, a toby zgubiło ich oboje.

Nie miał czasu zbadać, czy żyje, czy nie. Zimna była, bezwładna, twarz miała siną, pokrwawioną.

Każda chwila była drogą.

Śpieszył się więc.

Minał szczęśliwie drugą straż i dążył wprost do strumyka, którego szmer słyszeć było pod górą. Niedaleko to było.

Pasły się tu trzody bydła, koni i owiec pod strażą pasterzy, ale niebezpieczeństwa nie było.

Aminadab ominał zdaleka ognisko, przy którym widniały czarne sylwetki ludzkie, i znalazł się nad brzegiem strumienia.

Rosły tu niskopienne drzewa.

Aminadab, nie będąc pewny głębokości wody, zawahał się: czy przejść przez strumień zaraz, czy poczekać do dnia; ale po chwili namysłu wszedł na kamienie.

Nim jednak wstał do wody, poprawił sobie ciężar i o mało nie krzyknął z radości.

Talita słabo westchnęła.

Aminadab ułożył ją zaraz na ziemi, zaczerpnął ręką wody i zaczął lać jej w usta.

Zakrztusiła się i cicho jęknęła.

O mało nie oszalał. Zapomniał o całym świecie, o niewoli, o wojsku, o niebezpieczeństwie.

Z obozu doleciało jego uszu hasło straży. Odrazu uprzytomnił sobie całą grozę położenia.

Porwał dziewczynę w objęcia i szybko przebiegł po kamieniach łożysko potoku.

O kilka kroków zaledwie piętrzyła się góra skalista. Na wierzchołku szumił las; nieco na prawo czerniał otwór jaskini, niewielki, ale straszny, bo tajemniczy. Nie wiadomo, co się tam ukrywa: może jakiś zbieg okrutny, może dziki zwierz, albo gad jadowity.

Aminadab jednak nie miał czasu do namysłu. Wsunął się w ciemną czeluść i zasunął ją za sobą wielkim kamieniem.

Hadassath oddychała głośno, a łagodne jęki wydobywały się z jej piersi.

Położył ją ostrożnie na ziemi, ukląkł przy niej, wydobyl z torby owoc soczysty, nacisnął i wpuścił jej w usta parę kropli soku.

Otworzyła oczy, ale zaraz je przymknęła.

— Nie bój się — przemówił łagodnie — uciekliśmy od złego człowieka. Teraz cię już bić nie będzie.

— Zimno mi — szepnęła.

Okrył ją simbą.

Znów zapadła w omdlenie, czy usnęła.

Aminadab czuwał przy niej.

Wpatrywał się w jej twarz, strasznie zmienioną. Była spuchnięta, sina, skrwawiona; usta spieczone; rączyny zbite zacisnęła konwulsyjnie; wstrząsał ją dreszcz; wdychała przez sen.

Aminadab poczuł dla niej taką niezmierną litość, takie przywiązanie, że gorące łzy zaczęły mu spadać z oczu na jej twarzyczkę. Nie oddałby jej teraz za żadne skarby świata; gotówby stanąć do walki o nią z całym wojskiem chaldejskiem, z całym światem.

Dziewczyna odrzuciła simbę i w półśnie wyjęczała:

— Pić.

Wpuścił jej w usta kilka kropli soku, wyciskając owoc.

Promień wschodzącego słońca wkradł się przez szpary do wnętrza i oświecił jej twarzyczkę.

Odwróciła się i zasnęła.

Aminadab przysunął się do kamienia, przyłożył twarz do szpary i patrzył na obóz. Było tam gwaro. Oddziały jedne odchodziły, inne się zbliżały. Krzyki, przekleństwa, ryk bydła, rżenie koni mieszały się ze skrzypieniem niezliczonych wozów i głuchym jękiem ziemi, która się trzęsła od tyłu kopyt.

Przyszedł mu na myśl Mardochai i było mu tęskno do niego. Czuł się bardzo opuszczonym. Uciekł wprawdzie od wrogów, którzy zdeptali wolność tylu tysięcy jego rodaków, ale właściwie ci rodacy idą

tam nieszczęśliwi i wzajemnie się wspierają, a on tu sam, na puszczy, wśród dzikich zwierząt. Wprawdzie jest wolny; ale czy zdoła dostać się do ojczyzny? Czy nie lepiej było dzielić los tych wygnańców i iść razem z nimi do niewoli, która się musi skończyć? Co teraz robi Mardochai, ten jedyny, prawdziwy przyjaciel? Jakżeby chciał być przy nim...

Widzi — o, tam, za taborem bydła, gromadę jeńców. Słychać śmiechy dozorców, widać ich bicze, jak się wiją w powietrzu.

Talita zaczęła się poruszać. Aminadab odwrócił się i podał jej owoc.

Chciwie wysysała sok.

Pogłaskał ją po twarzy i położył jej głowę na swych kolanach.

Godziny upływały; zaczął mu głód dokuczać. Miał jeszcze owoce, ale schował je dla niej.

Przez cały dzień widać było odchodzących nieprzyjaciół. Szli na wschód.

Nastala noc. Głosy ludzkie ucichły za strumieniem, ale zaczęły się rozlegać ryki dzikich zwierząt.

Talita zupełnie przyszła do siebie. Siedziała skulona obok Aminadaba, a widząc, że jest jej przyjazny, przytuliła się do niego.

Noc była zimna; drżeli oboje.

Aminadab myślał, co robić. Gdyby był sam, mniejby go to trapiło. Poszedłby śmiało, gdzie oczy poniosą, a może kiedyś dostałby się do ziemi ojczystej, ale talita chora, słaba nie mogła puszczać się z nim w daleką i ciężką podróż.

A może niedaleko ztąd są pasterze, albo jaka osada ludzka? Może znajdą gdzie blisko schronienie na jakiś czas? Niechby talita nabrała sił, onby za nią pracował, onby podjął się wszystkiego, byle ona miała jakie takie wygody. Gdyby tylko natrafić na osadę ludzką; ale można też trafić na stado głodnych szakali, których płaczliwe wycie dochodziło do

jego uszu. A ludzie, których spotka, czy będą źli, czy dobrzy? Mogą mu zabrać talitę, mogą ich oboje zabić, albo sprzedać do niewoli.

A jednak muszą opuścić to miejsce i iść szukać przytułku. Głód przypominał mu, że tu długo siedzieć nie można.

Trzeba iść; ale dokąd? Gdzie oczy poniosą.

Pójdą na zachód, tam, gdzie błyszczą góry śniegowe. Mardochai mówił, że tam jest Damaszek, a w nim wielu Hebreów mieszka. Ale oni już dawno przeszli przez okolice tego miasta. Mardochai pokazywał mu na zachód i mówił: Patrz, tam leży Damaszek.

Zostało ono na lewo. Pewnie to daleko ztąd. Wszakże bliżej, niż Jeruszałaim.

Pochylił się ku dziewczynie i szepnął:

— Czy poznajesz mnie?

— Poznaję, tyś mnie chciał zabić.

— O, nie mów tego — zawołał — bo gdybym chciał, tobym cię zabił. Ale nie chciałem, więc żyjesz.

— A jednak biłeś mnie.

— Bo i mnie bili.

— Ach, jak mnie bolało.

— O, i mnie bolało.

— A już mnie bić nie będziesz?

— Choćby mi przyszło umrzeć, nie podniosę na ciebie ręki. Żywie Bóg.

Dziewczyna położyła głowę na piersi Aminadaba i uśmiechnęła się.

— A bić mnie nie dasz? — zapytała.

— Nie dam. Zabiję każdego, kto by cię chciał ruszyć.

— A nie zabiłeś tego poganina, co mnie bił?

Aminadab nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Po chwili namysłu rzekł:

— Ale terazbym go zabił.

— A gdzie on jest?

— Poszedł,

— A dokąd poszedł?

— Do piekła, gdzie mu dyabli odpłacą za nasze krzywdy.

-- Odpłacą mu?

— Nie inaczej. Wszystkich pogan wtrąci Pan do piekła na męki wieczne, w jezioro ogniste...

— A gdzie mama?

Aminadab był w kłopotcie. Widział, jak żołnierz deptał jej matkę nogami; jak szamocząc się, zemdląta, a może umarła. Potem nie myślał o niej. Zbyt był przygnębiony i pomieszany, aby pomyśleć, co się z nią stało.

Wtem coś poruszyło się w głębi jaskini.

Dzieci przerażone przysunęły się jedno do drugiego i zatrzymały oddech.

Rozległ się cichy jęk, jakby z pod ziemi. Coś stękało dziwnym głosem, niby ludzkim, niby zwierzęcym. Głos ten zbliżał się ku nim; czasami przycichał, to znów rozlegał się głośniejsze. Widocznem było, że coś przesuwają się przy ścianie, jakby szukało przejścia.

Aminadab stracił resztę odwagi, Dziewczyna trzymała się go mocno. Nie śmieli oboje szepnąć do siebie.

Jęk rozległ się bardzo blisko.

Aminadab objął silnie talitę, pchnął kamień, który zamykał czelusć, i ostrożnie wysunął się z groty.

Księżyc patrzył nań spokojnie, wyglądając z za niewielkiej góry na zachodzie; gwiazdki mrugały przyjaźnie. To mu dodało odwagi.

Schował się za odłam skały i posadził Hadassath przy sobie.

— Nie bój się—szepnął—Pan na nas patrzy.

— Widzi nas?

— Pan wszystko widzi, Pan nas obroni w niebezpieczeństwach.

Z jaskini wyszła postać niewieścia.

Zatrzymała się przy otworze, zwróciła twarz do księżyca i wyciągnęła ręce ku niebu.

Wydawała się, jakby jakie zjawisko. Włosy rozpuszczone okrywały ją długim i szerokim welonem. Biała długa szata błyszczała jak srebrna w promieniach księżyca.

Zdawało się, że się unosi w powietrzu.

Zaczęła się chwiać i jęczeć straszliwie. Echo powtarzało jej jęki kilkakrotnie.

— Mah hi?—szepnęła talita.

— Czarownica pewnie—odrzekł Aminadab.

Tymczasem niewiasta zaczęła ze stękanem posuwać się do strumienia. Oglądała się przytem niespokojnie.

Gdy stanęła nad brzegiem, nachyliła się i zaczęła pić wodę. Potem usiadła; rwała sobie włosy, załamywała ręce, wyciągała je ku niebu i wyła głosem nieludzkim.

— Może to nieszczęśliwa branka uciekła z obozu, może tam gdzie leży jej dziecko, porzucone na puszczy...—szeptał cicho Aminadab.

— Boję się!—szeptała Hadassath.

— Nie bój się, to musi być bardzo nieszczęśliwa niewiasta.

Tymczasem usłyszeli jej słowa:

— O, psy pogańskie, szatany nie ludzie, niech Bóg nie szczędzi wam kary, niech zniszczy wasze szczęście, jakoście wy mnie zniszczyli.

— To napewno jedna z tych nieszczęśliwych niewolnic. Słyszysz, jak przeklina pogan?

— Słyszę.

— Pójdę do niej.

Hadassath objęła go mocno.

— Nie chodź, ja się boję.

Nieszczęśliwa dalej zawodziła:

— O, córko moja, gdzież cię zobaczę?... Zabili

cię tyrani, ciało twoje utopili. Gołąbko ty moja, serce moje, gdzież jesteś?

I rzuciła się na ziemię i zanosła głośnym płaczem.

Aminadab zamienił się w słuch.

Obejrzał się dokoła. Za nim czerniały wąwozy liczne, z których dochodził złowrogi pomruk dzikiego zwierza; wysoko piętrzyły się skaliste szczyty, a przed nim rozpostarta płaszczyzna ponura; wszystko, oblane srebrnem światłem księżyca, przybrało rozmiary tajemnicze, budzące trwogę.

Wiatr przyniósł znów narzekanie z nad rzeczki:

— Tu życie położę... bez męża... bez dzieci, bez dachu. Ach, gdzieżeś Hadassath moja, jedyna?!

— *Emi, Emi!*¹⁾—krzyknęła talita i zerwała się na równe nogi.

Aminadab drżał, jak liść.

Płacząca niewiasta poruszyła się i zdawała się słuchać.

— *Emi!*—powtórzyła talita.

— Hadassath mnie woła? śni mi się? czy oszalałam?—zawołała niewiasta.

Ale talita schwyciła Aminadaba za rękę i pobiegła już śmiało do matki.

Była to rzeczywiście jej matka.

Talita rzuciła się jej na szyję, wołając z płaczem:

— Emil emil

Niewiasta, zdziwiona i przestraszona, pytała:

— Hadassath, żyjesz?

— Żyję, emil

— Zkąd się tu wzięłaś?

— Siedzieliśmy z Aminadabem w pieczarze, gdy poganie odchodzili.

¹⁾ Matko moja, matko moja!

Niewiasta dopiero teraz spostrzegła Aminadaba, który rzekł:

— Wyniosłem ją z obozu, ażeby się poganie nad nią nie pastwili, i ukryłem w tej oto grocie.

— Dobry mój chłopcze!—zawołała wzruszona— a ja myślałam, żeś ty ją utopił...

— Ja? miałbym ją topić? a to dlaczego? Jabym jej teraz nie dał ruszyć choćby samemu Nabuchodonozorowi.

— Dobry Aminadabie, ja ciebie przeklinałam tak strasznie za talitę moją ukochaną, a tyś ją wybawił z rąk tych psów pogańskich...

— Niech ich Bóg nawiedzi wszelkiemi nieszczęściami!—zawołał Aminadab.

— Niech ich pograży w otchłanie piekła!—przywótórzyła mu niewiasta.

— Ale zkąd ci przyszło do głowy, że ja chciałem utopić talitę?

— Widziałeś, jak żołnierz stanął mi na piersiach i cisnął do ziemi. W walce z nim straciłam przytomność. Co się działo ze mną, nie wiedziałam. Gdym się przebudziła i gdym mogła nanowo myśleć, była noc. Ujrzałam wtenczas, jak wzięłeś Hadassath i poszedłeś z nią do rzeki. Poszłam za tobą. Strażnik mnie nie zauważył. Widziałam, jak szedłeś, i jak złożyłeś talitę nad wodą. Byłam w rozpacz, nogi się chwiały podemną, już nie widziałam. Wyteżyłam jednak wszystkie siły i pędem przypadłam do strumyka. Jej nie było, a ciebie widziałam, jakeś wchodził do grotu.

Upadłam i nie wiem, co się ze mną działo.

Gdym otworzyła oczy, słońce wschodziło. Krzyki w obozie rozlegały się głośno. Zebrałam siły, przeszłam przez wodę i schroniłam się w jaskini. Tu przesiedziałam w odrętwieniu przez cały dzień. Wieczorem chciałam wyjść i wyszłam, ale, jak się okazuje, innem wyjściem.

Aminadab usiadł na kamieniu i patrzył ze

smutkiem w dal. Wschodnia część nieba zaczęła przyświecać barwą jaśniejszą; noc była chłodna, gwiazdy bladły, księżyc wsuwał się powoli między góry.

Talita spoczywała na łonie matki, która obsypywała ją pieścizotami.

Tak upłynęła noc.

Na wschodzie wystrzelił nagle snop jasnych promieni i niebawem wyrzało słońce, ciekawie i wesoło rozglądając się po ziemi. Była ona pusta, smutna, jak ruiny domu po strasznej pogorze.

Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się ślady po obozie i zlewały się z błękitem.

Strumyk tylko wesoło uśmiechał się do słońca, tocząc swe lśniące wody po kamieniach swobodnie, bez przeszkód. Po obu jego brzegach złociły się liście w blasku pięknego poranka. Ptaszki kończyły swe pieśni poranne i rozlatywały się za żerem.

Troje ludzi patrzyło w niemej trosce przed siebie. Ich blade twarze, oczy dziwnym blaskiem pałające, ruchy leniwe świadczyły, że byli bardzo zmęczeni...

Nie jedli już całą dobę.

— Ta droga czarna prowadzi do Jerozolimy — rzekł Aminadab, wskazując na ślady obozu i chcąc przerwać to ciężkie milczenie.

— Elohim — mruknęła niewiasta — jak to ztąd daleko!

— Tyleśmy dni szli.

— Już my tam nie wrócimy, chłopczel!

— Bóg to raczy wiedzieć. Każda niedola musi się przecie skończyć. Na świecie nic niema trwałego.

— Tak, ale my końca tej niedoli nie doczekamy.

— Przecież tu siedzieć nie będziemy. Wytniemy nieco; gdy obie z Hadassath sił nabierzecie, pój-

dziemy szukać schronienia, a potem zobaczymy, co Pan Bóg da.

— Emi, jeść mi się chce—wyszeptała talita.

— Adonai, zkaż ci wezmę pożywienia.

— Emi, głowa mnie boli.

— O, Adonai, zeslij nam pomoc, jakoś zesłał nieszczęśliwej Agarze na puszczy.

— Pójdę — przemówił Aminadab — poszukam owoców, albo znajdę jaką osadę ludzką.

— Gdzież pójdziesz, chłopcze? Wojsko wszystko zniszczyło. Dokoła pustynia.

— Pójdę tam, na lewo, między góry. Tędy nie szło wojsko.

— Trafisz na dzikiego zwierza, lub się zabłąkasz, a my tu same zginiemy.

Ale Aminadab, któremu głód szarpał wewnętrzności, nie słuchał.

Poszedł. Skręcił w wąwóz głęboki, wilgotny, zarosły krzewami i niebawem zginął.

Tymczasem słońce zaczęło dogrzewać; cisza panowała grobowa: nie poruszył się listek, nie zaśpiewał ptak, nie zabrzęczał owad.

Hadassath tak osłabła, że nie mogła siedzieć. Położyła się więc na ziemi. Matka przyniosła jej w dłoniach wody, ale to mało ją pokrzepiło. Dostała strasznego bólu głowy.

Z przynkniętymi oczyma leżała i jęczała boleśnie. Twarz jej zsiniała, spuchnięta, z krwawymi pręgami, była straszna. Otwierała spieczone i nabrzękłe usta, jak ryba wyrzucona z wody; jakby chciała pochłonąć wiele powietrza, żeby się niem nasycić, lub też gryzła spuchnięte palce. Szeptała coś niewyraźnie, jakby kogo o coś błagała. Matka mogła odróżnić tylko: jeść, chleba...

Płacząc głośno, nosiła jej wodę w dłoniach i wlewała do ust. To przynosiło jej bardzo małą ulgę...

Promienie słońca przedarły się przez rzadkie

liście krzewu, pod którym leżała talita, i ozdobiły jej czarną głowę złocistemi kółeczkami. Śliczne włosy i kształtna główka stanowiły wielkie przeciwieństwo do twarzyczki zeszpeconej biczem niecnego oprawcy. Usta były zupełnie czarne; już mówić nie mogły.

Matce serce się krwawiło na widok dziewczyny, której w niczem ulżyć nie mogła. Krzyk niewypowiedzianej boleści dławił ją, cisnął się gwałtem do gardła; miała ochotę zerwać się, biegać i tłuc głowę o twarde skały, albo tarzać się i gryźć ziemię, lub skoczyć w spienione nurty strumyka. Siedziała jednak cicho; ból wepchnęła na samo dno serca, do najtajniejszej komórki i trzymała go tam na uwięzi; nie pozwalała mu ani na chwilę wyjść zamtąd, bo czuła, że jak mu popuści cugle, to się już nie opanuje...

Z zaciśniętymi zębami siedziała i wpatrywała się w dziewczynę, która zapadała w coraz większą gorączkę.

Godziny upływały długie, dręczące. Słońce przeszło przez zenit i powoli zaczęło się zsuwać ku ziemi. Aminadab nie przychodził.

Nieszczęśliwa niewiasta nie widziała ratunku. Była tak znużoną, że ledwie mogła chodzić. Ani więc marzyć mogła o opuszczeniu tego miejsca, boby tality nie udźwignęła, a za nic w świecie nie zostawiłaby jej samej. Już jeżeli mają umierać z głodu, niech umierają razem, przy sobie, niech przynajmniej kości ich spoczną tu we wzajemnym uścisku.

Ale głód się wzmagał. Przyszedł jej na myśl wygodny dom w Jerozolimie, w którym żyła szczęśliwie i dostatnio; stanął przed nią mąż, który zginął w obronie miasta; przesunęły się w duszy wszystkie chwile, które przepędziła bez troski w domu rodziców i męża. A oto, przyszedł najezdca, zbój, zrujnował to szczęście, uczynił ją bydłciem bezwolnem, bezmyślnem i znęcał się nad nią i jej ukochaną talitą gorzej, niż nad zwierzęciem.

Opanowała ją nagle wściekłość. Byłaby się rzuciła na kogokolwiek, nawet na Aminadaba, gdyby nadszedł. Paliło ją w piersiach, w gardle, w ustach; w głowie wrzał huragan; ziemia zaczęła się kręcić; dokoła zalegała ciemnica coraz większa, choć słońce świeciło. Widziała je, ale jakieś dziwne, zamglone; zaczęła zgrzytać zębami, chciała coś gryźć i mimowoli gryzła własne palce.

Nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje.

Bolesny jęk tality przywrócił przytomność. Spojrzała na córkę: leżała spokojnie, tylko ustami poruszała niespokojnie, a czasem zrobiła taki ruch ręką, jakby kogoś odpychała.

I znów niezmierna boleść napłynęła do jej piersi. Dźwignęła się z trudem, położyła na samej krawędzi brzegu i zaczęła pić chciwie wodę.

To ją nieco uspokoiło. Ale głód wkrótce odezwał się silniej, niż przedtem.

— Pójdę—pomyślała—może znajdę jaką resztkę po obozie. Choćby jaki owoc zgniły, choćby okruszynę chleba.

Poszła.

Z trudnością przeszła przez strumyk i zaczęła pilnie wypatrywać przy śladach ogniska, które różniecili pasterze. Ale napróżno.

Powlokła się dalej, patrząc pilnie w ziemię, choć sama nie wiedziała, dlaczego. Nie było tu nic do znalezienia. Były ślady kopyt, kół, nóg ludzkich i przeróżnych zwierząt; był gnój, kał; była ziemia brudna, ciemna, miejscami skrwawiona; były szczątki drzewa, słomy, ognia, ale nie było nic, czemby można głód zaspokoić.

Znów ogarnął ją szal. Chciała wrócić do Hadassath, aby razem z nią zakończyć życie.

Przyszła jej myśl bluźniercza: zapytać Jehowę, za co ją tak dręczy? Spojrzała przed siebie; krzyknęła przeraźliwie i upadła na ziemię.

W chwilę potem widziała nad sobą dwa straszne

łby; czuła gorący oddech z dwóch paszczy i przestała czuć i myśleć.

Słońce kryło się za dalekie wierzchołki gór Hermonim. Ostatnie jego promienie patrzyły na skrważone ciało niewiasty hebrajskiej i żegnały umierającą jej córkę, która nieprzytomna stała nad brzegiem wesoło szemrzącego strumyka.

III.

Starym gościńcem handlowym, którym niegdyś kroczyły zastępy Elamitów przeciw Chaldejczykom, a od dawien dawna kupcy prowadzili swe karawany ze wschodu na zachód, ciągnęła gromada jeńców.

Droga była przykra, zwłaszcza dla nieprzywykłych, bo prowadziła przez wiele brodów, przez Tygrys, wielki kanał między Eufratem i Tygrysem, el Waset i przez wielkie bagniska.

Biedni wygnańcy tak byli wycieńczeni trudami niezmiernie długiej podróży, że podobni byli raczej do szkieletów. Zupełnie też zobojętnieli na wszystko, co ich otaczało. Nie obchodziła ich okolica, ani nowe widoki, ani ślady wysokiej w tych krajach cywilizacji. Zdawało się, iż zamarła w nich istota człowieka, a zostało tylko bezmyślne zwierzę.

Szli, gdy im kazano iść; spoczywali, gdy nakazano odpoczynek—z jednakową obojętnością, bezmyślnie, ociężale. Nie cieszyło ich słońce, nie smucił mrok, nie przerażało zimno. Gdyby ukazano im rusztowanie, na którym czekałby na nich kat z mieczem, zostaliby tak samo obojętni.

To też nie zrobiły na nich żadnego wrażenia wesołe okrzyki żołnierzy, którzy, wskazując przed siebie, wołali:

— Suza! Suza.

Co ich mogła obchodzić Suza?

Wiedzieli wprawdzie, że to miasto jest końcem ich podróży, że tu osiedą i tu resztę życia przepędzić będą musieli, ale dla nich wszystko jedno: Babil, Ahane, Sippara, czy Suza; wszędzie—wygnanie.

Wiadomość o blizkim celu pochodu mogła ich bardziej chyba przygnębić, bo otwierało się przed nimi nowe życie w niewoli i poniżeniu.

Tymczasem coraz wyraźniej widniały na widnokręgu długie szeregi murów, najeżonych wieżami. Miasto zdaleka wyglądało, jakby uniesione w powietrzu ponad wierzchołkami drzew. Zbudowane bowiem było na sztucznej wyniosłości, panowało więc nad okolicą.

Dzień się miał ku zachodowi. Słońce rzucało ukośne promienie na miasto, którego mury błyszczały jaskrawo w rozmaitych barwach: czarnej, białej, czerwonej i niebieskiej.

Po lewej stronie zielonym pasem ciągnęły się ponure, gęste bory, do których nie wolno było wchodzić zwykłym śmiertelnikom. Liczne stráže stały dookoła, a rowy głębokie, napełnione wodą, otaczały je. Tam przebywali bogowie suryjscy, ukryci w kaplicach tajemniczych, do których tylko królowie i kapłani mieli dostęp.

Nikt nie wiedział, co się tam działo pod osłoną drzew; jakie się tam odbywały obrządki krwawe, jakie tajemnice lubieżne.

Tam dawni królowie Elamu składali bogom część łupów po każdej wojnie zwycięskiej. Leżą więc tam skarby nieprzebrane: posągi bóstw nieprzyjacielskich, naczynia kosztowne, sztaby złota i srebra, cenne sprzęty, tkaniny drogie.

W ciągu dwudziestu wieków składano tam łupy, zrabowane w Uruku, Sipparze, Babilu i wielu innych miastach chaldejskich; a niedawno złożono łupy, przywiezione z miast zdobytej Assyrii.

Wtajemniczony jednak w życie kapłanów poda-

by w wątpliwość nietykalność tych skarbów, które mogły się gdzieś ulatniać, a jednak ogólnie wierzono, że tam są. W ostatnich bowiem czasach, gdy Suza stała się drugą stolicą państwa medo-perskiego, napływało do niej wielkie mnóstwo ludzi rozmaitych narodowości i religij, i cześć dla dawnych bogów elamskich osłabła.

Dalej ku wschodowi, za gajami widniały groby dawnych królów elamskich. Dzieje ich podobnie tajemnicze i tragiczne, jak gąszcze gajów świętych, bo nigdzie zdrada i morderstwo niesprzątnęły tyłu władców, co w Suzie. Niewiele też naliczyłyby na tym cmentarzu grobów, któreby nie były zbryzgane krwią.

Na prawo błyszczała rzeka Chaospis, umajona rozlicznymi drzewami olbrzymich ogrodów, które, poprzerynane kanałami, otaczały miasto pięknym wieńcem zieleni.

Nad rzeką, na tle lasu palmowego, rysowała się wioska Tulliz, gdzie były chaty rybaków i piękne domy magnatów.

Zbliżono się do bramy południowo-zachodniej.

Mardochai nieco się ożywił. Z podziwem patrzył na ogromne mury, otaczające miasto.

Co kilkadziesiąt kroków strzelały w górę okrągłe wieże, występujące nieco na zewnątrz. Ich zębate szczyty groźnie patrzyły z góry na tłumy, snujące się po ogrodach; każdej chwili ukryci w nich łucznicy mogli wyrzucić grad strzał.

Wysokość muru dochodziła do trzydziestu łokci, a szerokość była tak znaczna, że siedem wozów wojennych mogło pędzić po nim.

W bramie panował ścisk i zgietk nie do opisania.

Wieśniacy okoliczni przechodzili tłumnie. Jedni pędzili przed sobą bydło, inni ciągnęli wózki, naładowane jarzynami i owocami; kobiety niosły różne naczynia.

Żołnierze, krzycząc i uderzając biczem na prawo i na lewo, z trudnością zrobili przejście.

Pochód wkroczył do małego zameczku, zbudowanego przy bramie. Zdobity go po rogach cztery baszty. Stali tu na straży żołnierze.

Dowódca oddziału, prowadzącego jeńców, zamienił z nimi słów kilka, i zaraz wpędzono ich na wielkie brukowane podwórze, z kąd przeszli w długi ciemny korytarz, przecięty w równych niemal odstępach dwiema poprzecznymi galeryami.

Na galeryach pełno było żołnierzy.

Od bramy szła szeroka ulica, wybrukowana, ale bez chodników.

Mardochai, mimo zmęczenia i niechęci, oglądał się ciekawie.

Domy wszystkie jednopiętrowe. Drzwi od ulicy wąskie i wysokie ukrywały się w rogu ściany. Mury domów gładkie, podobne do wysokich parkanów, tylko gdzieś na jednostajnym murze widniało małe okienko. Nad płaskimi dachami wznosiły się stożkowate wieżyczki lub półkopuły.

W miarę zapuszczania się w głąb miasta, domy były coraz większe i piękniejsze, ukazywały się pałace wspaniałe.

Ruch też stawał się coraz większy.

Paradne pojazdy mieszały się z tłumem pieszych. Woźnice nader umiejętnie kierowali końmi. Od czasu do czasu, gdzie ruch był większy, musiano pochód zatrzymać. Żołnierze na koniach torowali przejście.

Lud spotykany był rozmaitego pochodzenia i wyglądu. Tu Med z jasnymi włosami i niebieskimi oczyma; tam Assyryjczyk z nosem orlim; owdzie najczystszy typ Armeńczyka; ale najwięcej było Persów.

Wszyscy z ciekawością patrzyli na biednych wygnańców, jakkolwiek takie pochody z jeńcami były w Suzie na porządku dziennym.

Zatrzymano się w gospodzie, niedaleko pałacu królewskiego.

Słońce już zaszło. Wieczór był zimny.

Przez wąskie i wysokie drzwi przeprowadzono jeńców na wielkie prostokątne podwórze.

Mardochai przypomniało się jego haczer w Jeruszałaim. Westchnął boleśnie.

Na środku rośło kilka sykomorów, których rozłożyste konary, okryte gęstym liściem, wypełniały całe prawie podwórze. Pomiędzy sękatymi pniami tych drzew ukrywała się studnia, w której woda była świeża i zimna.

Naokoło podwórza—na dole i piętrze—był szereg izb, oraz kilka wielkich komór, przeznaczonych na stajnie i składy.

Zapadła noc ciemna i chłodna.

Na podwórzu rozłożono ognisko i zajęto się przyrządzaniem wieczerzy.

Mardochai jednak odrazu rzucił się na słomianą matę, jaką mu przeznaczono za posłanie, tak był żądny spoczynku. Nie myślał o wieczerzy, ani o towarzyszach, którzy zamieszkali w tejże izbie.

W tej chwili zasnął.

Dawno już nie spał tak smacznie i długo, jak na tej twardej macie. Na drugi dzień ledwie go dobudzono.

Gdy wyszedł z izby, dzień już był jasny w górze, ale na dole panowały cienie od wysokich gmachów i wielkich koron sykomorów.

Wszyscy jeńcy byli już ustawieni w szeregi.

Niebawem nadeszła komisya, złożona z kilku dygnitarzy, otoczonych tłumem sług i niższych urzędników. Wojsko ustawiło się przy ścianach podwórza w czworobok.

Zaczęło się badanie i ocena jeńców.

Każdego pytano, zapisywano i przeznaczano mu odpowiednie zajęcie.

Piekarze szli do piekarni, kucharze do kuchni, kowale do kuźni, dziewczęta do haremu i t. d.

Gdy przyszła kolej na Mardochai, jeden z urzędników zapytał:

— Jak cię nazywano?

— Mardochai.

— Mardochai z Jeruszałaim?—zapytał inny, patrząc na tabliczki, na których byli spisani wszyscy jeńcy królewcy.

— Z Jeruszałaim—powtórzył Mardochai.

— Byłeś w orszaku królewskim?

— Byłem pędzony do niewoli razem z królem i przedniejszymi mego narodu—odrzekł, dumnie wznosząc głowę.

Miał postawę szlachetną.

— Czem zarabiałeś?

— Bóg mój dał mi w posiadanie dom, ziemię i liczne trzody; nadto miałem wiele sług i służebnic.

— Szeik! Będziesz pisał w kancelaryi królewskiej.

— To dobrze.

— Mówisz językiem assura i swoim własnym; będziesz bardzo sekretarzowi przydatny.

— Znam język krajów Palasta, Musri, Rahylu i Assura ¹⁾.

— Tem lepiej. Będziesz bardziej ceniony. Możesz już odejść.

Mardochai wyszedł w towarzystwie jakiegoś urzędnika, który go objął w posiadanie.

Rozmawiali po chaldejsku.

Niebawem znaleźli się przed ogromnym budynkiem, który rozmiarami imponował całej dzielnicy.

— Co to za dom? — zapytał zdziwiony Mardochai.

— To pałac króla. Tu właśnie idziemy.

Mardochai nie mógł wyjść z podziwu.

Wspaniały był Bet-hamelech w Jeruszałaim, ale gdzie mu się mierzyć z tym olbrzymem, który był jakby jakie miasto.

¹⁾ Hebrajski, egipski, chaldejski i assyryjski.

Wznosił się na wysokim pagórku, usypanym i obmurowanym z cegły w czworobok, tak wysokim, że fundamenty jego górowały nad dachami otaczających go domów.

Po schodach weszli na ten mur i znaleźli się przed bramą wysoką, piękną. Była ona między dwiema basztami, na których powiewały chorągwie. Przy bramie stały dwa ogromne byki skrzydlate i dwa geniusze.

— To brama królewska — rzekł przewodnik — przez nią tylko król może przejeżdżać.

— A to co? — zapytał Mardochai, ukazując na byki i geniusze.

— To kiruby.

Mardochai jednak nie zrozumiał, co to są kiruby; chciał pytać dalej, ale Pers pociągnął go za sobą w bramę boczną, znacznie niższą od środkowej i wprowadził na niezmiernie wielkie podwórze.

Był to istny jarmark.

Kupcy, wszelkiego rodzaju dostawcy, ubodzy, interesanci z prośbami, gromady próżniaków, których nigdy i nigdzie nie brakuje, kręcili się, przepychali, klnąc i wymyślając w rozmaitych językach.

Oddziały żołnierzy maszerowały na zmianę, gońcy przelatywali z depeşami; kręcili się urzędnicy, jedni wchodzili na posłuchanie, inni wychodzili.

Całe karawany osłów, obciążonych różnemi produktami, setki niewolników — mężczyzn i kobiet z dzbanami na głowach biegną do rzeki po wodę, której wciąż potrzeba dla ogromnego dworu.

Przewodnik objaśniał Mardochai:

— To podkomorzowie haremu, to eunuchowie dworu niewieściego! To pokojowcy królewscy! To zwiastunowie godzin! To stajenni! To dozorecy psów! A to skarbnik, a to pisarz, a to szambelan!...

Widząc zainteresowanie Mardochai, oprowadził

go po całym podwórzu i wskazywał rozmaite gmachy, które tam stały.

— To są piwnice z winem i oliwą. A wina jest tyle, że cała Suza mogłaby się w niem wykapać... A dobre są wina!—cmoknął językiem.

— Tu jest ponęta, bah!

— Co takiego?

— Żebyś wiedział, ile tu leży drogich kamieni, kruszców, toby cię rozum odleciał... Tu jest skarbiec królewski, tu są wszystkie łupy, wydarte narodom pokonanym, i daniny, składane przez wszystkie prowincye.

— Dużo danin wpływa do skarbu?

— A któżby je zliczył? Żebyż to było tylko złoto i drogie kamienie; ale każda prowincya oprócz tego daje inne daniny. Kraj Mussi siedemset talentów zboża; Madai sto tysięcy owiec, cztery tysiące koni; Kappadocya połowę tych samych zwierząt; Armenia dwadzieścia tysięcy źrebiąt... Ale ktoby mógł wyliczyć to wszystko, co tu idzie co rok, ba! co dzień?

Zamyślił się widocznie nad ogromem podatków, a potem zcichł, jakby sam do siebie, rzekł:

— A to wszystko ginie w obrębie tych murów, dla zgrai, tej hołoty, która obsługuje jednego człowieka.

Zbliżyli się do olbrzymiej kuchni, w której kilkuset ludzi pracowało dzień i noc.

— To są kuchnie — rzekł Pers — i piekarnie, a tam dalej składy chleba. Za składami zboża mieszczą się stajnie dla koni i wielbłądów, gdzie są też i wozy.

Mardochai nie widział jeszcze tak różnobarwnego tłumu, nie słyszał tylu języków pomieszanych w jeden zgiełk ogólny, nie widział tyle strojów narodowych, nieraz dziwacznych i śmiesznych.

To też zapomniał na chwilę o swej niewoli; przyglądał się i przysłuchiwał wszystkiemu z wielkiem zaciekawieniem.

Wreszcie zatrzymali się w południowej części podwórza.

Były tu gmachy mieszkalne.

— Tu mieszka służba pałacowa i urzędnicy — rzekł Pers.—Każda rodzina ma własną izbę, a pożywienie otrzymuje z kuchni królewskich. Ty, jako pisarz królewski, też tu zamieszkasz.

I wprowadził go do izby bardzo małej i ciemnej.

Stało w niej łóżko, okryte matą trzcinową, dwa niskie stołki, coś w rodzaju stolika i parę naczyń. Było tu niezmiernie pusto i przerażająco smutnie.

Mardochai wspomniał na swój dom wspaniały w Jeruszałaimie i odrazu stanęła mu przed oczyma ojczyzna, w której miał szczęście, bogactwo i znaczenie, a tu ma niewolę, poniżenie i wieczną tęsknicę.

— Adonai!—szepnął w języku ojcystym—ukarałeś mnie srogo, ale niech błogosławione będzie imię twoje.

Przewodnik, jakby chciał rozproszyć jego myśli smutne, rzekł:

— Dziś i przez dwa dni następne jesteś wolny; możesz zobaczyć miasto, możesz się urządzić, możesz robić, co ci się podoba — ale po trzech dniach przyjdiesz do roboty.

Powiedział i wyszedł.

Mardochai uczuł się nagle ogromnie zmęczonym. Było już blisko południe, a jeszcze nic nie jadł i, co gorsza, nie wiedział, gdzie i jak głód zaspokoić.

Rzucił się więc na matę i zaczął rozmyślać.

Przeszedł tyle dni drogi przez puszcze, góry, wąwozy i rzeki. Widział rozmaite miasta i rozmaitych ludzi. W Babilonie przy podziale jeńców dostał się królowi medo-perskiemu, który był w przymierzu

z Chaldejczykami i posłał im do pomocy przeciw Nechao kilka pułków wojska. I oto leży w komorze, jako niewolnik opuszczony, głodny, samotny, zdaleka od swoich i ojczyzny. Czy wróci kiedy do niej? Czy ujrzy kiedy choć gruz miasta świętego? O, Boże, jakżebym chciał choć na chwilkę przed śmiercią.

Weszła niewolnica i postawiła na stole pilaw i kawałek baraniny.

Rzucił się do jedzenia.

Patrzyła na niego z politowaniem. Domyśliła się, że był bardzo głodny.

Zaczęła coś mówić, ale jej nie rozumiał.

Gdy głód zaspokoił, pokazał jej znakami, że chce pić.

Pobiegła i niebawem przyniosła w naczyniu jakiś napój, który mu bardzo smakował. Potem przyniosła jeszcze kilka owoców sykomorowych i odeszła.

On też wkrótce zasnął w swem nowem mieszkaniu.

Na drugi dzień rano wyszedł przyjrzeć się tej części pałacu, gdzie mieszkał.

Była wspaniała.

Nadzwyczaj szerokie schody marmurowe prowadziły do mieszkania królewskiego, a tak były wypolerowane, że lśniły na słońcu, jak powierzchnia cichej wody. Mardochai ujrzał w nich odbicie własnej osoby. Schody były podwójne.

Miedzy schodami stało na straży osiemnastu kopijników w długich szatach czerwonych.

Mardochai odważył się wejść po schodach na szeroki taras. Tu wznosił się olbrzymi portyk o kilku ozdobnych kolumnach. W głębi portyku widać było dwie bramy, które prowadziły do wewnętrznych pokojów. Posadzka w portyku i na tarasie wyłożona była olbrzymimi płytami gładzonego marmuru. Przy bramach spoczywała para byków skrzydlatych i dwa sfinksy.

Po bokach portyku stały dwa ogromne słupy

kwadratowe, niby obeliski, wyższe od reszty pałacu. Na ich wierzchołkach stały dwa lwy z otwartymi paszczami. Słupy te były białe, gładko tynkowane i rążąc odbijały od ścian zewnętrznych, kolumn, całego portyku, malowanych w rozmaite barwy i ozdobnych płaskorzeźbami i napisami.

Na każdym rogu tarasu był posąg lwa, duszący byka.

Na tarasie i w portyku pełno było żołnierzy w długich, szerokich szatach, w kraciastych, okrągłych czapkach. Każdy trzymał przed sobą włócznię, a za plecami miał łuk i kołczan ze strzałami.

Z tarasu widać było prawie całe miasto i jego okolice, a wszystkie zabudowania pałacowe widniały, jak na dłoni.

Mardochai patrzył ciekawie na rojny tłum, snujący się na podwórzu. Mnóstwo wózków toczyło się po murze pochyłym do bramy, wiodącej na podwórze; inne wózki i konni jeźdźcy jechali na dół po tej samej drodze, wracając do miasta.

Zauważył teraz, że pałac cały ze wszystkimi dziedzińcami i gmachami składa się z dwóch olbrzymich czworoboków.

Jeden, większy, jest w mieście samem, drugi, mniejszy, wystaje po za mury miejskie i dotyka z jednej strony cmentarza elamskiego, z drugiej strony gnie w świętych gajach.

Właściwy pałac, to jest ta część, w której mieszka sam król, stoi na murze; w mieście jest ów ogromny dziedziniec ze wszystkimi jego gmachami, a po za murem rozciągają się ogrody, rozrzucone na sztucznych pochyłościach, ogromnych tarasach, w głębokich wąwozach.

Niezliczone mnóstwo kanałów, wodospadów, sztucznych strumieni błyszczało tęczowemi barwami. Ogrody mieniły się najróżnorodniejszymi kolorami. Były tam całe przestrzenie róż najpiękniejszych i wszelkiego kwiecia; były trawniki, po których biegały wesołe

antylopy (*the*); ciemne gąszcze, w których ryczały lwy, tygrysy i inne zwierzęta. W rozmaitych punktach stały wieże, z których myśliwi w czasie połowania strzelali do zwierząt.

W północnej części ogrodów wznosił się wspinały gmach, który górował nad całym miastem.

Pod nim stały dwa potężne pylony. Była to, jak się później dowiedział, *apadana*, czyli *bisan*, gdzie król odbierał hołdy publiczne.

Mardochai patrzył na te cuda sztuki i podziwiał mądrość pogan.

Widział on już podobne dziwy w Egipcie i Babilu, ale nigdy tak się nimi nie zachwycił, jak dziś.

Gdy warty się zmieniały, zeszedł z tarasu na podwórze i leniwie powlókł się do swego mieszkania.

IV.

Aminadab niebawem zabłądził w wąwozach, które wysokimi korytarzami rozbiegały się w różne strony i przecinały się w rozmaitych kierunkach. Ściany tych korytarzy, jakby ubielone wapnem, pokryte były zieloną roślinnością. Dno kamieniste raniło mu nogi; a gdy ściany bardzo się zwężyły, gęstniała roślinność, powietrze było przesycone stęchlizną, że z trudem szedł naprzód.

Gdy znów ściany się rozchodziły, drzewa stawały się rzadsze, grunt równiejszy, ale słońce, odbijając promienie od boków góry, prażyło go niemiłosiernie.

Prędko więc uczuł się bardzo znużonym. Głowa go bolała, paliło pragnienie, głód szarpał wnętrzności. Chwilami w oczach, zalewanych potem, robiło się tak ciemno, a w piersiach brakło tchu, że musiał przystawać i odpocząć.

Szczęściem w jarach rosły sykomory.

Usiadł pod jednym, zerwał owoc i zaczął jeść z chciwością. Nie przypuszczał, żeby był taki smaczny. Dawniej nie jadłby sykomora, a dziś jakże mu smakuje.

Przypomniały mu się te czasy, kiedy ze zdziwieniem patrzył na tych, którzy jedli sykomory; a zaraz stanęła mu przed oczyma jego dobra matka, z którą nawet nie wie, co się stało; ojciec, cały dom rodzinny, cała Jerozolima, wszystko, co było jego szczęściem.

Potem przesunęły się po kolei krwawe wypadki: rzeź w mieście, bohaterska śmierć ojca, porwanie go i długi pochód do niewoli.

Łzy gwałtem cisnęły mu się do oczu: zaczął płakać.

Ale gdy wspomniął swego okrutnego pana, od którego uciekł, i talitę z matką, umierające nad strumykiem, zerwał się, otarł prędko łzy, podniósł pięść do góry i zawołał:

— O psy pogańskie, zemsta wam! Zemsta wam, goimyi! Żywie Bóg izraelski, że nie daruję wam śmierci ojca i tych krzywd, jakie nam wyrządziliście.

Echo powtórzyło słowa dwunastoletniego chłopca, głodnego i słabego, zabłąkanego wśród skał nieprzyjaznych, otoczonego drapieżnem zwierzem.

Były one zuchwałe i śmieszne, ale biednemu wygnańcowi dodały otuchy.

Narwał sykomorów i chciał wrócić nad strumień, ale stanęła za nim skała, której przedtem nie widział. Dwa wąwozy oddzielały ją od reszty gór.

Aminadab stał jakby na dnie szerokiej studni suchej, z kąd rozchodziły się trzy korytarze, ale którym tu przyszedł, nie wiedział. We wszystkich rosły drzewa, wszystkie buki były białe, upstrzone zielenią.

Spojrzał w niebo, ale słońca nie było widać.

Opromienione niem były wszystkie szczyty jednakowo, a w dole był wszędzie cień.

Znów łzy napłynęły mu do oczu.

Był w rozpacz.

Dokoła cisza, pusto, strasznie. Dokąd iść? Który z trzech wawozów wybrać?

— Adonai! — szepnął — oświeć mnie. Nie daj, abym tu zginął z głodu. Boże Abrahamów, zlituj się nad moją niedolą. Cóżem ci zawinił, że mnie tak okrutnie karzesz? Cóżem ja jest, że okazujesz mi gniew swój?

Wtem przyszedł mu na myśl Jakób.

Był niewiele starszy od niego, a może nie był starszy wcale. I musiał uciekać od rodziców, od zagniewanego brata, Ezawa, i tak samo pewnie błakał się samotny, jak on teraz. A szedł przecie do krain Babilu, może tą samą drogą, którą on teraz idzie; może stał w tem samem miejscu, w którym on teraz stoi? Szedł i zaszedł. Jehowa czuwał więc nad nim.

Nabrał otuchy, westchnął i poszedł przed siebie. Rozumiał już, że Hadassath nie znajdzie, że do niej nie trafi, chyba później kiedy. Teraz myślał, aby spotkać jaką osadę, lub choćby jednego człowieka, bo mu było straszno samemu wśród tych parowów głębokich.

Jar zaczął się rozszerzać; sykomory rosły coraz gęściejsze; góry były niższe i bardziej pochyłe; białe ściany ustępowały miejsca zielonym stokom, na których rosły całe lasy topoli białych, jaworów, dębów, cyprysów, akacyj, a najwyżej ukazywały się modrzewie, rzadko cedry. Na dole, u podnóża gór, wspinały się gęsto winne latorośle.

Aminadab szedł zamyślony.

Grunt stawał się coraz równiejszy, ale on nie zauważył tego.

Niebawem znalazł się na wydeptanej ścieżce, która wiła się kręto wśród boru.

Zaczęło ciemnieć.

Z gór spłynął chłód i przejął go dreszczem. Liście poruszyły się niespokojnie, jakby go ostrzegwały, że zbliża się noc, w której wyjdzie z kryjówki hye-na i wszelki zwierz drapieżny, który może być gorszym od Nabuchodonozora. Sykomory poruszały konarami, jakby go wabiły, aby tam szukał schronienia.

Ale on szedł, mruczając klątwy na pogan:

— Niech tylko urosnę, za wszystko wam odpłacę.

Szedł coraz prędzej, jakby go kto pchał wciąż naprzód i naprzód.

Pot spływał mu strumieniami po twarzy; włosy przylepiły się do czoła; dreszcz nim wstrząsał i zęby szczękały. Był wyczerpany; zaczynało mu już sił brakować, ale on tego nie czuł; szedł obojętny, z zawziętością mruczając:

— Przekłęci, za wszystko wam odpłacę!

Myśli jego uleciały do Józefa, Mojżesza, Dawida, którzy mścili się na poganach. Nie przerażał go więc ciemny las, nie zastanawiały niebezpieczeństwa, nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, gdzie jest i co go czeka. Patrzył na młodych bohaterów swego narodu, myśli jego rozplynęły się w ich życiu, czynach, mruczał więc zawzięcie: „niech tylko urosnę” i szedł.

Gdyby się zatrzymał, gdyby usiadł, już nie mógłby się podnieść, nie mógłby iść; ale on w tej chwili zapomniał o sobie, zapomniał o tem, że idzie, że las robi się tajemniczy, że ciemność go ogarnia coraz większa, że ścieżka o parę kroków niknie; zapomniał o tem i szedł.

Ścieżka skrzyła na prawo; góry się rozstąpiły i pomiędzy drzewami ukazało się światło.

Aminadab ani się ucieszył, ani zadziwił.

Szedł obojętny.

Dopiero gdy światło stało się blizkie, gdy zoba-

czył wielkie ognisko, kilka psów, szarpiących się na uwięzi, i kilku ludzi, oblanych czerwonym blaskiem ognia, zatrzymał się i westchnął:

— Adonai, daj, aby to byli ludzie dobrzy.

Zbliżył się do nich. Patrzyli na niego ciekawie; żaden się nie poruszył. Ogień buchał wysoko; na dwóch kijach wisały kawały mięsa baraniego, z których rozchodził się bardzo przyjemny zapach.

Biedny Aminadab przypomniał sobie nagle, że jest strasznie głodny. Wlepił oczy w pieczeń baranią, jakby w jakie zjawisko nadziemskie; wyciągnął ku niej ręce i zaczął jęczeć takim głosem, że ludzie przerażeni cofnęli się od ogniska, a psy podniosły piekielną wrzawę.

— Aa! aa! — ryczał Aminadab i posuwał się do mięsa, nie bacząc na ogień.

Byłby wpadł w ognisko, ale jeden z nieznajomych odepchnął go, zdjął jeden z piekących się kawałów z kija i podał mu.

Aminadab zaczął jeść z taką chciwością, że wszyscy patrzyli nań z podziwem i litością.

Niebawem jednak zachwiał się; osunął się na murawę i opuścił ręce. Podano mu mleko; wypił je chciwie, upadł na ziemię i zasnął.

Gdy się przebudził, było południe.

Z początku nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Leżał na macie z rogoży w kącie izby...

Podniósł głowę i zaczął się ciekawie rozglądać.

Izba była bardzo uboga. U góry, pod dachem, było kilka małych otworów, przez które zaglądało słońce. Na środku był dołek, w którym tliło się ognisko. Dym błakał się po izbie i ginał w otwartych drzwiach. Nad ogniskiem wisiół kociołek. Podłoga z ubitej gliny przy Aminadabie była wyższa, w drugiej połowie izby o stopę niższa. W niższej części leżało w tej chwili parę jagniąt. Nie było żadnych

sprzętów, tylko w kącie leżały obok siebie maty i na półkach stały naczynia gliniane rozmaitej formy i wielkości.

Przypomniął sobie dzień wczorajszy, talitę, jej matkę i porwał go taki smutek, że położył głowę na macie i zaczął płakać.

Ktoś dotknął go zlekka i rzekł:

— *Salom!*

Aminadab odwrócił głowę.

Przed nim stał siwowłosy starzec i uśmiechał się dobrotliwie.

— Cóż, młodzieńcze, wyspałeś się?

— Gdzie ja jestem? — zapytał Aminadab, powstając.

— Jesteś między przyjaciółmi, którzy ci nie wyrządzą krzywdy.

— Oby wam Bóg wynagrodził, żeście przygarneśli sierotę.

— A zkądżeś ty, synu?

— Zdaleka, ojcie. Jestem z Jeruszałaim, miasta położonego na południu, bardzo daleko ztąd.

— Co robiłeś w naszych lasach?

— Wzięty do niewoli przez wojska nieprzyjacielskie, poszedłem szukać pożywienia dla małej tality i zabłądziłem w wąwozach.

— A gdzie jest ta mała?

— Została z matką nad brzegiem strumienia, ale to daleko ztąd, bo szedłem cały dzień.

— Masz ojca?

— Ojciec mój umarł, zabity na wojnie.

— Masz matkę?

— Nie wiem, czy żyje, bo mnie porwano ze świątyni i jej nie widziałem.

Staremu łza spłynęła z powiek.

Może i on był kiedyś więźniem wojennym; może niewola przygnała go tu ze stron dalekich. Przy-mrużył oczy i myślał.

Tymczasem jedno z jagniąt zbliżyło się do Ami-

nadaba i wyciągnęło pyszczek. Pogłaskał je po miękkim grzbiecie. Żałośnie zabeczało.

Starzec się ocknął.

— Chcesz mleka, sieroto? — rzekł, głaszcząc jagnię.

Ale zaraz spojrzał na Aminadaba.

— Możesz głodny, chłopcze?

— Pusto mam w brzuchu od wczoraj; ale wolalbym wpierw napić się czego, bo mnie gardło pali.

Stary skierował się ku drzwiom, ale w progu stanął, obejrzał się i zapytał:

— A jak cię nazywano, chłopcze?

— Aminadab!

— Aminadab—powtórzył i wyszedł.

Po chwili przyniósł mu w naczyniu mleka i chleba. Gdy Aminadab jadł, patrzył na niego i mówił:

— Jam jest Pulla Achidin, chłopcze. Żony nie mam, umarła; dzieci nie mam—umarły, i... zabrane do wojska. Jestem sam, jako i ty, tylko tyś młody, a jam stary... Mieszkam w tej chacie samotny... Przypominasz mi najmłodszego syna, którego porwano.

— Kto go porwał?

— Rządca tej prowincyi.

— Do niewoli?

— Do wojska.

— Sam mieszkasz w tych lasach?

— Jest tu zaraz wioska; są w niej pasterze, ale ja sam mieszkam w tej chacie.

Aminadab tymczasem się najadł.

Wstał, podziękował Jehowie i Pulla Achidinowi i wyszli z izby.

Przed chatą leżały owce, kilka krów i kóz. Na lewo widać było wioskę.

Usiedli na kłodzie drzewa w cieniu i Aminadab zaczął opowiadać swoje dzieje.

Achidin słuchał uważnie; niekiedy zgrzytnął kil-

ku zębami, które mu jeszcze pozostały, albo jęknął boleśnie, albo też zaciskał pięści.

Owce i kozy zaczęły się podnosić. Podniósł się i Achidiu.

— Idź, synu, do chaty i odpoczywaj, a ja pójdę z trzodą na pastwisko. Wrócę, gdy słońce zajdzie.

Aminadab spał do wieczora.

Pulla Achidin zbudził go i zaprowadził do ogniska, które płonęło na wzgórzu w tem miejscu, gdzie i wczoraj.

Przy ognisku było sporo ludzi: mężczyzn, niewiast i dzieci. Wszyscy przyglądali się Aminadabowi z wielką ciekawością.

Pulla Achidin usiadł na złomie skały, przy nim Aminadab. Mężczyźni umieszcili się po jednej i drugiej stronie; naprzeciwko zaś, z drugiej strony ogniska, zajęły miejsca kobiety i dzieci.

Noc była prześliczna: na niebo wysoko wytoczył się księżyc; w zaroślach śpiewały jakieś ptaki nocne; ogień trząsał wesoło.

— Opowiedz, Aminadabie — rzekł Pulla Achidin — wszystko, coś przeżył; niech sąsiedzi moi pozna-
ją cię.

— Opowiedz, opowiedz — powtarzano dokoła.

Mowa tych ludzi była bardzo podobną do mowy, którą mówił Aminadab. Rozumieli go więc najzupełniej.

Gdy mówił, często w czasie opowiadania wyrывał się z ich piersi okrzyk zgrozy, albo gniewu; niektóre kobiety płakały.

Gdy skończył, zapanowało głuche milczenie. Każdy rozmyślał o losie biednych wygnańców.

Nagle zerwał się wiatr, poruszył wierzchołkami drzew, przeleciał po gałęziach i zginął w wąwozach. Nad głowami zebranych rozległy się dziwnie piękne tony. Niby dźwięki ukrytych gdzieś wysoko dzwonek srebrnych, niby łagodny jęk strun muzycznych.

Wszyscy osłupieli. Nikt nie śmiał przerwać milczenia; kobiety i dzieci przytuliły się do siebie. Zrobiło się zupełnie cicho, tylko słyszać było trzaskanie palących się głowni i gdzieś w głębi lasu śpiew, a raczej krzyk ptaków nocnych.

Wiatr znów zakółysał konarami i tajemnicze dźwięki rozległy się nad głowami, głośniejsze niż przedtem.

— Co za piękna muzyka? — szepnął Pulla Achidin.

Ale Aminadab zmienił się na twarzy. Przyknał oczy i siedział nieruchomo. Dźwięki te zbudziły w nim nadzwyczaj błogie wspomnienia. Widział kapłanów, sprawujących ofiary, słyszał lewitów, śpiewających psalmy i głosy brzęczących kinnorów.

Dźwięki w górze odzywały się częściej, raz głośniejsze, prawie nad głowami, to znów tak cicho, jakby gdzieś w ciemnym błękitcie nieba.

Słuchano tej dziwnej muzyki z przerażeniem, ale i z przyjemnością, a im dłużej trwała, tem bardziej ulatywała twoga, a rosnęło upodobanie.

Zdawało się, że to wiatr śpiewa, bo im gwałtowniej poruszał drzewami, dmuchał w ognisko, szarpał odzież, tem głośniejsze brzmiała muzyka, a gdy za chwilę ucichł, cichły też i jej tony. Albo może drzewa wydawały jęki, że wiatr niemi miota; może się skarżyły, że im nie dają spokoju.

Nagle Aminadab wstał, spojrzał w górę i zawołał:

— To mój kinnor tak gra. Patrzcie, wisi na drzewie, gałązki uderzają o struny i wydobywają dźwięki. Ale kto go tam powiesił?

— Ja — odrzekł Pulla Achidin. — Wczoraj gdy cię nieśli do mojej chaty, upadło to na ziemię, podniosłem, zawiesiłem, a potem zupełnie o tem zapomniałem.

Rozległ się okrzyk podziwu. Wszyscy ze-

rwali się ze swoich miejsc, każdy mówił, krzyczał, śmiał się.

Zagłuszono szum wiatru i tony kinnoru.

Aminadab zdjął z drzewa instrument, usiadł na dawnym miejscu i zaczął grać.

Zrobiło się cicho; wszyscy zajęli miejsca swoje.

Po chwili Aminadab zaśpiewał:

Będę Cię wielbił, mój Panie!
Póki mnie na świecie stanie,
Boś mnie w przygodzie ratował
I śmiechów ludzkich uchował.

Panie, wołałem ku Tobie.

A tyś mnie wsparł w mej chorobie;

Dodałeś mi swej pomocy,

Żem nie uznał wiecznej nocy.

Cóżem ja miał począć sobie?
Jedno głos podnieść ku Tobie,
Co za korzyść, mocny Boże,
Mego zginienia być może? ¹⁾

Przegrał kilka akordów i wpatrzony w księżyc śpiewał dalej:

Natenczas, gdy żydowie dostawszy swobody,
Bystre Nilowe żegnali wody,
Wielka tam na nich łaska Pańska się znaczyła
I niepodobna ku wierze siła:
Morze patrząc uciekło, także Jordanowy
Obrócił się wspak strumień do głowy.
Góry capom podobne wesołym, a skały
Jako jagnięta młode skakały.
Morze, czemuś uciekło? Przeczżeś Jordanowy
Strumieniu, wspak się wrócił do głowy?
Góry! czemuście capom podobne skakały?
A wy, by młode jagnięta, skały?
Bytność Pańską i góry i rzeki szalone
I morze czuło nieujeżdżone.
Który z krzemienia zdroje, a z twardej opoki
Mocen wycisnąć strumień głęboki ²⁾.

¹⁾ Ps. 30

²⁾ Psalm 113 w przekładzie Kochanowskiego.

Uderzył silnie w struny, aż jęknęły boleśnie i wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni, a on opuścił głowę i wsłuchiwał się w te jęki kinnoru, aż znikły gdzieś w gęstwinie leśnej.

Późno już było.

Pulla Achidin powstał, a za nim wszyscy; podziękowano Aminadabowi głośnym okrzykiem i udano się na spoczynek.

Aminadab jednak nie mógł zasnąć. Przewracał się na twardej macie i myślał, dokąd iść i co zrobić.

Przedewszystkiem postanowił, skoro świt udać się na odszukanie Hadassath. Jakoż na drugi dzień z kilku pocziwymi pasterzami puścił się w podróż, ale przed wieczorem wrócili z niczem, bo Aminadab nie mógł w żaden sposób wskazać miejsca, gdzie ją zostawił.

Był zgnębiony.

Został sam wśród ludzi obcych, jakkolwiek pocziwych i nader mu przychylnych. Nie mogli mu zastąpić i w części tego, co utracił. Siedział zamysłony przed chatą i nie kwapił się na wieczerzę.

Pocziwy Pulla Achidin starał się go pocieszyć.

— Zostań u mnie—mówił—będziesz moim synem. Bo i dokąd pójdziesz, skoro nie masz ani ojca, ani matki, ani nawet ojczyzny?

— Mylisz się, zacny Achidine — odparł Aminadab — matki i ojca wprawdzie nie mam, ale ojczyznę mam. Jest pohańbiona, to prawda, ale temci droższa dla mnie i o niej nigdy nie zapomnę.

— Przecież do niej teraz nie wrócisz?

— Tak, ale też zostać tu na zawsze nie mogę.

— Zostań więc do mojej śmierci; ja niedługo umrę. Będziesz mi w starości pociechą i rosnąć będziesz w siły i mądrość. Jak ja odejdę ztąd, pójdziesz tam, gdzie ci się podoba.

Aminadab milczał. Starzec patrzył na niego uważnie, a widząc, że się waha, rzekł:

— Zostań przynajmniej rok ze mną. Przypominasz mi mojego Mukinię; będziesz więc światłem i weselem mojej chaty; ja może dłużej nad rok żyć nie będę.

Pulla miał nadzieję, że chłopiec, gdy zostanie, przyzwyczai się do nich, i nie będzie miał ochoty ich porzucać.

Aminadab w końcu zgodził się zostać, bo i dokądże miał iść? Do Jerozolimy daleko; potrzeba na to sił i środków, a on był słaby, ubogi i niedoświadczony. Postanowił więc wychować się tu, wśród tych ludzi pocziwych, tu wyrosnąć na męża, jak niegdyś Jakób, a potem wrócić do ojczyzny. Nie zresztą mądrzejszego w tej chwili zrobićby nie mógł.

Został pasterzem.

Zajęcie to było i przyjemne i szlachetne. Pasterzami byli wszyscy patryarchowie, od Abrahama aż do wnijscia do Ziemi obiecanej.

Aminadab, chodząc za trzodami po górach, okrytych lasem, i przysłuchując się śpiewom ptasząt, myślał o Abrahamie, Izaaku, Jakobie, Dawidzie i porównywał swoje życie z ich życiem. Tym sposobem ani na chwilę nie zapominał o swoim pochodzeniu; obcował z bohaterami swego narodu, często przy dźwiękach kinnoru recytował główne wypadki z jego przeszłości i dlatego, choć był otoczony poganami, zachował swoje narodowe piętno.

Myślał też często o Mardochai, Hadassath i jej matce.

— Co się z niemi dzieje? — zapytywał samego siebie, a łaza była znakiem, że pytanie to było mu przykre.

W kilka dni oswoił się zupełnie z położeniem. Pulla Achidin i wszyscy mieszkańcy wioski polubili go bardzo. Jogo żywe i wesołe usposobienie pozwalało mu zapominać o niedoli i sieroctwie. Często śpiewał, grał i wybuchał szczerym śmiechem, a to coraz bardziej zjednywało mu serca pogan.

Mali pastuszkowie, z którymi pasał trzody, padali za nim. Aminadab bowiem każdemu usłużył, słabszego obronił, a wszystkich zabawił.

Różnił się zaś od nich ubiorem, postawą i urodą. Nadto, gdy wszyscy oni mieli w uszach zausznicę, Aminadab nie miał zausznic. Pulla Achidin chciał go koniecznie tem ozdobić, ale Aminadab nie pozwolił sobie przekłuć ucha, bo pamiętał, że w Piśmie Świętem powiedziano: „Jeśliby rzekł niewolnik: miłuję Pana mego, nie wynijdę wolnym; stawí go Pan przed sędzią i przekole ucho jego szydłem i będzie mu niewolnikiem na wieki” ¹⁾.

Przekłute ucho oznaczało niewolnika, a on nie chciał być niewolnikiem; on nie służył nikomu, nikomu się nie zaprzedał i każdej chwili mógł pójść, gdzie mu się podobało. Czuł się więc wyższym w gronie swych towarzyszków z przekłutemi uszami i był dumny z tego, że ma ucho całe.

Był między pastuszkami, jakby pan między sługami, jak król między poddanymi, lub jak wódz między żołnierzami. Uznawali też oni jego wyższość bez najmniejszej niechęci.

Niebawem wzrosła jeszcze jego powaga, a nieprzekłute uszy nabrały znaczenia.

Pewnego południa spędzono trzody do studni. Napojone owce spoczywały w cieniu sykomorów, a chłopcy, siadłszy w gromadki, posilali się, czem kto miał. Był między nimi Belachirib, biedny sierota, który miał na obiad tylko kawałek jęczmiennego podplomyka. Inny chłopiec Mukinia, syn zamożnych rodziców, którego ojciec zajmował jakiś urząd we wsi, patrzył na niego z pogardą, zajadając pszenney chleb z oliwą. Ale Belachirib nie zwracał nań uwagi.

Mukinia, szukając zaczepki, zawołał:

¹⁾ Exod. 21. 5—6.

— Ej ty, synu Anaka ¹⁾, cóż tak łapczywie chrupiesz swój popielnik?

Belachirib zarumienił się, ale milczał.

— Napij się wody, bo się zadławisz.

Belachirib nie poruszył się. Mukinia wtedy rzucał na niego owczym pomiotem i trafił go w twarz. Belachirib porwał kamień i uderzył nim przeciwnika w piersi.

Mukinia skoczył do niego, powalił na ziemię i zaczął okładać pięściami.

Ale chłopcy oburzeni, odepchnęli go, a Aminadab dał mu po karku.

— Mukinia! — wołano — bądź sprawiedliwy!

— Czego chcecie odemnie? — krzyczał z płaczem Mukinia.

— Nie pozwolimy ci krzywdzić Belachiriba.

— A to czemu?

— Bo bijesz go niesłusznie; on ci nic nie zawinił.

— Co wam do tego?

— Boś niesprawiedliwy.

— Idźcie precz, ja go muszę ukarać.

— Nie damy go.

— Nie dacie?! Dobrze, poskarżę się ojcu, a on nauczy was, co to jest wdawać się nie w swoje rzeczy.

— Tak myślisz, Mukinia?—zawołał Aminadab.— I ty nie wstydziłbyś się skarżyć ojcu na biednego Belachiriba, któremu wyrządziłeś krzywdę?

— Bodajby cię Moloch pochłonał, ty *ger Raphaim!* ²⁾ — wrzasnął wściekły Mukinia.

— Takiś to ty? — krzyknął Aminadab, podnosząc pięście, ja cię tu zaraz nauczę sprawiedliwości.

Ale Mukinia odskoczył i zawołał:

¹⁾ Dzieci Anaka — legendowi ludzie, tacy mali, jak szarańcza.

²⁾ Przybłęda, barbarzyńca.

— Rozsądźcie, kto winien, i wyznaczcie sami karę.

— Rozsądzić, rozsądzić! — wołali pasterze — nie damy nikogo krzywdzić.

— A jak sądzić? — ktoś krzyknął.

— Gromadą!

— Wybierzmy lepiej *dajana* ¹⁾, niech sędzi spory.

— Nie chcemy *dajana*! niech wszyscy sądzą!

— Nie mogą wszyscy sądzić; niech będzie *dajan*.

— Niech was spali *Ramman* ²⁾ razem z *dajanem*! — krzyczano z boku.

— Bodaj was zdusił *Inlilla* ³⁾ i jego demonowie! Czemu nie chcecie sara *dajana*?

— Bo *dajan* będzie niesprawiedliwy.

— Dlaczegoż ma być niesprawiedliwy?

— Każdy *dajan*, czy *sar* ⁴⁾, czy *sofet* ⁵⁾ uciska słabych, zamiast stawać w ich obronie. Bogatsi będą mu się opłacali, a biedni nie znajdą sprawiedliwości.

— Tak, prawdę mówię! — zakrzyczano — *sar dajan* łapownik, ździerca! Nie chcemy *dajana*.

— Jak będzie łapownik, to obierzemy sobie innego, a jemu damy kij!

— Prawdę rzekli, łapownikowi kije, a sprawiedliwemu posłuszeństwo!

— Kto więc ma być *dajanem*?

— Kto ma być *dajanem*?

Zapanowało milczenie. Łatwiej zgodzić się na *dajana*, niż zrobić kogo *dajanem*.

Wreszcie *Belachirib* zawołał:

— *Aminadab dajanem*!

¹⁾ Sędzia.

²⁾ Bóg piorunów.

³⁾ Naczelnik dyabłów.

⁴⁾ Księżę.

⁵⁾ Wódz, sędzia.

— Aminadab! Aminadab! — krzyknięto jednocześnie.

Mukinia poczerwieniał od złości. Zrozumiał, że teraz będzie musiał się sprawować cicho, że Aminadab nie będzie miał względu ani na urząd jego ojca, ani na zamożność; a że był hardy i lubił dokuczać, więc był pewny, że kije nie będą go omijały. Chciał się sprzeciwić, ale nikt go nie słuchał, wszyscy byli za Aminadabem.

Przecucia jego niestety zaraz się sprawdziły. Aminadab bowiem, wstąpiwszy na kamień i patrząc z góry na kupę pastuszków, zawołał:

— Obraliście mnie dajaniem!

— Prawdę rzekłeś — odpowiedziano. — Jesteś nasz sar dajan.

— Należy więc osądzić spór między Mukinią i Belachiribem.

— Prawdę mówisz, dajanie!

— A więc pytam, kto winien: Mukinia, czy Belachirib?

— Mukinia winien!

— Jeżeli Mukinia winien, powinien być karany!

— Ukarz go, dajanie!

— A więc ja sar dajan rozkazuję dać Mukinii piętnaście kijów; dajcie go tu.

Chłopczy rzucili się do Mukinii, który zaczął uciekać. Schwymano go jednak i położono na murawie. Aminadab zaczął wyliczać kije wśród wrzasku i przekleństw Mukinii, który krzyczał:

— Oby cię Moloch pochłonał! Aj, aj! Haiavot! Puście mnie, dzieci Anaka! Bodaj was Ramman spalił, psy, hyeny, szakale! Aj, aj!

Ale go nie puszczono, aż Aminadab skończył egzekucję. Potem postawiono go na nogi, dano się napić wody i wśród ogólnej radości puszczono.

Nie pomogły skargi Mukinii przed ojcem, urzędnikiem; ośmieszyły go tylko, bo dajan, obrany przez

pastuszków, miał wszelkie prawo wydawać wyroki według swego uznania.

Taki był ich zwyczaj.

Nieprzekłute uszy były teraz jakoby znakiem władzy Aminadabowej. Chłopcy wszyscy bali się go, ale i lubili zarazem, bo był sprawiedliwy i umiał opowiadać im wiele ciekawych rzeczy o Jerozolimie, o wojsku babilońskim, o krajach, które przewędrował i t. p.

Szybko upłynął rok.

Aminadab urósł i zmężniał. Życie pasterskie i powietrze górskie bardzo skutecznie oddziaływało na jego rozwój. Wyglądał na znacznie starszego, a był tak silny, że nikt nie mógł mu sprostać.

Pulla Achidin był nim zachwycony.

Raz gdy przypędził wieczorem trzodę do zagrody, zauważył w całej wiosce niezwykle ruch.

— Co się tu stało? — zapytał Achidina, który stał przed chatą.

— Przyjechali kupcy z Babilu.

— Kupcy z Babilu? Czegoż oni tu chcą?

— Jadą do Damaszku, czy też do *eres Misraim* ¹⁾, a tu zatrzymali się na noc.

Aminadabowi serce zabiło żywiej.

W Babilu tylu jest Hebreów, że byłby chętnie wypytał kupców o ich dolę, gdyby się nie bał. Mogli go bowiem badać, z kąd jest, czemu się pyta o Hebreów, a ktoś mógł im opowiedzieć o jego ucieczce i kto wie, co by z tego wyszło.

Ciekawy był jednak zobaczyć ich. Zamknął zagrodę i, nie czekając na wieczerzę, pobiegł w dolinę.

Przy strumieniu było gwarno.

Naokoło ogromnego ogniska siedzieli kupcy w białych szerokich płaszczach i białych turbanach na głowie. Słudzy ich i niewolnicy w rozmaitej odzieży

¹⁾ Ziemia Egiptu.

siedzieli zdala lub kręcili się przy ogniu i zwierzętach.

Przy drzewach stały przywiązane, lub chodziły swobodnie konie przepyszne, pokryte czaprakami ze skóry tygrysiej; dalej leżały lub chodziły wielbłądy objuczone rozmaitemi towarami, a dzwonki zawieszane na ich szyjach dźwięczały donośnie wśród cichej nocy.

Długie włócznie i ostre topory stały oparte o gruby pień sykomora.

Aminadab obejrzał wszystko ciekawie, potem przystąpił do ogniska i przypatrywał się uważnie kupcom. Nie tu nie było, coby mu przypomniało obóz babiloński. Kupcy byli poważni, zamyśleni; ich służba wesola, przyjemna, gadatliwa.

Uderzyło go zachowanie się dwóch kupców, którzy siedzieli nieco na boku i jakoby się modlili. Przysunął się do nich i, o dziwo, usłyszał, jak półgłosem odmawiali znajome mu psalmy hebrajskie.

Krew uderzyła mu do głowy; drżał cały, jak liść, przepadł do nich i zawołał:

— *Anaszim memolim? anaszim memolim?* ¹⁾

Spojrzeli na niego, nie przerywając modlitwy.

— Jesteście z Jeruszałaim? — zapytał niepewnym głosem.

— Nie — odrzekł jeden.

Aminadab jęknął boleśnie. Złudzenie zrodziło w nim nadzieję, a oto okropne rozczarowanie. Oparł się o drzewo, by nie upaść.

Kupcy przyglądali mu się uważnie. Jednemu z nich mignął blask w oczach; poprawił turban na głowie i rzekł:

— Jesteśmy z ziemi Assur, oddawna tam osiedli, synowie niewoli, którą uczynił Salmanassar, król Niniwy, dziesięciu pokoleniom Izraela.

¹⁾ Jesteście mężowie obrzezani?

— *Orab!* ¹⁾ — krzyknął Aminadab i zaczął się śmiać nerwowo.

— Któżżeś ty jest, chłopcze?

— Jestem z synów niewoli, którą uczynił Nabuchodonozor, król Babilonu.

— Jesteś z nasienia Judy?

— Rzekłeś — odrzekł Aminadab już spokojnie.

— Cóż robisz w tych górach, skoroś wzięty z Jechoniaszem?

— Uciekłem od Babilończyków i tu się ukryłem.

— Nasienie Izraela rozproszone dziś po całej ziemi — mruknął drugi kupiec, wzdychając.

— A Jeruszałaim shańbione! — rzekł Aminadab. Nastąpiło milczenie.

Dwaj kupcy spuścili głowy i ponuro spoglądali na ognisko. Na stronie jeden ze sług grał na *robanie* ²⁾, przy którym dwie małpki wywijają koziółki, a dalej popisywał się poskramiacz węzów. Dokoła nich kupili się pasterze. Reszta kupców drzemała.

— Jak ci imię? — zapytał wreszcie jeden z kupców Izraelskich.

— Aminadab.

— Ja jestem Aszer z Suzy, a to mój wspólnik, Sadok z Teredonu.

— Daleko to ztąd?

— O, bardzo daleko.

Aminadab stał pod drzewem, Aszer dał mu znak, by usiadł, poczem westchnął i rzekł:

— Sedecyasza zapewne niedługo będzie panował w Jeruszałaim.

— Niech zgubi Pan tego sługę pogańskiego! — zawołał Aminadah.

— Mój chłopcze — rzekł Sadok — takich sług dziś wielu mamy.

¹⁾ Szerzenie światła: rozumiem!

²⁾ Bębenku.

— Czy nie wiecie, co się stało z jeńcami, zabranymi przez Nabuchodonozora?

— Rozproszeni są jako plewa po świecie: jedni w Babilonie, inni w Suzie, Ekhatanie, Sardesie i we wszystkich miastach Naharajiny ¹⁾, Sennaaru ²⁾, Parsa i Madai. Jechoniasz jęczy oślepion w Babilonie.

— Pan go ukarał, że nie bronił ojczyzny.

— Dobrześ powiedział, że Bóg go ukarał, ale cały naród zawinił przed Bogiem, więc cierpi niewolę.

Sadok zaczął drzemać; większość karawany już ułożyła się do spoczynku; gwar powoli zaczynał się uciszać.

— Gdybyście jechali do Jerozolimy — rzekł Aminadab do Aszera — przyłączyłbym się do was.

— Jesteśmy zrodzeni w ziemi Assur. W Jerozolimie byliśmy raz jeden na Paschę.

— Nie chcielibyście mieszkać w kraju Jehowy?

— Któżby nie chciał! — oburzył się Aszer — ale powrót jest nam wzbroniony.

— A któż wam zabrania?

— Prawo; jesteśmy w niewoli od dawnych lat, a ziemia izraelska została nam wydarta.

— Prawo takie jest niesprawiedliwe.

— Cóż robić? Wiele praw jest niesprawiedliwych, bo są prostym gwałtem.

— Ale kochacie Jerozolimę?

— Czyż możesz o to pytać? Składkę dajemy na świątynię, a gdyby było potrzeba, oddalibyśmy wszystko, nawet życie.

Aminadab się zamyślił. Wszyscy kochali ojczyznę, gotowi oddać wszystko na jej usługi; a tymczasem ojczyzna zdeptana, lud rozpędzony i nie widać wysiłków nadzwyczajnych; nie słychać o czynach bohaterских, któreby dążyły do wydźwignięcia jej z nę-

¹⁾ Chaldea.

²⁾ Mezopotamia.

dzy. Każdy chciałby przywrócić ojczyźnie dawną jej świetność, ale od słów do uczynków daleko; widocznie łatwo mówić o miłości ojczyzny, ale trudno coś dla niej naprawdę zrobić.

Po chwili wahania zapytał:

— A czemuż nie dajecie życia za ojczyznę?

— Bo toby się na nie nie przydało. Bóg nas podał w ręce pogan, więc musimy cierpieć do czasu zmiłowania. Bóg nas ukarał, ale nas nie zgubi. Gdy przyjdzie czas zmiłowania, wtedy poświęcimy się dla ojczyzny.

— A prędko to będzie?

— Dwóch lat nie ma, jak jesteś w niewoli, i już pragniesz wyzwolenia. Cierpliwości, mój chłopcze, cierpliwości. Jeżeli Pan karze za grzechy, to zmiłuje się wtenczas, gdy grzechy ustaną. A grzechów popełniliśmy dużo, ach! jak dużo. Trzeba teraz pokutować.

Ognisko przygasło; Sadok chrapał, okryty białą oponą; cała karawana pogrążona była w śnie, tylko kilku niewolników czuwało przy koniach; z wioski nikt nie został; Aminadab westchnął i jakby do siebie rzekł:

— Pokutować? Ciężko pokutować, skorom nie zawinił. Ojciec mój umarł; matka nie żyje; nie mam nikogo, prócz miasta świętego. Jakżebym się cieszył, gdyby było wolne i wielkie.

Aszer ziewnął głośno i rzekł:

— Słyszałem, że Chaldejczyk nie ufa Persom.

— Może będzie wojna?

— O to nie trudno. Niech się poganie biją; dla nas to nadzieja.

Było już późno; Aszer zaczynał drzemać; Aminadab musiał wracać do zagrody. Zaczął się więc żegnać.

— Zatrzymaj się chwilkę—rzekł do niego Aszer, powstając.

I odszedł do wielbłądów.

Aminadab miał wielką chęć pojechać z kupcami, ale żał mu było porzucać pocziwego Achidina. Bał się też spotkać ze swoim panem, od którego uciekł. A i kupcy nie zapraszali go z sobą, choć się przymawiał.

Aszer przyniósł piękny wzorzysty *ketonet* ¹⁾ i purpurową *hagorę* ²⁾.

— Daję ci to — rzekł — na pamiątkę. Bądź dobrej myśli i strzeż wiary i obyczajów przodków. Niezadługo będę wracał tędy i, jeżeli zechcesz, zabiorę cię z sobą. A teraz niech Bóg będzie z tobą.

Promienie słońca przedarły się z po za gęstych buków i topoli. Na każdej trawce błyszczały krople rosy. Nad wioską i w lesie panowała uroczysta cisza, przerywana szelestem skrzydeł i śpiewem ptaków, przelatujących nad wąwozami.

Poranek był przecudny.

Aminadab wyszedł z chaty blady, z pałającymi oczyma. Odetchnął głęboko, spojrzął w dolinę, gdzie już były tylko ślady karawany, i powoli zbliżył się do ogrodzenia, za którem rozległo się beczenie owiec.

Otworzył kołowrót i trzoda jego wysypała się na podwórze.

Dwa wielkie psy przyskoczyły do niego i, skomląc radośnie, łąsiły się. Były to wielkie brytany, obrosłe grubą sierścią czarną na całym ciele, a rudą na łbie i nogach. Ogony miały zakręcone, obwisłe wargi i wielkie mordy. Były pewnemi stróżami trzód, bo kiedy dopadły zwierza i wpiły się weń zębami, dały się raczej rozedrzeć w kawały, a nie wypuściły zdobyczy.

W całej wsi powstał ruch.

Rozległo się trzaskanie z biczów, ryk bydła,

¹⁾ Tunikę.

²⁾ Pas.

beczenie owiec, szczekanie psów, nawoływanie pasterzy.

Aminadab zapędził swą trzodę w dolinę; rozpierchła się zaraz po trawie, a on usiadł na wysokim pniu zwalonej topoli i snuł smutne myśli.

Nigdy jeszcze, od czasu jak zamieszkał wśród pasterzy, nie był tak smutny, jak dziś. Poranek nie licował z jego nastrojem. Niebo uśmiechało się do ziemi, a ziemia do nieba; przyroda była zadowolona z siebie; dokoła rozlała się radość i szczęście, ale Aminadabowi było smutno i tęskno.

Czuł on dziś tak mocno swoje sieroctwo, że tylko siłą woli powstrzymywał się, ażeby nie jęknąć głośno i nie krzyczeć z całych sił. Mierzył myślą te ogromne przestrzenie, jakie dzieliły go od miasta rodzinnego, i rozpacz go ogarniała.

Ach, co by on dał zato, żeby mógł choć na jedną chwilę zajrzeć do Jerozolimy, żeby pośpieszyć na świętą górę Moria i przysłuchać się świętym śpiewom. Tylko na jedną chwilę, więcej nie chciał. Chwilkę tylko zadowolenia, chwilkę radości, a potem niech będzie, co chce...

Taka ogarnęła go tęsknica, taki żal, że nie mógł wytrzymać. Zerwał się na nogi, wyciągnął ręce do uśmiechniętego słońca i zaczął biegać po dolinie.

Potem znów usiadł, porwał kinnor i zaczął grać. Muzyka wycisnęła mu z oczu obfite łzy.

— O Eli! ¹⁾ — jęczał przy dźwiękach kinnoru — za cóż mnie tak ukarałeś surowo? Czemuż mnie odrzuciłeś tak daleko od kraju i umieściłeś tu, wśród tych pogan, którzy Cię nie znają? O, ziemio moja święta, czyż nie ujrzę cię już nigdy? Czyż nie obmyję się w wodach twoich, o Jordanie? Czy nie pójdę na świętą górę Moria?

Przestał śpiewać. Usiadł na murawie, ukrył twarz w dłoniach i gorzko zapłakał.

¹⁾ O Boże mój.

— O, poganiel—zawołał po chwili — jakże was nienawidzę. Oby Bóg zesłał na was wszystkie nieszczęścia!

Nagle za górą rozległy się krzyki. Ktoś jakby z rozpaczą wołał o pomoc, a inne głosy miotaly klątwy.

Aminadab w jednej chwili znalazł się na szczycie góry.

Nad źródłem w dolinie Mukinia z innymi dwoma chłopcami rozpędzali owce, a jakaś dziewczyna rzucała się na ziemię i głośno płakała.

Aminadab bez namysłu skoczył do Mukinii i z nim ten się spostrzegł, powalił go na ziemię i w mgnieniu oka związał mu ręce i nogi własnym jego pasem.

Potem rzucił się w pogoń za uciekającymi chłopcami. Dogonił pierwszego i również związał; drugiego przytrzymał za kark i sprowadził do Mukinii.

Przywołał dziewczynę i zapytał:

— Jak się nazywasz?

— Sarwia.

— Czyja jesteś córka?

— Sephora.

— Gdzie mieszkasz?

— Tam, na końcu wioski, za górą!

— Czego chcą od ciebie te *ajarim*? ¹⁾

— Przypędziłam owce do źródła, aby się napiły, a oto Mukinia i ci dwaj wybiegli z krzaków i rozpędzili mi owce.

— Mukinia, czemuś rozpędzał owce Sarwi, córki Sephara?

— Bo mi się tak podobało, a tobie do tego nic.

— A wy, *ajarim*, czemuście rozpędzali owce Sarwii?

¹⁾ Osłęta, młode osły.

— Mukinia nas namówił, żeby odpędzić owce od źródła, bo Sarwia ma inne źródło za wsią.

— Tu każdemu wolno poić owce — zawołała Sarwia.

— Daru, dajanie—prosił jeden z chłopców, którego Aminadab trzymał za kark; głupiośmy zrobili, słuchając Mukinii.

— Więc jesteście winni?

— Zawiniliśmy—zawołali obaj.

Ale Mukinia milczał.

— Dostaniecie po pięć kijów!—rzekł Aminadab i ułamał pręt bukowy.

— Daruj nam, dajanie, już my tego robić nie będziemy.

Ale Aminadab wymierzył im karę, kazał napić się wody i pomódz Sarwii spędzić do kupy rozproszone owce.

Potem przystąpił do Mukinii, który szarpał się w więzach i miotał przekleństwa.

— Czyś zapomniał, że jestem dajanem — rzekł, pokazując mu pręt bukowy.

— Oby cię Ramman spalił, synu Anaka!

— Ramman mnie nie spali, ale ty dostaniesz odemnie kije, rozumiesz, głupi *air?* ¹⁾.

— Jeżeli mnie ruszysz, łeb ci rozwalę kamieniem!—zawołał z wściekłością Mukinia.

— Widzę—rzekł spokojnie Aminadab — żeś nie tylko zły, ale i głupi.

Tymczasem owce Sarwii były już spędzone do źródła i chłopcy stali zdala, czekając na egzekucję Mukinii.

Aminadab dał im znak, żeby się zbliżyli.

— Bądźcie świadkami—rzekł do nich.—Mukinia zawinił, sami to wiecie; więc ja, dajan, skazuję go na dwadzieścia kijów. Trzymajcie go!

¹⁾ Ośle, młode osłe.

Jeden z chłopców porwał Mukinię za nogi, drugi trzymał go za kark, a Aminadab wyliczył mu dwadzieścia bukowych prętów, pod którymi wił się i krzyczał, jak opętany.

Potem rozwiązał mu nogi i ręce, dał się napić wody ze źródła i wypędził do swych trzód.

Sarwia tymczasem, zdumiona jego siłą i zręcznością, patrzyła nań z podziwem.

Aminadab przystąpił do niej i rzekł:

— Bądź spokojna i idź w pokoju.

Ale ona wpatrywała się w niego dziwnie przejmującym wzrokiem, jakby go chciała przeszyć na wyłot, aż się zmieszał.

— Dziękuję ci, dajanie—rzekła powoli—nigdy o tobie nie zapomnę.

Odeszła.

Aminadab wrócił do swych owiec.

Myśli jego teraz były inne. Trafiła go tęsknota, ale tam, za pagórek, w dolinę, nad źródł. Sarwia utkwiała mu w głowie, jak gwóźdź, głęboko. Nie mógł się od niej opędzić do wieczora. Teraz weselej mu było w tych stronach i miłszy był świat.

W nocy nie mógł spać. Pulla Achidin chrapał na swojej macie, a on przewracał się na swojej i myślał. Gdy wreszcie zasnął, widział przed sobą kłęczącą dziewczynę i błagającą go o pomoc, a za nią Mukinię, który się śmiał szyderczo i groził mu pięścią.

W kilka dni potem Aminadab siedział nad źródłem i przy dźwiękach kinnoru śpiewał. Nie myślał jednak o treści śpiewanej pieśni, ale o tej pięknej pasterce, którą ujrzał w tem miejscu. Chciał ją wygnać z serca, ale nie mógł. Obraz jej ślicznej twarzy wrzucił się mocno w jego pamięć; wszędzie widział go przed sobą.

Owce i kozły pały się spokojnie; psy leżały u jego nóg.

Nagle ktoś z tyłu zbliżył się do niego i miękka

ręka spoczęła na jego czole; w tejże chwili uczuł na głowie dotknięcie świeżych kwiatów.

Zerwał się, odwrócił i ujrzał Sarwię.

— Włożyłam ci na głowę ten wianek z róż — rzekła zapłonioma — w nagrodę za usługę, którąś mi wyświadczył.

— Ty pamiętasz o tem? — wyjąkał Aminadab.

— Ja o tem nigdy nie zapomnę. Tyś mój Adon!

— Cóż to jest Adon?

— Nie wiesz? — zdziwiła się. — To kochanek Athary.

— A kto jest Athara?

— To potężna bogini. Ojciec mój bardzo ją czci... Ojciec chce nawet, żebym została jej kapłanką, ale żał mi opuszczać naszych gór i pastwisk.

— Prawdę mówisz — zawołał Aminadab z zapałem — nie trzeba porzucać tych gór i pastwisk.

Zarumienił się po uszy, bo dlaczego tak namawiał Sarwię, ażeby gór nie opuszczała? Przecież ta dziewczyna nic go nie obchodzi. On prawy Heber, a ona poganka, przyszła służebnica jakiejś tam Athary. Byłoby mu wprawdzie przyjemniej, gdyby była zawsze przy nim... Hadassath. Tak, tylko Hadassath... Ta pasterka, Sarwia, jest piękna, ba, nawet bardzo piękna, ale gdzie jej się mierzyć z Hadassath. Przecież ta jest poganką, a on przecie nienawidzi pogan; przysiągł mścić się na nich.

Wprawdzie pasterze są pocziwi, a ten Pulla Achidin to najzaczniejszy człowiek... A ta Sarwia! jakie ona ma piękne oczy! jak ona patrzy! Aż się w nim coś przewraca! Ale to nic! on i ją chyba nienawidzi. Wprawdzie nie gryzłby jej w tej chwili, aleby ją zjadł. Jak ona się uśmiecha, aż mu oczy mgłą zachodzą.

— Tyś piękniejszy od Adonisa — rzekła, raczej zaśpiewała.

Aminadab był zachwycony.

— A czy ten bóg wasz piękny?—zapytał.

— O i jak piękny!—zawołała.

Przez chwilę milczeli, lecz ona znów zaśpiewała:

— A jakiś ty silny! jak Esznum! ¹⁾. Ale strzeż się tego Mukinii, bo to bardzo zły chłopiec; a ciebie nienawidzi.

— A cóż on mi zrobi?

— Czy ja wiem? Jednakże boję się, żeby ci się co złego nie stało.

— Czyż Mukinia silniejszy odemnie?

— I słaby może dużo złego zrobić. Boję się, ażebym nie obciąła sobie włosów i nie podarła szat z żalu po tobie.

— Naprawdę się boisz?

— Tak mi coś mówi, że ty niezadługo zginiesz, że cię widzieć nie będę, a wtenczas smutno mi bardzo, łzy lecą mi z oczu, porywam rabanę i śpiewam, jak w czasie jesiennych świąt Adonisa:

Hoi Adon we hoi hodoh! ²⁾.

Aminadab posmutniał, jakby naprawdę groziło mu nieszczęście od Mukinii. Postanowił mieć się na baczności.

Wtem psy zaczęły szczekać gwałtownie.

Zerwali się oboje i ujrzeni wilka, jak skradał się do trzody Sarwii.

Aminadab gwizdnął na psy i pobiegł naprzeciw nieproszonemu gościowi. Wilk usiadł na zadzie i wyszczerzył zęby.

Ale psy rzuciły się na niego z wściekłością; Aminadab przypadł z oszczepem i po krótkiej walce powalił zwierzę na ziemię.

Sarwia głośnemi okrzykami podziwiała jego śmia-

¹⁾ Bożek fenicki, wyobrażający siłę.

²⁾ Biada Adonisowi, biada jego świetności!

łość i siłę, a on był tak zadowolony, jakby zabił samego Nabuchodonozora.

Na drugi dzień zrana przyszedł stary Sephora podziękować Aminadabowi za usługi, okazane Sarwii. Potem długo rozmawiał z Pulla Achidinem.

Gdy odszedł, Achidin miał minę tajemniczo uśmiechniętą.

Aminadab nigdy nie widział go jeszcze tak wesółym i rozmownym. Opowiadał mu rozmaite wypadki ze swojego długiego życia, popędził z nim kozy i krowy na pastwisko, przyrzadził mu wreszcie świetną wieczerzę.

Następnej soboty Aminadab włożył swój piękny, wzorzysty ketoneth, przepasał się hagorą, na nogi włożył sarahalle i zaczął wypędzać trzody.

Palla patrzył na niego z podziwem, taki był piękny.

— Cóżes się tak ustroił? — zapytał z chytrym uśmiechem.

Aminadab zarumienił się.

— Dziś święto w mojej ojczyźnie—odrzekł.

— Nie zapomniałeś jeszcze o niej?

— Nigdy o niej nie zapomnę!—zawołał.

Pulla pokręcił głową, uśmiechnął się i rzekł:

— Oby ci Sarwia z głowy ojczyzny nie wybiła.

Ubodło to Aminadaba.

Więc dla dziewczyny pogańskiej ma zapomnieć o ojczyźnie! Wyprzeć się swego narodu! Może jeszcze wiary? Nie, nigdy! Sto takich Sarwii nie zagłuszy w nim tej wielkiej miłości, jaką czuje do ziemi swojej.

Tak myślał, pędząc owce nad źródło.

Sarwia aż podskoczyła ze zdziwienia, gdy go zobaczyła. Rzuciła mu się raptem na szyję i krzyczała:

— Jakiś ty piękny, jakiś ty piękny! Niczem przy tobie Adon!

V.

Główna kancelarya królewska w Suzie przyjmowała podania we wszystkich językach, jakich używały narody olbrzymiego państwa persko-medyjskiego.

Biuro to było niezmiernie wielkie; mieściło się w jednym z licznych pawilonów pałacu królewskiego.

W kilkunastu salach pracowało kilkuset pisarzy, adwokatów, uczonych i wypalaczy cegiełek pisanych. Nad nimi stał sekretarz państwa, dostojny książę Charszna.

Miał on kilku pomocników, którzy kierowali poszczególnymi wydziałami; wydziały były tworzone według głównych języków, jakie w nich panowały, jak: syryjski, egipski, scytyjski, perski i t. d.

W każdym wydziale było po kilkunastu, albo i kilkudziesięciu pisarzy.

Pisarze siedzieli przy niskich stolikach na ziemi, lub na wyplatanych słomą ławeczkach i trzymając na lewej dłoni cegiełkę, ostrym rylcem, którego ostrze zakończone było trójkątem, wyciskali na niej znaki w kształcie gwoździ.

Cegiełki tak były przygotowywane, że z łatwością odbijano na nich znaki, które się nie zamazywały: były więc nie zbyt miękkie i nie zbyt twarde.

Pisarze prędko zapisywali obie strony cegiełek; po zapisaniu zaś, jeżeli było potrzeba podpisu i pieczęci, zanosili je do naczelnika wydziału, sekretarza, lub innego urzędnika, który je odczytywał, podpisywał i przykładał pieczęć.

Potem niewolnik kładł je do pieca, który zawsze rozpalony stał w każdej sali; a gdy cegiełki w parę minut stwardniały, posługacze roznosili je, gdzie było potrzeba.

Pieczęcie były robione z różnych gatunków twardego kamienia: z czerwonego, albo zielonego jaspisu, agatu, krwawnika, onyksu, kryształu górskiego

lub jakiego metalu. Na pieczęci były wyrte wyobrażenia jakiegoś bożka lub bogini, niekiedy w otoczeniu czcicieli.

Na cegielkach pisano dokumenty, ważniejsze sprawy, kroniki, dzieła naukowe, słowem, wszystko to, co miało być przechowywane w archiwum państwa. Rzeczy zaś mniej ważne — na tabliczkach drewnianych, na skórze wyprawionej, albo na papyrusie, który przywoziły karawany z Egiptu.

Na tych materyałach pisano kawałkiem trzciny, odpowiednio wyciętej.

W tej to kancelaryi pracował Mardochai, jako pisarz w wydziale syryjskim.

Do oddziału tego należały prowincye: Fenicya, Syrya, Samarya, Galilea, Cyrenaika i Assyrya.

Panował tu głównie język syro-chaldejski, czyli aramejski. Ale pisarze pisali i rozmawiali z interesantami w językach wszystkich ludów, jakie w tych prowincyach mieszkały.

To też była tu prawdziwa wieża Babel.

Mardochai miał oddane sprawy Hebreów, których mnóstwo mieszkało w całym państwie.

Wiadomo bowiem, że za króla asyryjskiego, Salmanassara, upadło państwo izraelskie — i setki tysięcy żydów uprowadzono do niewoli.

Po upadku państwa assyryjskiego i wejścia ogromnej jego części w skład monarchii medo-perskiej, żydzi mieszkali we wszystkich jej miastach w znacznej ilości.

Zajmowali się oni handlem, rolnictwem, rybołówstwem i rzemiosłami.

Z czasem powstały w różnych miejscach liczne i ludne kolonie hebrajskie.

Z początku Mardochai był oszołomiony życiem kancelaryjnym.

Stolik jego stał w wysokiej sali, oświetlonej z góry.

Przy tymże stoliku, z drugiej strony, siadywał

jakiś inny pisarz, który zawsze przyglądał się Mardochai uważnie i pozdrawiał go uprzejmie.

W sali panował ustawiczny gwar, ścisk, nawoływania.

Śludzy i niewolnicy biegali, jak opętani.

Gdy się zjawiał sekretarz lub jaki inny dygnitarz, robiło się cicho; wszyscy się kłaniali, jedni padali na twarz, inni na kolana.

Z początku praca Mardochai polegała na tem, że pisał zażalenia swoich rodaków, lub pisane po hebrajsku tłumaczył na język asyryjski lub chaldejski i zanosił naczelnikowi wydziału. I naodwrot, gdy trzeba było dać Hebreom jaki dokument, Mardochai otrzymywał go od naczelnika pisarzy po syro-chaldejsku, tłumaczył na język hebrajski i wręczał interesantom.

Praca to była przyjemna i szlachetna.

Obcował przy niej ciągle z rodakami, dawał im wskazówki, pomagał, czem tylko mógł. A to go zadowalało; było tem wewnętrznem ukojeniem, że tu, na wygnaniu, nie marnuje napróżno swoich sił, ale pracuje pożytecznie dla swego społeczeństwa.

Miał też nadzieję, że im dłużej będzie pracował, tembardziej będzie mógł coś zrobić, zwłaszcza, gdy pozna język perski i syryjski, gdy wniknie we wszystkie tajemnice praw i zwyczajów państwowych, gdy zyska zaufanie u zwierzchników.

Pewnego dnia doręczono mu następującą prośbę, napisaną na deseczce drewnianej:

„Panu mojemu milhekalowi, błagająca niewolnica Sara. Wielki Ahuramazda, który największy jest bóg, Anahita, Bilita Telitska, Bilita Babilońska, Nabu, Istar Niniwska i Istar Arbelska niech dadzą sto lat życia panu mojemu, milhekalowi; niech będą szczęśliwe i długie jego dni; dobro dla duszy i dobra ziemskie niech darowane będą panu mojemu.

„Proszę, panie mój; oto ja służebnica twoja mieszkalam w jednej komorze z inną niewolnicą, któ-

ra była Nubta, córka z narodu Assur. I byliśmy po społu, a żaden inny nie był z nami w domu, oprócz nas dwojga. I umarła Nubta, Asyryjanka, w nocy, bo kaszląc mocno, była bardzo chora. I powiedzieli słudzy królewscy, że to ja, niewolnica twoja, przyległam ją i, dusząc, zadusiłam.

„Proszę, panie, rozkaż wymierzyć sprawiedliwość służebnicy twojej, która płacze i jęczy, pokrzywdzona wielce w niewinności swojej.”

Mardochai uczuł litość dla nieszczęśliwej Sary, która prawdopodobnie jęczała w więzieniu, czekając na wyrok śmierci.

Przykro mu też było, że w swej prośbie wzywała rozmaitych bogów assyryjskich, chaldejskich i perskich. Ale uczyniła to pewnie dla łatwiejszego wzbudzenia litości milhekała, czyli marszałka dworu, a może nie chciała wzywać Jehowy w piśmie do pogan.

Zresztą wszystkie prośby od takich wezwań się zaczynały.

Prędko przetłómaczył prośbę i zaniósł do naczelnika wydziału, dostojnego Darawiusa.

Ten ją odczytał uważnie, zmarszczył brwi i rzekł jakby do siebie:

— Może ona naprawdę niewinna.

— Czemużby miała zabijać swą przyjaciółkę?— zawołał z zapalem Mardochai.

Darawius spojrzał na niego zdziwiony; potem przymknął lewe oko i zapytał:

— Ty ją znasz?

— Pierwszy raz o niej słyszę.

— Zkąd więc wiesz, że to były przyjaciółki?

Mardochai się stropił; nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Lecz jako człowiek wyższej sfery, nie stracił odwagi i po krótkim namyśle, odpowiedział:

— Tak mi się zdaje, bo gdyby kto widział, że

się kłóciły, albo biły, albo też miały ku sobie nieprzyjaźń...

— Kobiety zawsze się kłócą — przerwał Dara-wius, zmruczając oko.—Kobiety mają tysiące powodów do kłótni. O, znam ja je dobrze...

Mardochai nie podzielał zapatrywań swego zwierzchnika, ale nie sprzeczał się. Żał mu było Sary; myślał, jakby jej dopomódz, więc rzekł:

— Pozwól mi, panie, odwiedzić ją w więzieniu.

— Kogo?

— Tę Sarę, która pisała prośbę.

— Chcesz ją odwiedzić? a to na co?

— Chcę się dowiedzieć, jak to się stało, że Nubta umarła.

— To należy do marszałka dworu. Ale jeżeli chcesz, będę go prosił, żeby ci dano pozwolenie.

Mardochai się skłonił i odszedł, a jego pismo zostało przetłómaczone na język perski i oddane marszałkowi, aby rozpoznał sprawę Sary.

Tymczasem do stołu Mardochai przystąpił czterdzieści lat około pięćdziesięciu; włosy na brodzie i głowie miał gęste, barwy wypalanej cegły, oczy piwne, na twarzy mnóstwo plamek rudych. Bogate fenickie szaty okrywały jego nie zbyt wysoką, ale dosyć grubą figurę.

Odrazu można było poznać w nim kupca.

Podał Mardochai papyrus, na którym wypisana była prośba do samego króla.

Mardochai zaczął czytać.

„Królowi, Panu mojemu, błagający jego sługa, Ganamel, syn Selluma, pozdrowienie:

„Królowi, Panu mojemu, wielki Ahuramazda, który uczynił Achaszwerosza królem, Samas, Bel, Anachita, Parik, Juszkaparik, Paj Hamhara i Kacz, wielcy bogowie, opiekunowie królestwa, niech dadzą sto lat życia, królowi Panu mojemu...

„Złoto, tkaniny i wino, które niosły moje wielbłądy z Babilonu do Ekbatany, zostały zabrane przez ludzi satrapy z Madakty. Trzy talenty złota czystego i cztery talenty mieszanego. Tkaniny bawełniane, ufarbowane purpurą tyryjską, wartości dwa tysiące min—i wino egipskie półtora talenta złota.

„Niech król, Pan mój, rozkaże wielkorządcy Madakty, aby to zwrócił; niech robi to dokładnie, nie sobie nie zostawiając.”

Mardochai zdziwił się, że wielcy urzędnicy, jak satrapa, napadają po drodze kupców. Ale wnet pomyślał: jeżeli król z wojskiem napada na obcy kraj, zabija niewinnych ludzi, rabuje ich mienie i zabiera do niewoli, to czemużby taki satrapa nie miał sobie pozwolić napaść na karawanę kupca, któremu przecie zostawił życie i wolność?

W sali zrobiło się gorąco. Niektórzy wyżsi urzędnicy przychodzili na taras, lub do ogrodu, aby tam w cieniu drzew, przy sztucznych kaskadach odpocząć i pogawędzić. Pisarze zaczęli się też wynosić.

Robiło się coraz bardziej pusto.

Mardochai odłożył tabliczki pod stół i wyszedł na podwórze. Za nim podążył kupiec.

— Cóż myślisz—rzekł do niego Mardochai—jak osądzą owego satrapę za rabunek?

-- Żeby choć połowę mi zwrócił.

— Ależ to grzeczny człowiek! — zawołał nagle Mardochai.

— Grzeczny? Niech go dyabli wezmą z jego grzecznością...

— Przecież mógłby cię zabić! — przerwał Mardochai.

— A mógł.

— I nie zabił?

— Widzisz, że żyję.

— A więc grzeczny, bardzo grzeczny człowiek.

Osądź sam. Gdyby cię był zabił, a potem zrabował twoją karawanę, tobys go był nie skarżył — prawda?

— Jakżeż mógłbym go oskarżyć, skorobym nie żył.

— A widzisz. Zostawił ci życie, a ty zamiast mu podziękować, albo i dary jakie posłać, piszesz skargę do króla. Jest to wielka niewdzięczność.

Ganameel patrzył wielkimi oczyma na Mardochai; nie mógł pojąć, czy żartuje, czy mówi poważnie.

Mardochai tymczasem mówił dalej:

— Bo mnie się wydaje, że ty nic nie wygrasz. I nie powinienes wygrać. Czemuż to satrapa nie ma cię zrabować? Powiedz sam.

— Przecież to złodziejstwo, niegodziwość, ucisk ciężko pracujących ludzi. Prawo perskie surowo karze złodziei! — krzyczał Ganameel.

— Ależ to satrapa, nie złodziej.

— Napadać i rabować karawany może tylko zdrajca, nie satrapa.

— Każdy może, kto ma do tego siły i ochotę — odrzekł spokojnie Mardochai. — Pomyśl tylko, jeżeli król napada i rabuje całe krainy, jeżeli morduje lub pędzi do niewoli tysiące ludzi, którzy mu nic a nic nie zawinili, to czemużby nie mógł satrapa, który jest pomocnikiem króla, napaść na twoją karawanę? Przecież mają do tego zupełnie jednakowe prawo.

— Król, to co innego! — zawołał Ganameel. — Król napada na ludzi obcych, którzy są jego wrogami.

— A tyś przyjaciel satrapy z Madakty? — przerwał Mardochai.

— Anim przyjaciel, ani nieprzyjaciel. Cóż mnie mógł ten satrapa obchodzić? Nie znałem go wcale.

— A cóż mnie mógł obchodzić król babiloński, albo i ten medo-perski — dodał pocichu — nie znałem ich, nie byłem im nieprzyjacielem, a oto zrabowali

mi mienie, zabrali albo zabili żonę, a mnie przypędzili do niewoli.

Wtem wybiegł z kancelaryi ów pisarz, co siedział z Mardochai przy jednym stoliku; zbliżył się do nich i zawołał:

— Pozdrowienie i cześć wam, zacni mężowie! Cóż tak rozmawiacie, stojąc na podwórzu, gdzie słońce piecze niemiłosiernie, jakbyście mieli ochotę, żeby was spaliło? Chodźcie pod namiot za bramę; tam przy kubku wina pogawędzimy sobie.

— Kto jesteś, *haregai*? ¹⁾—zapytał Mardochai.

Pisarz się uśmiechnął i rzekł:

— Już parę dni siedzimy przy jednym stole, jak dwa woły w jednym jarzmie, i nie znamy się. Bo też milczący jesteś, *harega*, jak prawdziwy wół. Ale to nic—poznamy się jeszcze dobrze, a lepszy mi przyjaciel milczący, niż lubiący dużo mówić. Ty mnie nie znasz, *harega*, ale ja ciebie już poznałem. Nie próżno przyglądałem się przez tyle dni. Tyś między nami człowiek świeży, nie znasz nas, nie znasz naszego życia, ale ja już je poznałem — i ciebie poznałem i bardzo polubiłem i cześć cię, bo się nie unizas przed tymi obrzydłymi Persami, ani przed nikim...

Upał stawał się nieznośny. Kto żył, szukał schronienia w cieniu lub w suterrenach. Żołnierze na straży drzemali; niewolnicy poruszali się leniwo, apatycznie; ruch na podwórzu był słaby.

Za bramą Ganameel pożegnał się, bo musiał się śpieszyć do swego handlu.

Odchodząc, prosił Mardochai, żeby go w wolnej chwili odwiedził.

Zeszedł schodami na prawo, a Mardochai ze swym towarzyszem drugimi schodami na lewo.

— Jest tu—mówił ten towarzysz—kupiec Asyryj-

¹⁾ Przyjacielu mój.

czyk, Idina, mój ziomek. Ma wyborne wina. Przy kubku łatwiej idzie rozmowa; można się poznać i pokochać. Będziemy przecie razem pracowali.

Mardochai rad był z tego nowego przyjaciela, który go za sobą ciągnął. Będzie miał przynajmniej z kim słowo zamienić i dowiedzieć się o wielu zwyczajach tutejszych, których nie rozumiał.

Weszli do namiotu, nad którym rozciągało się płótno czerwone, umieszczone na długim wale. Kilku niewolników poruszało ten wał, a płótno, wprawione w ruch, niby olbrzymi wachlarz, ochładzało powietrze.

Pod namiotem stało mnóstwo stolików niskich, a więcej jeszcze taburetów, krzeseł i mat.

Kilku oficerów i pisarzy leżało na matach; niektórzy popijali wino z amfor, jakie przed nimi stały, inni spali.

— Całuję ziemię przed stopami twojemi, Idi-no! — zawołał Assyryjczyk, kłaniając się gospodarzowi, który siedział w kącie przy kilku beczkach.

Idina prędko wstał i, śmiejąc się, odrzekł:

— Padam na brzuch przed tobą, zacny Zammamanadinie.

— Masz dobre wino?

— Pytasz, jakbyś go nie pijał. A przecież w całej Suzie nikt lepszego wina nie pija, jak zacny Zammamanadin w namiocie pod pałacem u biednego Idiny.

— Jakie wino pijesz, harega? — rzekł Zammamanadin, zwracając się do Mardochai.

— Wszystko mi jedno.

— Aby nie perskie — mruknął Assyryjczyk — którem niech psy myją; wszyskie inne dobre.

— Dawaj amforę z Cylicyi!

Niewolnik natychmiast postawił na jednym stoliku wielką amforę, oblepioną smołą.

Assyryjczyk napełnił dwa spore kubki, podał jeden Mardochai i rzekł:

— Niech przyjaźń nasza będzie tak czysta, jak czyste jest to wino, niech nas tak upaja wzajemnie, jak ono nas upoi.

Wypił i usiadł.

Mardochai poszedł za jego przykładem.

— Zkąd pochodzisz, harega?

— Z Jeruszałaim.

— Zkąd?

— Z Jeruszałaim.

— A gdzież to jest?

— W Mat Acharri ¹⁾, w Palastan ²⁾.

— Aha! Wielu twoich rodaków mieszka w kraju Assura.

— A ty zkąd tu przyszedłeś?

Asyryjczyk nalał sobie wina, wypił, długo się namyślał, wreszcie rzekł:

— Urodziłem się w Niniwie. Miasto zburzone, niema już tego domu, w którym się urodziłem; zburzony, jak całe miasto.

Wspomnienie to widocznie przykrem mu było; połknął znów kubek wina, westchnął i zadumał się.

Mardochai, chcąc przerwać milczenie, zapytał:

— Dawno tu mieszkasz?

— Ah—machnął ręką—dawno, oj! dawno. Nie życzyłbym ci, abyś tak długo mieszkał.

— Czy ci tak źle?

— Oby tak wszyscy wrogowie Assura mieli w królestwie Allat ³⁾.

— Praca nie ciężka, można żyć.

— Ale niewola, przyjacielu, gnębi mnie. Ojczyzna moja shańbiona; Niniwa zburzona; jam tu przykuty, nie mogę się nigdzie ruszyć, nie mogę nawet popłakać na gruzach mojego domu.

¹⁾ Assyryjczycy nazywali Palestynę mat Acharri t. j. ziemia Zachodnia.

²⁾ W Palestynie.

³⁾ Allat bogini piekła.

Wychylił kubek, splunął i zaczął nucić jakąś bardzo smutną melodyę.

Nagle zapytał:

— Jakie nosisz imię, harega?

— Mardochai.

— Oho? — zadziwił się. — Mardochai? Boskie masz imię.

— Jakto boskie? — zapytał zdziwiony Mardochai.

— Czyż nie wiesz, że główny bóg kraju Assura i jego obrońca nazywa się Marduk.

Znów wychylił kubek i westchnął:

— Oj, Marduk, Marduk! Nie spisał się przy końcu! Ha, trudno... A czy wiesz, Marduka, jak ja się nazywam? Nie wiesz, prawda?

— Zkąd mogę wiedzieć, skoroś mi nie powiedział?

— A więc wiedz, że jestem Zammamanaddin, syn Naburriba. Ojciec mój miał posiadłość na czterdzieści miar wysiewu niedaleko Niniwy, a w samem mieście miał dom obszerny i handel win...

Po chwili mówił dalej:

— Dziś nie mam nic. Zrabowali i zniszczyli Parsa i Madai z Chaldejczykami. Dziś muszę pracować w niewoli, muszę patrzeć na niedolę moich ziomków, muszę patrzeć, jak paigravaju się z nas nasi ciemiężcy... Oj, Assur, Assur, gdzie potęga twoja?

Wychylony kubek ukoił smutek Zammamanaddina.

Spuścił głowę na wezglowie i, zmrużywszy oczy, szeptał:

— Odrazu cię polubiłem, Marduka; boś nie-szczęśliwy, a jednak wysoko głowę nosisz, nie gniesz się przed nikim... Przysuń mi amforę... Wino pozwala mi zapominać o tęsknicy, która mnie trapi... Oj, nieraz napadnie mnie taka chwila, że patrzę na słońce, gdy zachodzi i jęczę w wielkiej boleści, i pobiegłbym za nim, pobiegłbym tam, gdzie zapadło! Tam

jest mój kraj nieszczęsny, tam gruzy mego miasta Niniwy!...

Zaczął płakać, lecz prędko się opanował, otarł łzy i zapytał:

— A ty nie tęsknisz do swojego Jeruszalaim?

Mardochai spojrział nań ze współczuciem; widział bowiem w nim duszę pokrewną sobie, widział człowieka, którego przygniata to samo nieszczęście, jakie i on nosi... Westchnął, ale nic nie odpowiedział.

Nagle Zammamanaddin zacisnął pięści i z zaiskrzonymi oczyma wołał:

— Żeby was bóg Nergal ¹⁾ i bogini Allat ¹⁾ otoczyli swem panowaniem, jakoście wy nas otoczyli! Żebyście płakali i jęczeli w kraju ciemności, jak my tu u was jęczymy. Żeby was obdarto do naga, jak wy nas obdarliście!... Oj, Assur, Assur, gdzie twoja potęga!

— Kogo tak przeklinasz?—zapytał Mardochai.

— Kogo? Ty pytasz kogo? O, Marduka, Marduka, i ty ich przeklinasz. Żyłeś szczęśliwy i spokojny, a oni zaćmili ci dni twojego życia!... Powiedz, gdzie twoja rodzina?... gdzie twoja ziemia?... gdzie twoi rodacy?... gdzie twoi bogowie?...

Serce się ścisnęło Mardochai na wspomnienie ziemi ojczystej i tylu poniesionych nieszczęść.

Gorąco wzmagało się. Gości pod namiotem było mało. I ci spali na matach.

Niewolnica zlewała zimną wodą podłogę i kwiaty pod namiotem, ale to niewiele dodawało ochłody.

Mardochai się podniósł.

— Już chodźmy—rzekł.

— Dobrze — odpowiedział rozmarzony Zammamanaddin—ale trzeba wypić.

Wychylił do dna amforę, zapłacił i wyszli.

¹⁾ Bóstwa piekielne.

— Gdzie mieszkasz, Marduka?—zapytał, gdy się znaleźli na podwórzu pałacowem.

— Tu obok, gdzie służba się mieści.

— Odprowadzę cię.

— Dobrze.

Gdy weszli do izby, Zammamanaddin oglądał się po niej z taką ciekawością, jakby pierwszy raz w życiu widział podobne mieszkanie,

— Sam mieszkasz?—zapytał.

— Sam.

— I bogów nie pozwolili ci zabrać?

— Jakich bogów?

— No, twoich bogów. Musiałeś przecie mieć jakie bóstwa opiekuńcze, które odganiały od domu twego złe duchy i nieszczęścia. A nie widzę tu żadnych. Widocznie brzydzisz się bogami Suzy?

— Brzydę—odrzekł Mardochai z zapałem.

— Nie dziw — któżby czcił bogów swego wroga! Niech ich Allat pognębi! Ale czemuż tu niema twoich bogów?

— Ja nie mam żadnych bogów!—zawołał Mardochai.

— Widzę to, widzę, że nie masz tu żadnych bogów, ale to nic. Mogę ci pożyczyć jakiego chcesz boga: Assura, Isztarę, Sina, Marduka...

— Nie chcę, nie chcę — przerwał Mardochai.— Ja mam swego Boga, którego czczę, słucham i kocham, a żadnych innych bogów znać nie chcę.

— A gdzież jest ten twój Bóg? Pokaż - że mi Go!

— Bóg mój jest wszędzie.

— Wino pomieszało ci mowę, Marduka! Dobre wino, prawda? Na Istar Bilitską, dobre!

Po chwili zaś dodał:

— Więc nie chcesz moich bogów?

— Niel—odrzekł Mardochai.

— Może to i lepiej. Niech każdy czci Boga wedle swojego sumienia: ty swego, a ja swego. Ale jak się ten twój Bóg nazywa?

— El.

— No tak, każdy jest *el*, ale jak Go wzywasz?

— Adonai.

— Adonai? To bardzo pięknie. Będę i ja wzywał twego Boga, bo cię polubiłem, Marduka. Ale tych dyabłów perskich nienawidzę.

— Bóg mój jest jeden i prawdziwy—rzekł Mardochai.

— Wierzę, wierzę — zawołał Asyryjczyk. — Każdy bóg jest prawdziwy, a choć czasem nie sprawdzają się jego słowa, to już nie jego wina, tylko nasza, ludzi, że go nie rozumiemy; bo Bóg zawsze prawdę mówi.

Po odejściu Zammamanaddina Mardochai czuł się bardzo zmęczony.

Rzucił się na matę i myślał o Sarze, której chciał koniecznie dopomódz.

Ale cóż mógł dla niej uczynić? Jakie środki przedsięwziąć? Nikogo nie znał, nie wiedział, co robić, gdzie się obrócić; nie umiał nawet mówić po syryjsku.

Jedno wszakże wiedział dobrze, że prawo jest surowe, a nawet okrutne, że jeżeli Sara zostanie skazaną za morderstwo, to czeka ją śmierć wśród strasznych mąk.

Postanowił więc koniecznie ją zobaczyć.

Nazajutrz, gdy zawiósł deseczki dostojnemu Darawiusowi, przypomniał mu obietnicę co do odwiedzenia Sary.

— Aha, pamiętam — odrzekł dostojnik, zmrużając oko. — Mówiłem o niej marszałkowi, ale sprawa twarda. Ta kobieta zabiła Nubtę; skazana jest zato na śmierć.

Mardochai struchlał.

— Ależ Sara prosiła o zbadanie sprawy — wyjąkał.

— Sprawa została zbadana; niczem nie można udowodnić jej niewinności.

— A czy udowodniono, że ona zabiła Nubtę?

— Jakżeż, przecie Nubta nie żyje.

— Wybacz, dostojny panie, że powiem jeszcze słowo.

— Mów śmiało. Lubię, gdy moi podwładni nie ukrywają przedemną tego, co myślą.

— Nubta mogła przecie sama umrzeć.

— Ba, udowodnijże, iż Sara nie pomagała jej umierać.

Mardochai widział niesprawiedliwość wyroku; Sara przecie błagała o rozsądzenie sprawy, o zbadanie okoliczności, o pozwolenie wytłómaczenia się, a tymczasem na jej prośbę nie zwrócono uwagi i wydano tak surowy wyrok. Zdawało mu się, że dostojny Darawius drażni go tylko, że sąd rozpatrzy sprawę i uzna niewinność Sary; ale Darawius patrzył na niego poważnie i widocznie sam był zmartwiony tym wyrokiem.

Mardochai więc zapytał:

— Jakaż śmiercią Sara ma umrzeć?

— Upieką ją w popiele gorącym.

Mardochai włosy wstały na głowie.

— Upieką?!—zawołał—w popiele? Musi to być straszna śmierć!

— Nie próbowałem, mój drogi, ale nie jest chyba przyjemna — odrzekł Darawius nieco opryskliwie.

Mardochai był w rozpacz. W oczach zaczęły mu latać muszki najpierw ogniste, jak robaczki świętojańskie, a potem czarne.

Darawius patrzył na niego z politowaniem, potem rzekł:

— Chciałeś się z nią widzieć?

— Prawdę rzekłeś, panie! Wczoraj o to prosiłem.

— Pójdiesz więc do niej ze sługą marszałka, Sitiparną; obwieścisz jej wyrok i możesz powiedzieć słowo pociechy.

Mardochai ledwie trafił do swego stolika.

Był zgnębiony; nic nie widział, nic nie słyszał, co się wkoło niego działo i co mówiono. Widział natomiast Sarę, jak ją gorącym popiołem zasypywano, a ona krzyczała i wiła się w boleściach.

— Jaka to musi być straszna męka—myślał;— i co ja jej powiem na pociechę? Powiem, że ją zamordują, że zagrzebią ją w popiół żarzący, a potem będę ją cieszył. Ładna mi pociecha. Chyba podam jej truciznę, to będzie dla niej najlepsza pociecha, bo przynajmniej męczyć się nie będzie.

— Ależ jaka niesprawiedliwość, jakie okrucieństwo! Porwać niewiastę z łona rodziny, zapędzić ją do niewoli i okrutnie zamordować dla samego podejrzenia. To straszne! I poco ja pójde do niej? Co jej powiem? Jak ją pocieszę? Potrzebaż mi się było wrywać z chęcią odwiedzenia jej? Potrzeba było pytać? Nie wiedziałbym, że zginęła i byłbym spokojny. Chociaż nie — pójde i przyjrze się wszystkim nieszczęściom i okrucieństwom, jakie gniotą nasz naród.

Wielką część zachodnio-południową przestrzeni pałacowej zajmował plac broni, na którym roziło się od przeróżnych wojsk.

W rogu tego placu stała potężna baszta, która jednym bokiem łączyła się z murem miejskim. Za basztą była brama, która prowadziła na cmentarzysko pałacowe. W baszcie we wszystkich jej piętrach ukryci byli żołnierze, gotowi każdej chwili wyrzucić przez liczne okieuka chmurę pocisków.

W podziemiach tej ogromnej strażnicy było więzienie.

Ze ściśniętem sercem zbliżył się Mardochai w towarzystwie Sitiparny do niewielkich żelaznych drzwi, które prowadziły do lochów więziennych.

Dowódca oddziału, trzymającego straż przy drzwiach, obejrzał uważnie podaną sobie pieczęć mar-

szałka, jako dowód, że przybyłemu wolno zejść do podziemi, nacisnął sprężynę i drzwi rozwarły się z łoskotem.

Za drzwiami ukazał się czarny otwór, niby studnia, do której prowadziły wąskie kamienne schody.

Jeden z żołnierzy zapalił pochodnię i zaczął schodzić po stopniach; za nim podążyli Sitiparna i Mardochai z papyrusem, na którym wypisany był wyrok.

Inny żołnierz zamykał pochód.

Drzwi natychmiast zapadły za nimi.

Z trudem się posuwano. Stopnie bowiem były wilgotne; łatwo można było się poślizgnąć i zlecieć w przepaść.

Niebawem znaleźli się w obszernej izbie, oświetlonej kagankami.

Było tu kilku żołnierzy. Jedni spali na słomianych matach; dwóch zaś czuwało przy drzwiach żelaznych, zabawiając się grą w kości, jeden łątał żółty kaftan.

Na widok przybyłych przerwali grę, sprawdzili pieczęć marszałka, poczem jeden uderzył w drzwi i zawołał:

— Otworzyć!

Drzwi się natychmiast otworzyły.

I tu były schody, lecz znacznie krótsze.

Zeszli po nich na długi korytarz.

Po obu stronach korytarza były cele więzienne, podobne do klatek, jakie widzimy w zwierzyńcach. Przez kraty widać było skazańców różnego wieku i płci. Nieszczęśliwi ci wzbudzali litość w sercu Mardochai.

Gdy światło pochodni oblało ich blaskiem czerwonym, podnosili głowy i zwracali się ku niemu, a wtenczas widać było ich twarze wynędzniałe, oczy dziwnie pałające, ich łachmany obrzydliwe, które źle okrywały świeże rany od razów, albo tortur. Jedni siedzieli, inni stali, ale większość leżała na słomie.

W różnych punktach rozlegały się jęki bolesne, a niekiedy straszny, przerażający krzyk rozdzierał powietrze.

Ściany i podłoga były przesycone wilgocią, a zaduch był taki, że gdyby nie olejek różany, w który się zaopatrzono, nie możnaby oddychać.

Korytarz się skończył.

Małe żelazne drzwi czerniały w głębi niszy. Żołnierz uderzył w nie trzy razy i zawołał:

— Otworzyć!

Drzwi się usunęły.

Przeście było tak niskie, że trzeba było przechodzić na czworakach. Po kilku stopniach spuszczo no się jeszcze niżej.

Był to korytarz podobny do pierwszego, tylko nieco węższy. Po obu stronach były klatki z więźniami; wiele klatek było pustych.

— Z tego miejsca nikt już nie wyjdzie — rzekł Sitiparna.

— A ztamtąd? — zapytał Mardochai, ukazując na pierwszy korytarz.

— Po odbyciu kary wyjdzie; ale wielu umrze nim się czas kary skończy.

Z bocznej komórki wyszedł człowiek, ubrany czerwono.

— Do kogo idziecie? — zapytał.

— Do Sary, która zabiła Nubtę! — odrzekł Sitiparna.

— Bez kata?

— Kat przyjdzie jutro.

— Będą tortury?

— Nie! Tortury okazały się niepotrzebne, skoro znaleziono Nubtę nieżywą, a nikogo w izbie nie było prócz Sary. Wyrok już wydany. Chcemy jej przeczytać.

— Chodźcie za mną! — rzekł, zapalił swoją pochodnię i poszedł przodem.

Niedługo zatrzymał się i, ukazując na klatkę, mruknął:

— Tu jest mieszkanie Sary!

Mardochai zbliżył się do kraty. Żołnierz i czerwony człowiek przyświecali mu pochodniami.

Za kratą, na słomie, w szarej, niezmiernie brudnej szacie, leżała kobieta. Poruszyła się niespokojnie, gdy usłyszała wymówione swoje imię; chciała patrzeć, ale oczy, nieprzywykłe do światła, nie mogły znieść blasku pochodni, zasłoniła więc je ręką.

— Saro — rzekł wzruszony Mardochai — wstań, zbliż się, mam ci mówić o Jerozolimie i Ziemi Świętej.

Zerwała się.

— Prośba moja wysłuchana?—krzyknęła.

— Bóg nasz wysłuchał cię, niedługo zobaczysz . święte miasto Jeruzalem...

Ale słowa zamarły mu na ustach.

Sara zbliżyła się nagle do kraty; patrzyła nań zdziwiona i przerażona, wreszcie drżącym głosem wyrzekła:

— Tyżeś to Mardochai ben Jair?

Mardochai osłupiał.

— Zkąd mnie znasz, kobieto?

— O, paniel—zawołała z płaczem—nie poznajesz mnie? Roku jeszcze niema, jak porwano mnie, a ty mnie już poznać nie możesz! O, psy pogańskie! coście zrobili ze mną, kiedy mój dobry pan nie może mnie poznać!

— Sara!—wykrzyknął Mardochai—Sara! Jakże się tu dostałaś?

— Posądzają mnie, jakobym zabiła Nubtę, która ciągle kaszlała. I oto jestem tu. Ale ty obronisz mnie, o paniel! O, kiedyś tu przyszedł, to napewno mnie obronisz! O, panie mój, obrońco! Przychodzisz jako anioł Pański z pociechą! Nie próżno się miodliłam! Pan mnie wysłuchał! O, dzięki mu zato!

Mardochai był tak przygnębiony, że ledwie trzymał się na nogach.

Jak on jej teraz powie, że już wszystko przepadło, że już wyrok napisany i nie jej nie uratuje? Ona pewna, że przynosi jej zbawienie, a on ma jej powiedzieć, że musi umrzeć i to tak okrutną śmiercią. Ma jej powiedzieć, że ją zwiążą, obsypią popiołem gorącym i upieką żywcem, jak się piecze owoc sykomoru, albo zwyczajny podpłomyk.

Dreszcze go przechodzą na samą myśl o tem.

Nie wiedział więc, co robić; głowa mu pękała; nie miał serca przeczytać jej wyroku, a Sara nie przedstawiała mu dziękować i wielbić Jehowy.

Wreszcie przemógł się.

— Saro — rzekł — jesteś skazana na śmierć za zabicie Nubty; ale ja będę starał się, aby cię uwolniono. Bądź więc dobrej myśli. Z pod zębów śmierci wyrwę cię... Nie trać nadziei... Ale dziś żadnej pociechy ci nie dam, bo dopiero dziś dowiedziałem się o twoim losie i nie wiedziałem, żeś mi znajoma i blizka.

Sara zawyła takim strasznym głosem, że nawet czerwony człowiek zbladł. Na jej krzyk odezwali się inni więźniowie i zrobił się taki jęk i płacz i zgrzytanie zębów, że chyba w piekle inny podobny będzie.

— Ja nie chcę umrzeć! — wołała Sara, trzymając się oburącz kraty — nie chcę. Ty mnie ratuj, panie! Przyszedłeś jako anioł po Lota do Sodomy, więc ratuj mnie. Nie opuszczaj mnie! pocóż mam umierać niewinnie? Ja nie umrę, nie! Jam nikomu nie złego nie uczyniła. Ja ci powiem o twojej żonie i twoim synu, ale wypuść mnie! wypuść mnie zaraz!...

— Saro! — wybełkotał Mardochai jak w febrze — wypuściłbym cię, ale nie mogę. Poczekaj do jutra... będę się starał.

— Staraj się, staraj! bo ja nie chcę umrzeć! — jęczała Sara.

Mardochai nie mógł dłużej patrzeć na nią, dał więc znak do powrotu.

Sara nie przestawała wołać. Wszyscy więźniowie stawali przy kracie i błagali o łaskę.

Gdy ostatnie drzwi zamknęły się za nimi i gdy żołnierze ich opuścili, Mardochai chwycił Sitiparnę za ramię, bo nie mógł utrzymać się na nogach. Był zupełnie zmieniony na twarzy.

— Tak cię bardzo obchodzi ta niewolnica Sara?—zapytał Sitiparna.

— Czy niema dla niej ratunku? — odpowiedział Mardochai.

— Jest.

— Jaki? mów.

— Pieniądze—szepnął perski urzędnik.

— Zrobisz?

— Za złoto wszystko można zrobić.

Mardochai w chwilę potem leżał na macie w swej komorze i płakał, jak dziecko. Zkąd weźmie pieniędzy, kiedy niema ani jednego sykla przy duszy.

VI.

Zajaśniała w całej pełni wiosna, ta piękna wiosna, która w górzystym Aramie i całej jego okolicy poprostu czaruje.

Potoki wezbrane obfitością wód, niby nitki srebrne lśniły wśród zielonych łąk, upstrzonych mnóstwem najrozmaitszych barw i wielkości kwiecica. Cyklameny białe i różowe trzymały prym w tej powodzi barw; lilie białe rosły wszędzie. Drzewa oliwne, odświeżone deszczami zimowemi, okryły się małemi zawiązkami oliwek złotego koloru. Bory bukowe dyssały świeżością zieleni; sykomory ustroiły przepy-

sznie swe korony; na równinach pola pokryte zbożami
nęciły oko.

W gaju poświęconym, nad brzegiem potoku, zebrano się na uroczystość zmartwychwstania Adonisa. Namioty, jak żagle na szmaragdzie mórz, upstrzyły zielony kobierzec doliny. Utworzyło się z nich całe prawie miasto z ulicami i placami.

Z całej okolicy zebrali się pasterze z rodzinami; handlarze, rzemieślnicy i kuglarze przybyli z miast okolicznych, nawet z dalszych stron.

W przeddzień uroczystości Aminadab siedział przed swoim namiotem i ciekawie przyglądał się temu nowemu dla siebie widowisku.

Słońce już zaszło; w obozie cichł gwar; gdzieś niedziedzie kończono przygotowania przy blasku wielkich ognisk; Pulla Achidin chrapał w najlepsze.

Wtem przybiegła Sarwia; usiadła przy nim, wsparła się łokciami o jego kolana, brodę oparła na splecionych palcach i, patrząc mu w oczy, mówiła:

— O czym myślisz, dajanie?

— Myślę, co jutro będzie.

— A ileż za mnie zapłacisz?

— Będiesz jutro do sprzedania?

— Nie inaczej! Ile zapłacisz? Mów.

— Nie nie zapłacę, bo nie nie mam.

— A ilebyś dał, gdybyś był bogaty?

— Nie jesteś przecie na sprzedanie.

— Jutro będą mnie kupować — zobaczysz jacy
chłopczy.

— Nie żartuj, Sarwio!

— Nie żartuję—chodź, pokażę ci.

Zerwała się, pochwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Biegli prędko wśród namiotów, między którymi już było pusto. Gdzieś niedziedzie błąkał się jeszcze samotny przechodzień.

Zatrzymali się na placu obszernym. Tu między dwoma rozłożystymi jaworami stał wysoki pomost,

okryty tkaninami. Na pomoście stały trzy niskie stołki, przykryte czerwonym suknem. Naokoło pomostu było, ogrodzone płotem z niskiej palisady, dosyć obszerne miejsce w kształcie pierścienia. Dalej na pochyłości góry były kamienie, kłody drzewa, ławeczki. Widocznie, że zbiorą się tu wszyscy z obozu i przypatrywać się będą jakimś obrzędowi, które będą się odbywały na pomoście.

— Co to będzie? — zapytał Aminadab.

— Jak to, nie wiesz?

— Nie wiem.

— Nie mówił ci Pulla Achidin?

— Nie mówił.

— Będą żony kupowali.

— Kto?

— Kto będzie chciał; możesz i ty.

— Nie żartuj, powiedz prawdę.

— Mówię prawdę. Na tośmy się tu zjechali...

Kupisz mnie?

— Nie, bo wierzysz w Adonisa i w inne bogi pogańskie.

Sarwia się roześmiała.

— Tyś mój Adonis — mówiła, obejmując go za szyję — musisz mnie kupić!

Po całym ciełe Aminadaba zaczęły przebiegać cheiwie przyjemne mrówki; rozkrzyżował ręce i przycisnął silnie dziewczynę do siebie, która, patrząc na niego śmiejącemi oczyma, powtarzała:

— Kupisz mnie? Mów.

— Nie mam pieniędzy.

— A gdybyś miał?

— Najbogatszy człowiek nie mógłby zapłacić za ciebie tyle, ile jesteś warta! — zawołał namiętnie.

Zamknęła mu usta ręką.

— Nie krzycz tak, bo jeszcze złe duchy usłyszą twoją mowę i zabiją mojego Adonisa.

— Nie wierz w swoje duchy, ani swoim bogom.

— Będę wierzyła, w co tylko zechcesz, tylko mnie kup.

— Nie mam pieniędzy!

— Zawsze to samo. Ojciec mój odda mnie darmo, bylebyś chciał.

— Któżby cię nie chciał, Sarwio!...

— Złoty mój, najmilszy mój, jedyny mój Adon — szeptała Sarwia, tuląc się do Aminada, który w tej chwili zapomniał o Jerozolimie, ziemi ojczystej i całym świecie.

Boski Lin ¹⁾ zaglądał ciekawie z głębin ciemnego nieba przez gęste konary jaworów, co tam za para stoi ukryta, a zazdrosne duchy nadstawiały ciekawie uszu, by pochwycić każde słowo, jakie z wezbranych gorącym uczuciem piersi się wyrывało. I rozgniewany Lin zbladł i zaczął się chować za wzgórze zachodnie, a cienie drzew wydłużyły się niezmierzenie, tworząc na załomach pagórków najdziwniejsze kształty. Gwiazdy zaczęły się chować jedna po drugiej, zamykając senne oczy, a na wschodniej części nieba ukazała się czerwona smuga, która wznosiła się prędko w górę i zajmowała coraz większe przestrzenie.

Ale Aminadaba przed jaworem już nie było. Leżał na swej macie obok Pulla Achidina i snuł myśli przeróżne.

Sarwia podobała mu się bardzo; chętnie z nią rozmawiał, a gdy obejmowała go za szyję, zapominał o całym świecie. Ale niepokoiła go myśl, że dla pięknej poganki zapomina o tem, czem jest i czem być powinien.

Powinien przecie myśleć o powrocie do kraju, o pracy nad przywróceniem mu dawnej świetności; powinien nienawidzieć pogan, szkodzić im, gdzie się da, jako swoim wrogom; powinien nimi pogardzać,

¹⁾ Księżyc.

jako wierzącymi w fałszywe bóstwa i oddającymi cześć bałwanom. A on tymczasem czuje jakiś pociąg do tej Sarwii. Dopóki jej nie widzi, jeszcze jako tako walczy z sobą; ale gdy ją zobaczy, to o wszystkim zapomina i gotów dla niej wszystko uczynić.

Przychodził mu na myśl Józef w Egipcie, który wolał iść do więzienia, niż uleść podszeptom niecnej poganki, ale zaraz inna myśl mówiła: „Tamtą namawiała Józefa do grzechu, a Sarwia o tem nigdy nie mówi. Sarwia nie myśli o tem nawet; ona chce być jego małżonką. A przecież sam Józef pojął w małżeństwo pogankę, nawet córkę samego kapłana pogańskiego, Aseneth, a mimo to był dobrym Hebrajczykiem i nie wyparł się ojca i braci”.

Rozległ się odgłos trąb i łoskot bębnow. Palla Achidin wyszedł z namiotu; za nim poszedł Aminadab. Zaroilo się od ludzi w całym obozie. Wszyscy biegli do potoku obmyć się, a potem chowali się pod cieniami świętych aszerów ¹⁾).

Niebawem w obozie został Aminadab, psy i kozy. Pulla Achidin ciągnął go za sobą, ale się wymówił. Był podrażniony. Zły był na Sarwię, czuł do niej żal, sam nie wiedział, o co i dlaczego, to znów zły był na Pulla Achidina, wreszcie na samego siebie.

Chodził po obozie blady, rozgorączkowany w swym wzorzystym ketonecie, budząc podziw w kozach i niezadowolone w psach, które drzemały przed namiotami.

Tymczasem z pośród świętych aszerów wyłoniła się procesya przy dźwiękach przeróżnych instrumentów i wrzaskliwych okrzykach.

Naprzód szły dziewczęta mniejsze i większe. Wszystkie miały na sobie długie koszule z krótkimi rękawkami różnych barw: różowe, niebieskie, zielone,

¹⁾ Święte drzewa fenickie.

pstre. Na głowach miały wianki z róż, lilij i innych kwiatów; w rękach niosły równianki i pęki liści. Szły, tańcząc i śpiewając. Za nimi szli muzykanci i dobosze; dalej posuwali się kapłani, niosąc posąg Adonisa, okryty kwiatami i zielenią; za posągiem cisnęły się tłumy, wrzeszczące, rozbawione.

Procesya zatrzymała się przed palisadą. Wszyscy zwrócili się ku słońcu, które, jak kula ognista, wypłynęło z za gór.

Aminadab chciał zobaczyć Sarwię. Wskoczył więc na wysoki odłamek góry i ciekawie przyglądał się dziewczętom.

Promienie słońca oblały go jasnym blaskiem i Aminadab stał w tych potokach światła z twarzą piękną, rozwianymi włosami, w jaskrawym ketonecie, przepasany ślicznym pasem, jak zjawisko jakie.

Spostrzegła go Sarwia; zaczęła skakać, wytrząsać nad głową gałęzmi zielonemi i wołać:

— Adon! Adon!

Inne dziewczęta poszły za jej przykładem. Niebawem w całym tłumie rozlegały się okrzyki:

„Adon! Bel-Adon!”

Skierowano się ku Aminadabowi; ale on zeskokczył z podniesienia i ukrył się w gąszczu.

Procesya udała się do niewielkiej świątyni Athary, która stała pod cieniem drzew. Aminadab wrócił do swego namiotu.

— Po co ja tu przybyłem?—mówił do siebie—patrzeć na obrzędy pogańskie? Coby powiedział na to Mardochai, albo Aszer, albo mój ojciec? Nie, nie pójdę tam, nie pokażę się więcej. Niech poganie robią, co im się podoba, ja będę siedział w namiocie.

Zabrał się do śniadania.

Nagle odchyliło się płótno i do namiotu wpadła Sarwia, zarumieniona, pachnąca, z wiankiem różanym na głowie, z pękami lilii i cyklamenu.

Aminadab siedział, zając chleb z oliwą.

Uklękła przy nim i zaczęła całować jego ręce i nogi gorąco, namiętnie.

— Ty mój Adonie najpiękniejszy! radość mego serca! rozweselenie moich oczu! za którym moje myśli ciągle chodzą, jak cień za człowiekiem.

Aminadab objął ją jedną ręką, a drugą podniósł jej twarz do góry i zbliżywszy swoją tak blisko, że czoło jego dotknęło jej czoła, zapytał:

— Co ci się stało, Sarwio?

— Nie wiem, co mi się stało. Wiem, żebym za tobą poszła choćby w ogień.

— Choćby w brzuch Molocha! — zaśmiał się rubasznie.

Sarwia zerwała się z kolan. Zabolał ją ten śmiech szyderczy.

— Ty żartujesz ze mnie? — szepnęła cicho, a łzy rzęsiste zaczęły spadać na pęk cyklamenów, który trzymała w ręce.

Aminadab się zdziwił. Nie myślał, że ten żart z Molocha tak bardzo ją dotknie. Zrobiło mu się przykro.

Porwał ją w objęcia, posadził na kolanach i patrząc jej w oczy, wołał:

— Sarwio! nie myślałem cię obrażać. Nie żartuję z ciebie, tylko przyjemnie mi było usłyszeć z ust twoich takie słowa, więc porwał mnie śmiech. Nie gniewaj się na mnie!

Zaczął ją całować w oczy wilgotne, w usta w szyję; a ona się uśmiechnęła, otarła prędko oczy i wołała:

— Ale nie gniewam się, mój ty złoty Adonisie!

Poczem wśród śmiechu i szczebiotania uplotła wianek z róż, włożyła go Aminadabowi na głowę, obsypała mu szyję cyklamenami, pozatykała gałązki zielone za pas, ponawtykała lilij i wzięwszy za rękę, prosiła:

— Pójdź ze mną, Aminadabie.

— Dokąd?

— Na plac, gdzie będą sprzedawać dziewczęta.

— I ciebie sprzedadzą?

— Jam już sprzedana. Mam swego Adona; a gdyby mnie wygnał, pójdę na ofiarę bogom wodnym, lub spalę się, jakoś sam rzekł, w łonie ognistego Molocha.

Aminadaba zadziwiła ta mowa poważna; nigdy jeszcze nie słyszał Sarwii w ten sposób mówiącej. Była zawsze wesola, roztrzępana, wybuchała głośnym śmiechem. Zgodził się więc pójść z nią.

Na pochyłości gór pełno było ludzi. Jedni siedzieli, inni stali, inni się przechadzali. W ogrodzonym pierścieniu zebrała się sama młodzież, a raczej ci wszyscy, którzy mieli zamiar kupić sobie żonę. Byli więc i tacy, których powierzchowność nie świadczyła o ich młodości.

Widać tam było starców posiwiatych, mężczyzn w sile wieku, młodzieńców dorodnych i wyrostków.

Byli i tacy, którzy nawiedzeni kalectwem lub brzydotą, budzili wstręt.

Aminadab z Sarwią odnaleźli Pullę Achidina i Sephora, którzy siedzieli w gronie kilku znajomych, niedaleko od palisady i przyłączyli się do nich.

Było tu kilka niewiast, między niemi matka Sarwii.

— Ej, Aminadabie — zaczął Pulla Achidin — możebyś spróbował kupić sobie żonę?

— Nie mam pieniędzy — odrzekł Aminadab.

— Jeżeli tylko masz ochotę, to pieniądze się znajdą.

— Ochoty nie mam, a pieniędzy nie chcę.

— Czemuż nie chcesz? — zapytał Sephor.

— Bo nie chcę być nikomu dłużny.

Sarwia przytuliła się do Aminadaba i zachwycona jego odpowiedziami, rzekła:

— Aminadab darmo dostanie żonę...

— Może go wystawić na sprzedaż? — zaśmiał się Sephor.

Zawtórował mu Pulla Achidin i wszyscy śmiać się zaczęli.

— Kupiłabyś mnie? — zapytał Aminadab Sarwii.

Ale Sarwia nie odpowiedziała, bo w tej chwili zagrzmiały trąby, zawarczały bębny i trzech starców siwobrodych weszło poważnie na pomost i usiadło na stołkach. Z boku stanął herold w pąsowym płaszczu, z długą laską w ręce.

Dokoła zapanowała cisza. Wszyscy zasiedli na swoich miejscach.

Niebawem dwie niewiasty wprowadziły na pomost młodziutką dziewczynę, dziecko może dwunastoletnie. Była piękna, jak bogini Athara: twarzyczkę zapłonioną ocieniały gęste kędziory włosów lśniących, czarnych jak heban, na których spoczywał piękny wieniec z róż; oczy miała zakryte rzęsami długimi; czerwona fałdzista szata okrywała ją do kolan.

Między zgromadzonymi rozległ się szmer podziwu. Zaczęto klaskać, rzucać kwiaty na pomost i wołać:

— *Cahi! Cahi!* ¹⁾

— *Szammesz! Szammesz!* ¹⁾

Poczem się uciszyło. Każdy był ciekawy, komu się to śliczne dziewczę dostanie i ile za nią zapłaci.

Herold ogłosił:

— Dziewczyna piękna, dobrze urodzona, pracowita! Minę srebra! Kto daje więcej.

— Droga — mruknął Pulla Achidia.

— Droga — powtórzył Aminadab.

Sarwia pociągnęła go za rękę.

— Nie patrz tak na nią — szepnęła — to nie dla nas.

Między kupcami za palisadą powstał ruch.

— Dodam jednoroczną kozę! — któryś się odezwał.

¹⁾ Pyszna, wspaniała, błyszcząca.

— Tyś sam, jak kozal — krzyknął inny. — Ja dam dwie owce.

— Głupiś! — zawołał trzeci — ja dam wołu tuczonego.

— Prawdziwy z ciebie wół tuczony! — wołali konkurenci, patrząc na grubego rzeczywiście kupca.

— Minę srebra i wołu tuczonego! — ogłosił herold. — Kto da więcej.

— Dam dwa woły tuczone! — zawołał ktoś nowy.

— Dwie miny srebra! — wrzasnął rozgniewany tłuszcioch i odrazu zamknął wszystkim gęby.

— Dwie miny srebra! — powtórzył herold. — Kto da więcej?

Ale nikt się już nie odezwał, bo dwie miny srebra, to bogactwo dla pasterzy.

Grubas z tryumfującym uśmiechem spoglądał na swych współzawodników i szydził:

— Kupujcie! ładny towar, warta przecie dwie miny. Patrzcie, jaka śliczna, godna najpierwszego serajul

— Aleś ty nie wart być eunuchem w tym seraju, gdzie się takie perły znajdują! — wołali pasterze.

— Z osłami spać w budziel

— Patrzcie, jaki to worek do oliwy.

Wśród tych drwin bogacz wszedł na pomost, zapłacił starcom pieniądze i sprowadził małżonkę kupioną.

Otoczyli go jej rodzice, krewni, z którymi się teraz dopiero poznał.

Tymczasem na pomost wprowadzono inną dziewczynę. Była nieco szczuplejsza od pierwszej, wyższa, zapłakana, ale nie mniej urodziwa. Usiłowała powstrzymać łzy, które gwałtem cisnęły się do oczu.

Herold wygłosił:

— Dziewczę piękne, pracowite! Minę srebra; kto da więcej?

Powtórzyły się te same targi, uwagi, wykrzykniki, jak przy pierwszej. Kupiono ją, zabrano i wprowadzono trzecią.

W ten sposób odbywała się sprzedaż dziewczyn, które rodzice oddawali starcom, jako przełożonym tej miejscowości. Jaka była władza tych starców, jakie ich nazwiska, Aminadab nie wiedział i mało go to zresztą obchodziło.

Przyglądał się ciekawie licytacyi i zauważył, że odbywała się coraz prędzej i że każda nowa dziewczyna była brzydszą od poprzedniej, a naprawdę ładnych, prócz dwóch pierwszych, nie było.

Płacono też coraz taniej. Biedniejsi pasterze mogli się zaopatrzyć w żony, bo wybór był wielki.

W końcu wystawiano takie panny, za które nikt płacić nie chciał. Oddawano więc je darmo temu, który z ubiegających jej się podobał.

Nareszcie zaczęły wchodzić na pomost zupełnie brzydkie i ułomne. Tych i darmo nikt nie chciał. Rodzice więc musieli dopłacać do nich, a jeżeli byli ubodzy, to dopłacali starcy z tej sumy, którą otrzymali za dziewczyny piękniejsze.

Zbliżało się południe, ale nie było gorąco. Chmurki przelatwały po niebie.

Większa część publiczności rozeszła się między drzewa. Po sprzedaniu bowiem każdej dziewczyny i sprowadzeniu jej z pomostu otaczali ją i jej nabywcę rodzice, przyjaciele, znajomi; udawano się na stronę, tam się wzajemnie poznawano, układano dalsze warunki i robiono przygotowania do zaślubin.

Aminadab jednak siedział z Sarwią do końca. Bo i cóż mieli robić? Achidin dawał im owoce; jedli więc, rozmawiali wesoło, robili uwagi i było im dobrze.

Tymczasem licytacya miała się kończyć.

Miedzy palisadą zostali oblubieńcy zupełnie ubodzy, ułomni, którzy z powodu ubóstwa nie mogli marzyć o ładnej żonie.

— Cóż, Aminadabie, podobał ci się taki zwyczaj?—zapytał Pulla Achidin po skończonej licytacji, gdy zasiedli w kółku sąsiadów do obiadu.

— Sprawiedliwie — odrzekł Aminadab, pakując sobie do ust kawał baraniny — sprawiedliwie. Kto chce mieć ładną żonę, niech płaci, a kto zadawałnia się brzydką, niech ma przynajmniej pieniądze.

— A ty cobyś wolał: pieniądze, czy ładną żonę?—zapytał Sephor.

— Jabym chciał i ładną żonę i dużo pieniędzy—odrzekł, patrząc na Sarwię.

— Mądryś!—zawołano i zaczęto się śmiać.

Ale Aminadabowi nagle przyszła myśl, że zwyczaj taki kupowania żon wcale nie jest dobry, bo gdyby spodobało się w tej chwili Sephorowi wystawić Sarwię na sprzedaż, a onby nie mógł jej kupić, bo niema pieniędzy, to nie uważałby tego za sprawiedliwe. A gdyby kupił ją naprzykład Mukinia!...

— Zabiłbym go chyba—szepnął.

— Kogobyś zabił?—zapytała cicho Sarwia.

Ale Aminadab nie odpowiedział jej, lecz głośno zapytał:

— A czy ten mąż może wypędzić od siebie żonę, która go kupiła?

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.

Aminadab się stropił.

Ale Pulla Achidin położył rękę na jego głowie i rzekł:

— Chciałbyś wziąć najbrzydszą z dużą dopłatą, a potem ją wygnąć i poślubić inną?

— Tegobym nie chciał—odrzekł—chciałem tylko wiedzieć, czy mogą uczynić to ci, którzy dziś tak się targowali o dopłatę.

— Nie, mój chłopcze, ktoby chciał wypędzić taką żonę, musi jej oddać wszystko, co mu zapłacono.

Po obiedzie był odpoczynek. Starsi poszli do namiotów na drzemkę, lub posiadali w cieniu jawo-

rów na pogawędkę, młodzi porozchodzili się po gaju w gąszcza i parowy.

Każdy korzystał z odpoczynku, jak mu się podobało—i nikt mu nie przeszkadzał. W różnych więc miejscach odpoczynek był różny. Tu słychać było głośnie chrapanie, tam rozmowę, gdzieindziej wesole śpiewy, śmiech i krzyki, tam wzdychanie zakochanych par—owdzie panowała cisza.

Aminad z Sarwią usiedli pod cieniem olbrzymiego bluszczu, który ich prawie zupełnie zakrył przed oczyma ciekawych.

— Cóż ci się stało, Sarwio? — pytał Aminadab, głaszcząc ją po głowie.

— Nic mi się nie stało.

— Jesteś przecie smutna i nie śmiesz się, jak zawsze.

— Powiedz mi, Aminadabie — rzekła, oparłszy głowę na jego piersiach,—o kim to szeptałeś przy obiedzie, że go zabijesz.

— Nikogo nie mam zamiaru zabijać.

— Powiedz mi, mój drogi Aminadabie—prosiła, obejmując go — powiedz, nie taj przedemną. Mnie dziś trapią smutne przecucia. W czasie procesyi, przed samą świątynią Athary, spadł mi wianek z głowy. Stara Dayas powiedziała, że to zły znak, że mnie spotka dziś, albo jutro wielkie nieszczęście.

— Nie wierz żadnym babom i śmiej się z jej prorocstwa. Ja ci nie dam zrobić krzywdy.

— Tyś silny, Aminadabie, ale duchy zawistne silniejsze. Powiedz, kogobyś zabił?

Zaczęła go prosić tak natarczywie, całować, przy-
milać się, iż wreszcie powiedziała:

— Nikogo nie myślę zabijać; tylko przyszło mi do głowy, że gdybyś stanęła, jak tamte dziewczyny, na pomoście, i gdybym ja nie mógł cię kupić, ale kupiłby taki Mukinia, tobym go zabił i odebrał cię.

Sarwia zakryła teraz twarz rękoma i zaczęła płakać.

Aminadab zdziwił się temu powtórnemu, a tak niezwyktemu wybuchowi u Sarwii. Porwał ją na ręce i zaczął tulić.

— Sarwio, co ci się stało?—wołał.

Ale ona płakała teraz coraz głośniejsze, aż się przelała.

Wreszcie zaczęła mówić urywanym głosem:

— Jakiś ty dobry, mój Adonie, jakiś mi miły... nie chciałbyś, żebym była innemu sprzedana?

— Nie chciałbym, Sarwio, ale się uspokój!

— Tak mi smutno dziś... chciałabym gdzieś się ukryć z tobą... żeby nas nikt nie rozdzielił... żebyśmy razem z sobą byli... Nie uciekniesz odemnie?

— Zkądże ci to przyszło?

— Powiedziała mi stara Dayas, że ty zginiesz mi, że porwie cię złodziej twego narodu, że już nie wrócisz z nami. Prawda to?

— A zkąd mnie ta Dayas zna?

— Ona wszystko wie; ona podniosła mój wianek, patrzyła mi w oczy, kiwała głową i mówiła:

— Ho! ho! Sarwia, ho! ho! Płakać będziesz, dziewczyno, o! płakać będziesz! Jak wiatr w polu zmiata liście, tak będzie zmieciony ten, którego miłujesz! Ho! ho! Porwie go dziś duch, który mu droższy od ciebie, dziewczyno!... Ho! ho! On go odciągnie od ciebie i wygryzie cię z jego wnętrzości, i ucieknie od ciebie, jak cień ucieka od słońca... i płakać będziesz, dziewczyno, ho! ho!

— Zatrzęślam się na całym ciele i ledwie mogłam wymówić:

— Jaki duch go porwie?

— Duch—odpowiedziała—jego plemienia.

Aminadab milczał. Rozwagał słowa starej Dayas i nie wiedział, co powiedzieć.

Milczenie przerwała Sarwia:

— Powiedz mi, Aminadabie; gdyby duch twego kraju kazał ci porzucić mnie, posłuchałbyś go?

— Bez wahania, moja Sarwio! Czyż chciałabyś,

żebym więcej kochał dziewczynę, nawet taką, jak ty, niż mój naród? Bądź pewna, że gdyby była potrzeba, poszedłbym od was nawet dziś.

— Dayas prawdę mówiła.

— Prawdę, nieprawdę, bo gdy przyjdzie czas powrotu do ojczyzny, zabiorę cię z sobą, jeżeli zechcesz pójść.

— Nie miałabym pójść z tobą, Aminadabie? Wszędzie pójde, dokąd tylko mnie poprowadzisz!

— Rozpogódź więc oblicze, bo dziś dzień weseła, nie smutku. Masz wianek na głowie i smutna jesteś. To jedno z drugim się nie zgadza.

Na placu zagrzmiały trąby i zawarczały kotły.

— Co to będzie?—zapytał Aminadab.

— Teraz będą sprzedawali niewolników—odrzekła Sarwia.

— Kto będzie sprzedawał?

— Rodzice swoje dzieci, i każdy, kto ma niewolnika lub niewolnicę na sprzedaż.

— Chodźmy się przyjrzeć.

— Wolałabym tu siedzieć z tobą, ale jeżeli chcesz, to chodźmy.

Na placu, na pochyłościach gór, już było pełno ciekawych. W ogrodzeniu przy pomoście stało kilkunastu kupców fenickich, chaldejskich i assyryjskich.

Jakiś pasterz wprowadził na pomost śliczną dziewczynkę. Oczęta, jak gwiazda poranna, miała podniesione w górę. Włosy kruche piętrzyły się w pysznych kędziorach nad przecudną twarzyczką. Rozchyliła usta karminowe, z których błyszczały ząbki drobniutkie. Prześliczne rączka złożyła na piersiach. Urodę podnosiła sukienka niebieska do kolan i wianek różany na głowie.

Wszyscy z podziwem patrzyli na to cudne dziecko. Nikt zapewne nie widział podobnie pięknej dziewczyny, a nawet nie myślał, żeby mogła się taka urodzić.

Na placu, wzgórzach i między ogrodzeniem rozległo się ciche aal które niebawem zamieniło się w jeden głośny, przeciągły okrzyk.

Pasterz zawołał:

— Kto kupi ten klejnocik? w przyszłości ozdoba pałaców! Może rozradować nawet oczy monarchów!

Aminadab aż się oparł o ramię Sarwii. W oczach mu pociemniało, a serce biło tak gwałtownie, że musiał je ręką przycisnąć.

— Hadasath—szepnął.

Sarwia spojrzała na niego.

— Co ci jest Aminadabie? Jesteś blady, jak trup...

— Nic—odrzekł.

— Jednakże jesteś niespokojny, chodźmy ztąd! Zapanował nad sobą.

— Nie, zostanmy. Żał mi tej małej, że będzie niewolnicą.

— Będzie szczęśliwszą niż u ojca.

— Tak myślisz?

— Nie inaczej. U ojca nędza, a ona dostanie się do jakiego bogacza.

Między kupcami tymczasem powstał ruch: klócono się, przepychano, grożono pięściami, oglądano dziewczynę ze wszystkich stron.

Wreszcie któryś krzyknął:

— Trzy miny srebra!

— Cztery!

— Pięć min.

— Dziesięć!—wołano na wyścigi.

Między kupcami zrobił się krzyk wielki, jakby kogo zabijano.

Ten, który się utrzymał przy dziewczynie, wskoczył na pomost, porwał ją i razem z pasterzem znikł za palisadą.

Aminadab pobiegł za nim.

Sarwia nie odstępowała go na krok.

Kupiec zaniósł Hadassath do swego namiotu; oddał w ręce niewolnic, które ją zaraz umyły, namaściły, a on tymczasem wypłacał pasterzowi umówioną sumę.

Pasterz został bogaczem.

Aminadab rozgorączkowany skierował się do potoku w gęstwinę. Głowa go paliła i ból szarpał wnętrzności. Chodził, jak obłąkany.

Sarwia, przerażona, pytała go o przyczynę tego niepokoju, ale on nie słyszał, co do niego mówiła. Wyszeptała wszystkie zaklęcia dla odwrócenia uroku, modliła się gorąco do wszystkich bóstw, ale go nie uspokoiła.

Usiadł na kamieniu i patrzył bezmyślnie.

Sarwia objęła jego głowę; była gorąca; zmoczyła więc przepaskę i przyłożyła mu do czoła.

Siedzieli tak aż do wieczora. On milczał, ona płakała.

Gdy *Adar-Malik* ¹⁾ ułożył się do spoczynku, a boski *Lyn* ²⁾ wypłynął na ciemne szafiry niebios, rozpoczęła się uczta.

Najpierw złożono ofiary bogom. Potem kapłan wyciskał sole z drzewa *Hauma* ³⁾ i dawał pić każdemu oblubieńcowi, mówiąc: „Piłeś Hauma, wróć do swego mieszkania. Masz tam piękną małżonkę i przyjemności! Idź pijany do twej małżonki kochanej; upajaj się swoją małżonką.”

Potem przystąpiły oblubienice, do których mówił: „Pij sok Hauma i bądź płodną. Czcij drzewo Hauma, a dzieci, które porodzisz, zasłyną między ludźmi i cieszyć się będziesz.”

¹⁾ Bóg słońca = słońce.

²⁾ Księżyc.

³⁾ Hauma u Indyan Soma. Jest to drzewo z rodzaju jaśminów. Było czczone u różnych pod różnemi nazwami.

Następnie odmawiał uroczyste błogosławieństwo małżeńskie nad głowami narzeczonych, łączył ręce każdej pary, rzucał na nich kwiaty i dawał biały chleb kukurydzowy, który zaraz jedli.

Żapłonęły ogniska wielkie i rozpoczęły się zabawy.

Aminadab ocknął się na odgłos piszczałek; spojrzął na Sarwię, uśmiechnął się gorzko i rzekł:

— Naprawdę wierzysz starej Dayas?

— Wierzę.

— Ależ ta stara czarownica zamieniła nam uciechę dzisiejszą na smutek.

— Czemuż się smucisz, Aminadabie?

— Sam nie wiem... Żał mi tej dziewczyny... Taka młoda i śliczna i... już w niewoli.

— Bardzo cię obchodzi ta naara? ¹⁾

— O, bardzo!

— Może to ona będzie tym duchem, który cię porwie? Ale to niemożliwe, bo ją sprzedadzą do seraju... Jutro ją wywiozą, nie wiadomo dokąd... Ty nie myśl o niej, Aminadabie, chodźmy się lepiej wesoło zabawić.

— Chodźmy.

Na placu płonęły liczne ogniska. W ich blasku snuły się postacie ludzkie, przybierając dziwaczne kształty, które ustawicznie się zmieniały w bliskości, i przy oddalaniu się od ognia. Od drzew padały długie fantasmagoryczne cienie. Po za granicami ognia rozścielała się czarna, tajemnicza przestrzeń, z której dolatywały płacze szakali i wycie hyen. Na niebie płynął spokojny księżyc i mrugały gwiazdy.

Śpiew i dźwięki piszczałek mieszały się z okrzykami pijanych i tancerek.

Aminadab wmieszał się w tłum pasterzy.

¹⁾ Dziewczyna.

Pulla Achidin, Safor i inni znajomi siedzieli przy jednym ognisku i wesoło rozmawiali. Kobiety śpiewały, dziewczęta tańczyły. Porwano Sarwię do koła—co sprawiło Aminadabowi niemałą ulgę.

Wymknął się niepostrzeżenie z tego miejsca i poszedł do namiotu kupca, który kupił Hadassath.

Odnalazł go z łatwością.

Płoneło i tu ognisko, a przy niem piekły się barany.

Kupcy leżeli na bogatych dywanach lub siedzieli na poduszkach z podwiniętymi nogami. Przed nimi stały dzbany z winem i kosze z owocami. Kilka tancererek, prawie nagich, pokazywało swą sztukę przy towarzyszeniu *zurn* ¹⁾, *defów* ²⁾, *arabebachów* ³⁾ i *rubany* ⁴⁾. Wielki *gong* ⁵⁾ głośzył muzykę i okrzyki tancererek.

Aminadab zbliżył się i patrzył ciekawie na tańce. Zauważył go właściciel Hadassath i śmiejąc się, zawołał:

— Cóż, piękny pasterzu, nie kupiłeś sobie żony?

— Nie!

— Młody jeszcze jesteś, masz czas. Niedługo jednak będziesz czekał? Co?

— Nie było dziś dla mnie.

— Dlaczego się nie bawisz?...

— Przypatruję się waszym tancerkom, które nie-zrównanie piękniej tańczą, niż nasze dziewczyny.

— Siadaj więc z nami i ciesz się, bo dziś dzień wesela.

Aminadab usiadł.

Nalano mu wina, ale nie pił. Gdy muzyka na

¹⁾ Zurna—rodzaj oboju.

²⁾ Def—bębenek.

³⁾ Arabebach—rodzaj kobzy.

⁴⁾ Rubana—bębenek.

⁵⁾ Gong=tamtam.

chwilę ucichła, uderzył w struny kinnoru i zanucił smętną pieśń.

Słuchano go z zachwytem. Kupcy ustawili uszy, muzykanci i bajaderki otoczyli go. Zrobiło się cicho, a w tej ciszy rozlegał się jego głos piękny, opowiadający dzieje biednej sieroty, którą znalazł pasterz i pojął za żonę. Melodya była coraz weselszą, aż zakończyła się wesołym okrzykiem.

Gdy skończył, rozległo się klaskanie i wrzask i zaczęły krążyć czary. Kupiec był nader hojny: częstował swoich gości, muzykantów, tancerki i służbę, którzy też jedli i pili obficie.

Gdy zdjęto barana i zaczęła się wieczerza, Aminadab puścił się w tany. Połączył zgrabnie ruchy lewitów hebrajskich ze skokami dziewic aramejskich i wprowadził tem wszystkich w szal.

Wino lało się strumieniami.

To też głowy zaczęły ciężnąć; kupcy kiwali się na wszystkie strony, muzykanci grać przestali, a bajaderki nie mogły utrzymać się na nogach.

Niewolnicy odnieśli swych panów do namiotów; inni ułożyli się na trawie, gdzie kto mógł.

Jedna z tancerek wciągnęła Aminadaba do namiotu właściciela Hadassath. Tu przemocą posadziła go na ławie i obsypała pieścizotami. Aminadab, choć czuł wstręt do niej, nie opierał się jednakże, bo chciał zobaczyć Hadassath.

I zobaczył.

Spała przy płótnie namiotu na kobiercu i miękkich poduszkach. Światło gorejącego ogniska wdzierało się przez otwór do namiotu i oświeślało jej śliczną twarzyczkę. Była spokojna, niewinna, bezbronna. Spała, jak małe dziecko pod opieką troskliwej matki, choć była w szponach nieludzkiego handlarza, który gotów ją był sprzedać najwstrętniejszemu człowiekowi, byle ten dobrze zapłacił.

Tancerka, ścisnąwszy Aminadaba, usnęła nieba-

wem. I ją wino zmoгло. Ostrożnie uwolnił się z jej objąć i odetchnął swobodnie...

Ranek się zbliżał; w obozie panowała cisza; wszyscy byli pogrążeni w głębokim śnie.

Aminadab przystąpił do Hadassath, wziął ją ostrożnie na ręce, podniósł płótno z boku i wysunął się z namiotu.

Obejrzał się dokoła. Było tu pusto. Przed namiotem dogorywało ognisko; przy niem drzemało dwóch niewolników; wszyscy inni spali.

Puścił się w stronę potoku. Tam były gąszcze, w których łatwo się ukryć.

Biegł prędko.

Już świtało.

Biedna Hadassath nie wiedziała, co się z nią dzieje. Była znużona wrażeniami dnia, obojętna na wszystko; główka jej spadła na ramiona Aminadaba, który gotów był stoczyć o nią bój krwawy z całym światem. Nie lękał się niebezpieczeństw, na jakie się narażał; postanowił wyrwać ją z rąk przebrzydłych pogan. Wprawdzie nie wiedział, co ją u nich czekało, ale był pewny, że nic dobrego.

Poniósł ją do tej samej gęstwiny nad brzeg strumienia, gdzie przed wieczorem siedział z Sarwią, i dumał o niej, jak się z nią złączyć i odebrać poganom.

Gdy przechodził przez wodę, spostrzegł Sarwię.

Siedziała na kamieniu, twarz zasłoniła rękoma i, zdawało się, płakała.

Zatrzymał się przerażony. Ale Sarwia nie patrzyła na niego.

Ukrył się prędko w gęstwinie.

Był tu ogromny dąb, w środku wypróchniały. Wsunął się do otworu, ułożył Hadassath na suchych liściach i zaczął ją rozbierać.

Hadassath otworzyła oczy. Zdziwiona patrzyła na niego.

— Nie poznajesz mnie, Hadassath?

— Aminadab!—krzyknęła.

— Cicho—syknął, kładąc jej palec na ustach.

— Gdzie mama?

— Nie wiem, siedź cicho. Wolisz być ze mną, niż być sprzedaną?

Hadassath zarzuciła mu rączęta na szyję.

— Ale wiesz, gdzie *emi*?—spytała.

— Później ci powiem; teraz muszę wracać, a ty tu zostań; tylko siedź cicho, ażeby cię nikt nie znalazł.

— A ty dokąd pójdziesz?

— Pójdę do namiotu, żeby nie wiedziano, żem cię tu przyniósł.

— A czy prędko wrócisz?

— Nie bój się i siedź spokojnie, choćbym długo nie przychodził.

Zdjął z niej szaty dziewicze i przebrał za pastuszką; poczem okrył dywanem, uspokoił i odszedł.

Miotaly nim rozmaite uczucia.

Bezgraniczna radość z odnalezienia Hadassath; дума, że potrafił ją wynieść w miejsce ukryte; litość dla bezbronnego dziewczątka i troska, co z nią teraz uczyni. Czuł jednakże w sobie wielką siłę i odwagę, która mówiła, że nie cofnie się przed niczem, ale pójdzie śmiało, choćby przeszkody były liczne i wielkie.

Wtem zastąpiła mu drogę Sarwia.

— Gdzie byłeś, Aminadabie?

Zawahał się, wreszcie rzekł:

— Myłem się w potoku.

Sarwia patrzyła nań badawczo, aż spuścił oczy, i zauważyła:

— Włosy masz zupełnie suche.

— Bo umyłem tylko ręce i twarz.

— Pójdź ze mną—rzekła i wzięła go za rękę.

Był zmieszany. „Czego ona chce odemnie?” — myślał.

Jednak nie opierał się.

Sarwia zaprowadziła go pod jawor, przed palisadę, gdzie przeszłej nocy tak im przyjemnie i wesoło było.

Gdy stanęli na tem samem miejscu, rzekła:

— Wczoraj byliśmy tu szczęśliwi. Dobry Il ¹⁾ czuwał nad nami. Zdawało się, że nie rozstaniemy się nigdy, że będziemy zawsze razem, jak para oczu, że rość będziemy złączeni, jak te dwa jawory...— a dziś...

Urwała i otarła łzy.

— ...Dziś mściwy *Moloch* ²⁾ spalił moje szczęście, jak *kwadim* ³⁾ pali zielone trawy. Odchodzisz odemnie, Aminadabie, a jam jest, jako gałąź nadłamana od pnia.

Zaczęła płakać.

— Zkąd wiesz, Sarwio, że odchodzę?...

— O, wiem! Stara Dayas się nie myli... Powiedziała, że odejdiesz, więc odejść musisz. Taka jest wola Molocha, a może Athary, której miałam być kapłanką. Ale ja...

Zawahała się. Przez chwilę panowało milczenie; między dwoma wzgórzami ukazało się słońce czerwone i smuga światła padła na nią. Aminadab spostrzegł, że była bardzo zmieniona. Na twarz bladą wystąpiły wypieki; oczy miała zaczerwienione.

— Ale ja nie rozstanę się z tobą — mówiła, patrząc na niego — ja cię nie opuszczę, Aminadabie! Niech Athar mści się na mnie, niech Moloch mnie spali, wolę umrzeć, niż żyć bez ciebie.

— Ależ ja nie odchodzę nigdzie! — zawołał zafrasowany.

— Nie mów tego, boś już przygotowany do ucie-

¹⁾ Il—Bóg najwyższy.

²⁾ Moloch—bożek mściwy, któremu palono dzieci na ofiarę.

³⁾ Kwadim—samum, wiatr zabójczy.

czki. Pójdiesz za tą małą *naarą* ¹⁾, która ci w głowie pomieszała. Ale próżna twoja nadzieja; ona nie będzie twoją żoną.

— Powiedziała ci to stara Dayas?

— Odgadłeś, Aminadabie, ona mi powiedziała o tem i dlatego nie żywię do naary niechęci, ale i ciebie nie opuszczę.

— Dokąd-że pójdziesz ze mną?

— Pójde wszędzie; będę szła za tobą, jak cień i na krok cię nie odstąpię.

Aminadab był w wielkim kłopotcie; nie wiedział, co robić. O ucieczce właściwie nie myślał, bo dokąd-że miał uciekać. Nie pomyślał jeszcze, co ma czynić. Ale teraz przekonał się, że musi koniecznie uciekać od Sarwii. Żał mu było dziewczyny, ale cóż miał z nią robić? Hadassath stokroć była mu bliższą, a przytem jako sierota, potrzebowała jego opieki; Sarwia zaś popłacze i zapomni.

Wtem z północnej części obozu rozległy się krzyki, przekleństwa i wołanie na pomoc.

— Co to jest?—szepnął Aminadab.

— Biją się!—odrzekła Sarwia.

— Może biją twego ojca, może Pulę Achidina?—zawołał i pobiegł prędko.

Nabywca Hadassath biegał jak obłąkany; rwał sobie włosy, bił niewolników i niewolnice i wrzeszczał, jakby go ze skóry obdzierano.

Tancerki i muzykanci skakali z bólu i przerażenia, uderzani biczem rozgniewanego pana.

— Co się stało?—zawołał Aminadab zadyszany.

— Niestety, pasterzul zginęła dziewczyna, za którą zapłaciłem drogo.

— Przecz-że to nieszczęście?

¹⁾ Naara—dziewczę.

— Straciłem pieniądze, wystawiłem się na pośmiewisko. Ktoś zawistny ukradł ją.

— Trzeba szukać!—zawołał Aminadab.

— Prawdę rzekł—powtórzono—trzeba szukać.

— Gdzie szukać?—biadał kupiec.

— Wszędzie, w namiotach, w obozie, w gąszczu drzew...

— Minę srebra temu, kto ją znajdzie!—krzyknął kupiec.

Aminadab w jednej chwili zarządził poszukiwania. Rozesłał młodzież w różne strony; wyznaczył stanowiska; wydał rozkazy, sam zaś wpadł do swego namiotu, porwał procę, kij pasterski, torbę, nieco żywności i pobiegł do tality. Wziął ją na ręce i zaczął biedz, jak jelen ścigany przez myśliwych.

Grunt był tu nierówny; zarośla gęste; ptaki i jakieś małe zwierzątka czmychały przed nim.

Aminadab był zwinny i silny, a podczas pobytu między pasterzami nabrał wielkiej wprawy w chodzeniu po wzgórzach i zaroślach. Talita jednak ciężyla mu bardzo.

Posadził więc ją na ziemię, ażeby odpocząć chwilkę.

Obejrzał się i zdawało mu się, że go ktoś goni. Porwał czempredzej Hadassath, posadził na ramionach i zaczął biedz pod górę. Pot zalewał mu oczy; nogi plątały się w gęstych powojach, ale on biegł. Słyszał za sobą wołanie:

— Aminadabie, Aminadabie, poczekaj, nie opuszczaj mnie!

Poznał głos Sarwii. Przyśpieszył kroku.

Niebawem stanął na szczycie góry i zaczął spuszczać się w dolinę. Głos biednej Sarwii wkrótce znikł za górą.

Było południe, gdy zbiegowie odważyli się odpocząć nieco dłużej. Usiedli pod rozłożystym jaworem; Aminadab wyjął z torby chleb, oliwę, kawał pieczenia baraniej; smakowało im to bardzo.

Hadassath nie czuła znużenia. Była wesółą, śmiała się, bawiła ją ucieczka i wszystko, co ją otaczało, a zwłaszcza rola chłopczyka.

Zajadała z apetytem.

Aminadab patrzył na nią z podziwem; tak wyrosła i wypiękniała wśród pasterzy. Miała wprawdzie lat osiem; a to wiek nie mały.

— Co się działo z tobą, Hadassath?

— Nie wiem. Usiadłam nad strumieniem i spałam długo... Przebudziłam się dopiero w chacie pasterza, który mnie sprzedał.

— Co robiłaś u niego?

— Pałam małe jagnięta.

— Czemuż cię sprzedał?

— Mówił, że szkoda mnie marnować w górach, że powinnam mieszkać w pałacu króla.

— Zbój—szepnął Aminadab przez zaciśnięte zęby. — Ale dobrze się stało, że cię sprzedał, bo inaczejby cię nie znalazł.

— A gdzie *emi*? ¹⁾.

— Nie wiem. Jak poszedłem od was, to już nie mogłem wrócić. Błąkałem się długo, aż mnie ludzie dobrzy przygarnęli.

Hadassath zasmuciła się. Łzy zaczęły płynąć jej z oczu.

— Ciągłe płakałam do matki. Żona pasterza mówiła mi zawsze, że matka się odnajdzie, a oto jej niema.

— Nie smuć się, Hadassath — pocieszał Aminadab — znalazłem ciebie, znajdę i matkę. Zrobiło się tak, jak Bóg chciał. Płacz nam nie pomoże. Bóg nas zasmucił, Bóg nas pocieszy.

— A kiedy znajdziesz matkę?

— Może dziś, może jutro, może za rok. Tego wiedzieć nie można. Nie myślałaś wczoraj, że dziś

) Emi—matka.

będziesz ze mną, a oto jak Pan Bóg zrządził... Myślmy teraz o sobie.

I prawdę mówił; bo położenie ich nie było godne zazdrości. Dokoła puszcza, napełniona obcymi poganami i dzikimi zwierzęty, nie budziła zaufania. Proca kamienna, kij pasterski, zaostrzony, to ich oręż, torba — majątek. A dokąd pójda? Na kogo trafią? Czem się żywić będą jutro, pojutrze?

Było więc nad czem myśleć.

Aminadab jednak bardzo się nie troszczył. Ufał Opatrzności Bożej; wierzył mocno, że jeżeli taka wola Boża — to zgina, a jeżeli nie — to niema się czego martwić.

Po długim odpoczynku poszli dalej.

Posuwali się biegiem strumyka, trzymając się pilnie jego brzegów. Skręcali też za nim, to w prawo, to w lewo. Po obu stronach piętrzyły się wzgórza, pokryte gęstym lasem.

Upał był wielki; promienie słoneczne zlewały się na ziemię potokami.

Popielate szarańcze ksykały w kępach nad potokiem; z dalszych kęp dochodziły nawoływania ptaków; naokoło rozlegały się najrozmaitsze głosy małych zwierzątek.

Aminadab opowiadał różne przygody ze swego pobytu wśród pasterzy: o kupcach izraelskich, którzy mieli wracać, o Mukinii i o Sarwii. O tej mówił dużo i z zapalem. Gdy powiedział, że to ona ich goniła, że chciała z nimi uciekać, Hadassath zawołała:

— Czemuś jej nie wziął? byłoby nam weselej we troje.

— Onaby nam przeszkadzała—odpowiedziała;—ona poganka, ma rodziców, wioskę i kraj; a my biedne sieroty, wygnańcy z ojczystej ziemi. Onaby tęskniła do swoich gór, a my tęsknimy do Jerozolimy. Ona się modli do słońca, księżyca, Baala, Molocha, Athozy i innych bogów, a my czcimy Jedyne Pana,

który wszystko stworzył. Ona nie dla nas, Hadassath!

Okolica zaczęła się zmieniać. Góry ustąpiły miejsca wzgórzom lesistym.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Lekki wietrzyk odświeżał powietrze.

Czasem zrywało się tuż prawie z pod nóg stado ptactwa; czarne wiewiórki dawały nurka pod ziemię; na wszystkie strony pierzchały zające i króliki.

Szli, rozmawiając swobodnie, jakby byli najszczęśliwsi w świecie i jakby nie groziło im żadne niebezpieczeństwo i nie zauważyli, że słońce już znikło za widnokregiem.

Dopiero gdy noc zapadła, opanował ich niepokój. Należało myśleć o noclegu.

Mrok ogarniał ziemię coraz większy. Miejscami było zupełnie ciemno i wcale straszno. Na górze słychać było jakby szum drzew, których z dołu nie mogli dojrzeć.

Szli ostrożnie, przytuleni do siebie.

Niebawem usłyszeli tętent konia. Jechał za nimi jakiś jeździec.

Aminadab przeraził się bardzo, bo przyszło mu do głowy, że to kupiec ich ściga. Porwał dziewczynę w ramiona i ukrył się w krzewinie.

Ale jeździec szybko pomknął dalej.

Talita była bardzo zmęczona. Drżała, jak listek...

— Boisz się, Hadassath?—zapytał Aminadab.

— Nie—odrzekła cicho—spać mi się chce.

Owinął ją dywanem i ułożył na trawie.

Zasnęła.

Aminadab czuwał.

Noc była ciepła; księżyc wyjrzał z za gór. Przy jego świetle wszystko wydawało się jakieś dziwaczne, tajemnicze. Wietrzyk ucichł zupełnie; dokoła było spokojnie. Z jednej strony dolatywały głosy ludzkie

i szczenie psów—znak, że była tam wioska, z drugiej pomruk dzikiego zwierza.

Raz lub dwa razy zdawało się Aminadabowi, że widzi w oddali świecące ślepie, które go wypatrują. Przytulał wtedy do piersi dziewczynę jedną ręką, a drugą ścisnął swój kij pasterski...

Świerszcze zgrzytały w trawie, a drzewa dokoła lśniły tysiącem zielonych błyszczących światełek. To świętojańskie robaczki, które, jak małe spadające gwiazdki, przelatywały z jednego drzewa na drugie.

Talita spała, i Aminadabowi sen oczy skleił. Zasnął twardo i zapomniał na chwilę o wszystkich troskach i niebezpieczeństwach, jakie go czekały.

Nad ranem się obudził. Rosa obficie go zwiżyła. Przeciągnął się i ziewnął głośno.

Nad strumieniem unosiły się opary; wierzchołki dalekich wzgórz lśniły czerwonością, ozłoczone promieniami wschodzącego słońca. Życie wrzało już wśród skrzydlatych mieszkańców leśnych.

Hadassath spała przy kamieniu. Z otwartych jej ust wydobywało się ciche chrapanie, skutek snu na rosie. Aminadab wziął ją na ręce i posadził na kolanach. Głowa jej opadła mu na piersi; przyłożył usta do jej ucha i szepnął:

— Hadassath! Hadassath!

Otworzyła oczy.

Zdziwiona patrzyła na niego, na swój ubiór pastuszka, i rzekła:

— Gdzie jesteśmy?

— W lesie—zawołał wesoło.

— Co tu robimy?

— Uciekamy.

— Uciekamy? Dokąd?

— Pod opiekę Bożą!

— Aha!—zawołała, przecierając oczy—wczoraj uciekaliśmy od tych pogan, którzy zostali tam, w górach.

— Tak, Hadassath, zostali i nie znajdują nas.

— A my dokąd pójdziemy?

— Bóg nas zaprowadzi, Hadassath. Może znajdziemy w bliskości jaką wioskę; wypytamy się o Babil i pójdziemy do Mardochai, twojego stryja.

— Może tam znajdziemy emi?

— Prawdę rzekłaś — tam napewno jest matka twoja.

— Widziałam ją dziś we śnie i tę Sarwię, pogankę. Tak mi było dobrze z niemi. Szkoda, że nie spała dłużej.

Aminadab się roześmiał i rzekł:

— Trzeba ruszać w drogę, bo mało mamy chleba i oliwy, a jak nie znajdziemy prędko ludzi, to umrzemy z głodu w lesie.

Poszli.

Ranek był piękny. Ptaki świergotały na gałązkach, rosa błyszczała na trawie; bobaki pokazywały główki i zaraz uciekały w nory.

Ta piękność przyrody, to życie, jakie powstało z ukazaniem się słońca, wpawiło w dobry humor małych wędrowców. Szli, wesoło rozmawiając.

— Nie umrzemy z głodu—wołała Hadassath.— Jest tu dużo owoców, które możemy jeść.

Około południa wyszli na drogę szeroką.

Szło nią mnóstwo ludzi na północ. Jedni prowadzili osły obciążowane, inni ciągnęli wózki, a jeszcze inni sami dźwigali skóry, owoce i inne rzeczy.

Aminadab dowiedział się, że dążą do wielkiej rzeki, przy brzegu której zatrzymali się kupcy, płynący na Wschód.

Wiadomość ta ucieszyła go bardzo, bo słusznie się spodziewał, że między kupcami mogą być jego rodacy, a może nawet i Aszer i Sadok. Przyłączył się więc skwapliwie do karawany i miał już plan gotowy. Postanowił w jakibądź sposób jechać z kupcami, choćby byli zupełnie obcy. Bo jeśli jada na Wschód, myślał, więc albo do Babilonu, albo w jego

okolice. A jemu nic teraz nie pozostawało, jeno dostać się do tego miasta.

Naczelnik, czy przewodnik karawany, przyjął ich chętnie. Wypytywał, z kąd pochodzą i dokąd idą. Aminadab opowiadał mu długo i w sposób taki, że człowiek ten zrozumiał, iż pragną się widzieć z kupcami, z którymi się widzieli przed rokiem.

Na noc zatrzymano się w lesie. Rozbito kilka namiotów. Dwóch silnych mężczyzn tarło dwa kawały drzewa, aż się zapaliły; rozniecono ogniska, przygotowano wieczerzę.

Naczelnik karawany zajmował się bardzo troskliwie naszymi zbiegami; zaprosił ich do wieczerzy, a potem wyznaczył nocleg w swoim namiocie. Był taki uprzejmy, słodki, że to obudziło niedowierzanie w umyśle Aminadaba.

— Coś w tem musi być — myślał, leżąc cicho w namiocie i udając, że śpi.

Hadassath spała, ale on czuwał i dobrze na tem wyszedł.

Gdy się już wszystko dokoła uciszyło, usłyszał zbliżające się kroki i cichą mowę za płótnem.

— A co zrobisz z pastuszkami, Bel?

— Sprzedam kupcom—odrzekł ktoś drugi.

Aminadab poznał głos naczelnika.

— Odstąp mi starszego — mówił głos pierwszy.

— Na cóż ci starszy?

Oddalili się i Aminadab nie mógł dosłyszeć dalszej rozmowy. Niebawem jednak wrócili i znów usłyszał głos Bła:

— Nie, nie mogę; to tęgi chłopak; zyskam na nim wiele.

Znów odeszli, i głosy ich zaczęły cichnąć w oddali.

— Wszelka wiadomość — pomyślał Aminadab— przydać się może w życiu. Pan mnie ma w opiece. Dzięki Mu za to.

Wczesnym rankiem ruszoło w dalszą drogę.

Aminadab, chcąc zyskać zaufanie Bela, zaczął grać na kinnorze i śpiewać; potem opowiedział mu, że jest zbiegiem, że chce poszukać sobie pana i że pragnąłby u niego pozostać na zawsze.

Syryjczyk uwierzył mu i Aminadab zajął się zaraz jego osłem.

Około południa ukazała się rzeka wielka, majestatyczna, prawdziwa *nahar-naharim* ¹⁾). Nad brzegiem było mnóstwo ludzi i zwierząt.

Aminadabowi przypomniawszy się obóz babiloński, tylko tamten był bez porównania większy. Serce drżało mu w piersi, bo zwątpił, czy będzie mógł spełnić swoje plany. Gdzie i do kogo się udać? Jak wyszukać kupców, jak do nich przemówić, jak się ukryć przed Belem?

Należało działać szybko i ostrożnie.

Udał więc ogromnie zaniepokojonego i prosił Bela, ażeby pozwolił mu obejrzeć tyle nowych rzeczy.

Bel zgodził się, i Aminadab pobiegł do kupców.

Błąkał się po brzegu, zaglądał wszędzie, wcisnął się w tłum zbity, ale nie znalazł nikogo, do kogo by się mógł zwrócić. Zeszło mu do wieczora. Wracał smutny do Bela i wytężał myśli, co dalej robić.

Nagle oko w oko stanął przed nim Aszer. Aminadab wydał okrzyk radości.

— *Szalom leda, beni?* ²⁾ — rzekł Aszer.

— *Szeal leszlom, abi!* ³⁾ — wyjąkał Aminadab i rękę przycisnął do serca, które biło gwałtownie.

— Co tu robisz?

— Szukam schronienia przed poganami.

— Ścigają cię?

— Chcą mnie sprzedać do niewoli. Kup mnie więc, albo zabierz z sobą do Babilu.

) Wielka rzeka.

²⁾ Jak się masz, synu?

³⁾ Życzę zdrowia, ojcze?

— Bóg z tobą, Aminadabie, bo takie, zdaje mi się, masz imię.

— Takie.

— Schroń się na mój statek, a nikt cię tam szukać nie będzie.

— Dziękuję ci, panie, ale nie jestem sam.

— A któż jest z tobą?

— Braciszek, którego nie opuszczę.

— Masz brata?—zapytał Aszer zdziwiony.

— Jest to talita, o której ci mówiłem. Dla niej to uciekłem od pasterzy; przebrałem ją za chłopca, a teraz chcą nas poganie oboje sprzedać.

— Przyjdźcie więc oboje wieczorem, przygotuję wam schronienie. Idźcie brzegiem rzeki i patrzcie na statki; na którym ujrzycie czerwoną chustkę powiewającą, tam wejdźcie.

Aminadab przybiegł do Bela rozpromieniony. Opowiadał mu o tem, co widział, co mu się podobało, zwłaszcza o dziwacznych statkach.

Bel uśmiechnął się złośliwie.

— Może chciałyś z nimi jechać?—zapytał.

— O, tak, jeżeli tylko pozwolisz, panie.

— Jutro się namyszę—odrzekł, zmrużywszy lewe oko—a teraz idź spać.

— Ciesz się, głupi poganinie, żeś mnie oszukał. Będiesz ty się jutro wściekał ze złości — pomyślał Aminadab i zaśpiewał głośno przy dźwiękach kin-noru:

Ciebie ja, Boże niestworzony!
Wyznawać będę na wsze strony,
Imienia Twego nie przestanę
Wielbić, aż kiedy ustane.

Wielka nademną łaska Twoja,
Prawieś mnie wrócił od podwoja
Piekielnej furty, abym wieczny
Oglądał jeszcze krąg słoneczny.

Lecz oto znowu na mnie wstali
Swawolni ludzie i zuchwali,
Chcą mnie pozbawić duszy mojej
A tam bojaźni nie masz twojej.

Ale Ty, wielce dobrotliwy!
Ty miłosierny, litościwy!
Ty — mówię — skąpy w rozgniewanie,
A nieprzebrany w litowaniu!

Ty wejrzyj na mnie, a w trudności
Dodaj mi serca i stałości,
Pomóż mi, Panie, słudze swemu,
Niewolnikowi pomóż Twemu.

Włóż na mnie jawny znak twojej chęci,
Na który patrząc, niech przekłēci
Ludzie się gryzą, żeś ratował
I mnie tyraństwa ich zachował¹⁾.

Ucichły targi i sprzeczki; wszyscy wokoło słuchali srebrnego głosu chłopca, a gdy przestał śpiewać, wzniosła się na jego cześć burza okrzyków.

Bel tymczasem rozmawiał już z jednym z kupców o sprzedaż Aminadaba. Targ był zacięty, bo chłopiec podobał się wszystkim i kupiec miał ogromną chęć nabycia go.

Aminadab udawał, że niczego się nie domyśla; był wesół, śmiał się, śpiewał. I mógł naprawdę cieszyć się, bo chociażby nawet został sprzedany, to przecie pojedzie z kupcami, między którymi jest Asur, jego rodak, który nie da mu, jak się spodziewał, zrobić krzywdy, ani Hadassath, o którą mu głównie chodziło.

Noc nie uciszyła gwaru zupełnie. Jutro ze wschodem słońca kupcy odpłyną, a tu niejeden miał jeszcze wiele do załatwienia. Przy świetle więc ognisk i księżyca kończono targi. Bel jednak spał spokojnie; widocznie dobrze poszły mu interesy;

¹⁾ Psalm 85.

a może miał zamiar wstać rano, aby przy odjeździe wręczyć sprzedanych chłopców.

Aminadab nie dociekał przyczyny tego snu, ale gdy się przekonał, że może ujść niepostrzeżenie, wyszedł z Hadassath i znalazł schronienie na statku, na którym powiewała chustka czerwona.

Niebawem też ruszono w drogę.

Ze dwadzieścia statków odbiło od brzegu i popłynęło naprzeciw wschodzącemu słońcu.

Były to okrągłe kosze, splecione z łożyny i gałązek wierzbowych i obszyte skórą. Każdy mógł udźwignąć pięć tysięcy talentów. Naładowane były przeważnie winem i drogiemi tkaninami fenickiemi. Na spodzie każdego była warstwa słomy, na niej ułożone towary porządnie, które znów przykryto słomą.

Na każdym takim statku byli dwaj wioślarze i jeden lub kilka osłów.

Kupcy i ich najemnicy zbrojni mieli dla siebie dwa inne statki, które były zupełnie inaczej urządzone: na dziesięciu worach skórzanych, wydętych powietrzem, leżał pokład z cienkich desek; na pokładzie był namiot w rodzaju ogromnej karety, z wielkimi otworami po bokaah, które mogły się zawieszać płóciennemi zasłonami. Wnętrze namiotu, wyłożone dywanami i poduszkami, mogło pomieścić kilka osób. Dwaj wioślarze siedzieli w tyle za namiotem i długimi wiosłami, zakończonemi deską trójkątną; utrzymywali ster.

Statki te były bardzo lekkie i bezpieczne.

Pieniące fale prędko unosiły flotyllę od miejsca spoczynku; brzeg, na którym zostali ludzie, zasunęła mgła; od rzeki pociągał chłodny wietrzyk. Krzyk wioślarzy, ryk osłów i szczekanie psów mieszały się z głosami przebudzonego w nadbrzeżnych gąszczach ptactwa.

Aminadab miał wielką ochotę pokazać się poganom, między którymi Bel miał zapewne rzadką miłą, ale Aszer nakazał mu zostać w namiocie, bo nie

chciał narażać się nadbrzeżnym mieszkańcom, z którymi mógł się spotkać jeszcze nieraz.

Odprawili więc modlitwy poranne, wedle zwyczaju żydowskiego, a potem zasiedli razem z Hadasath do śniadania. Przyjemnie im było w tym płynącym namiocie, przy dźwiękach mowy ojczystej, przyjmować pożywienie; robiło to wrażenie, jakby byli w swoim kraju.

Aszer był wesół, bo ta wyprawa przyniosła mu znaczne zyski. Wiele zarobił na indyjskich towarach, które wioził na wielbłądach, a te towary fenickie, które wiezie na łodziach, kupił bardzo tanio. Obliczał już wielkie korzyści.

Aminadab cieszył się, jak małe dziecko, bo czyż mógł żądać więcej nad to, co go spotkało. Śmiał się do rozpuku na wspomnienie Bela...

— Co on teraz robi, ten przebrzydły poganin? Może szuka nas w zaroślach? a może bije się z tym swoim wspólnikiem?... A niech się zabijają te psy pogańskie, wilki drapieżne, bydło, nie ludzie!!

Porwał kinnor, uderzył w struny i zaśpiewał do Boga:

Włóż na mnie jawny znak swej chęci,
Na który patrząc niech przekłęci
Ludzie się gryzą, żeś ratował
I mnie tyraństwa ich zachował...

— A niech się gryzą! — wołał — ci zbójce! Zamiast przygarnąć sieroty wygnane ze swej ojczyzny, oni zaraz je sprzedają. Byle im się działo dobrze, a inny niech jak pies na łańcuchu marniejel

Znów zaczął śpiewać. Aszer i Hadassath pomagali.

Woda szumiała pod statkami; wiosła pluskały w tyle.

Na innych statkach też rozległy się śpiewy na różne melodie i w różnych językach.

— Dzięki Ci, o Pani! — rzekł Aminadab, od-

kładając kinnor—żeś mnie wyrwał z rąk pogańskich! Dzięki, żeś zesłał Hadassath, która odwróciła me serce od Sarwiil! Dzięki Ci, żeś kierował me kroki w czasie ucieczki, iż znalazłem to, czego pragnęła ma dusza. Obyś tak zaprowadził mnie do świętego miasta Jeruszałaim.

— Jęczą nasi w niewoli — westchnął Aszer, wzdychając do wolności—ale kto wie, czy kiedy tego szczęścia dostąpią.

— Dlaczego tak myślisz?

— Bo Nabuchodonozor zamyśla o nowej wyprawie przeciw królowi judzkiemu i jest obawa, że zniszczy święte miasto.

— Mogłaby to być prawda?

— Skoro prorocy przepowiedzieli niewolę, to niewola być musi. Bóg chce, aby naród się w niej odrodził.

— Oby się odrodził, a nie zginął!

Aszer potrząsnął głową.

— Nie zginie — rzekł. — Na to kładę złoto w ogień, żeby się oczyściło — na to Pan Bóg posyła naród do niewoli, aby się odrodził.

— Ciężko żyć w niewoli—rzekł Aminadab.

— Mój chłopcze, jeszcześ nie zaznał, co to jest prawdziwa niewola, a już narzekasz. Wiedz jednakże o tem, że im niewola cięższa, tem zbawienniejsza dla narodu.

— Tak mówisz?

— Nie inaczej. Gdy nam ciężko w niewoli, wzdychamy do wolności. A że samo wzdychanie mi nie pomoże, przeto czynimy wszystko, aby wolność odzyskać. Zastanawiamy się nad tem, co nas zgubiło; rozstrząsamy te cnoty, które nas czyniły narodem wielkim i staramy się tych wad pozbyć, a cnoty nabywać. Gdy nas niewola gniecie, życie nam brzydnie, gardzimy niem, nie dbamy o nie, i dlatego nie cofamy się przed żadną ofiarą, byle wyrwać się z tej

niewoli, lub przynajmniej naszym dzieciom i wnukom swobodę zapewnić.

Aminadab się zamyślił, a Aszer mówił dalej:

— Gdy zaś niewola nie jest ciężka, człowiek powoli przyzwyczaja się do niej i nie pragnie wolności, a przynajmniej nie robi dla jej odzyskania. Niestety, są między nami tacy, którym podobają się obrzędy pogańskie; są, którzy biorą za żony poganki, którzy zapewniają, że są Hebreami i uważają, że im dobrze w niewoli.

— Są tacy?—zadziwił się Aminadab.

Ale zaraz zarumienił się, bo przyszła mu na myśl Sarwia, dla której o mało nie spoganiał.

Aszer zaś westchnął głęboko i rzekł:

— O, jak wiele ich jest!

— Przekleństwo im i hańba na wieki! — zawołał Aminadab z zapałem, a w duszy dziękował Jehowie, że go od tej hańby uchronił.

Spojrzał przytem z wdzięcznością na Hadassath, która go z niebezpieczeństwa wybawiła.

Aszer przyglądał mu się z przyjemnością i zapytał:

— A ty nie zaprzesz się swej wiary i swego pochodzenia?

— Nigdy! — odrzekł z przekonaniem. — Żywie Bóg Abrahamów, Izaaków i Jakubów — nigdy!

— Niech Pan błogosławi twoje słowa, benil — odparł Aszer.

Na rozmowie czas prędko schodził.

Hadassath w odzieży chłopca pasterskiego siedziała na brzegu namiotu i z wielką ciekawością przyglądała się nadbrzeżnym widokom, które się ciągle zmieniały. Od czasu do czasu wydawała okrzyki zdziwienia lub radości, gdy zobaczyła jakiegoś ptaka nieznanego, to znów zwierzęta pijące wodę.

Wioślarze śpiewali i rozmawiali głośno, nawołując się wzajemnie; osły przeraźliwym rykiem napełniały powietrze.

— Jak się ta rzeka nazywa? — zapytał Aminadab.

— Nazywają ją Eufrat; dochodzi do samego Babilonu, a dalej aż do wielkiego morza. Tam na północ płynie druga taka rzeka, nazywa się Diglat. Na jej brzegach leżało miasto Asyryjczyków — Niniwa. Było bardzo wielkie i bardzo piękne, ale Kijaksares, król Medów i Nabul-bal-ussur, namiestnik Babilonu, oblegli Niniwę; król asyryjski, Assur-identili, spalił się w swoim pałacu, a Niniwa została zupełnie zniszczona. Dziś tylko gruzy zostały, a szatani po nocach wyją, jak głodne szakale.

Nastało milczenie.

Aszer i Aminadab dumali, wreszcie Aminadab zapytał:

— Powiedz mi, abbi, dlaczego ludzie tak się mordują?

Aszer nie umiał odpowiedzieć, bo nigdy się nad tem nie zastanawiał. Mózg jego, zajęty kombinacjami handlowemi, nie dotykał podobnych zagadnień. Wiedział, że ludzie są krwiożerczy, że dla własnego zysku lub ambicyi napadają, rabują, mordują, znęcają się bez miłosierdzia. Wiedział, że człowiek każdy myśli tylko o sobie, a inny niech marnie przepada. Uważał to jako podłość, nikczemność; ale nie myślał nigdy rozwiązać pytania: dlaczego to? dlaczego człowiek czyha na człowieka, jak na przykład hyena, lew i inny zwierz drapieżny czyha na baranka lub kozę? Jednakże trzeba było coś odpowiedzieć, więc po długim namyśle zapytał:

— Powiedz mi, Aminadabie, co byś ty robił, gdyby ci tak Pan dał siłę sto razy większą, niż miał Samson?

— Pozabijałbym wszystkich pogan! — zawołał bez namysłu Aminadab.

Aszar uśmiechnął się i rzekł:

— Pytasz, na co się ludzie gubią, a sam byś wygubił pogan!

— To co innego—odparł chłopiec.—Poganie zabili mi ojca, zamęczyli matkę, zabrali mnie do niewoli. Byłem wolny i szczęśliwy; oni zrobili mnie niewolnikiem; byłem bogatym, oni zrobili mnie nędzarzem i tułaczem i muszę im służyć; miałem ojczyznę i rodziców — oni uczynili mnie wygąncem i sierotą. Jabym ich zabijał, żeby już więcej nie napadali na ludzi niewinnych.

Aszer podrapał się w głowę, pomyślał i rzekł:

— Ludzie są, mój chłopcze, źli. Patrz, oto my, kupcy, pracujemy i pracujemy ciężko, a tymczasem rozmaici ludzie czyhają na nas, gotowi każdej chwili zrabować nasze mienie. Widziałeś, ilu to ich zebrało się na brzegu. Myślisz może, iż przyszli tam dla handlu. Ależ nie, to są złodzieje i oszuści.

— Pewnie, że złodzieje, kiedy chcieli nas sprzedać!—przerwał Aminadab.

— Widzisz więc; zachowali się spokojnie, bo nas było dużo i dobrze uzbrojonych. Ale to nie koniec. Dziś lub jutro mogą nas napaść rozbójnicy, mogą nas pozabijać, lub zabrać do niewoli, a towary nasze zabrać, jakby swoje własne... A ile tu razy trzeba się opłacać urzędnikom chaldejskim i perskim, którzy obdzierają nas ze skóry—którzy niekiedy gorszą się od samych rozbójników. Kupiec wciąż się waha między bogactwem i niewolą lub śmiercią.

Podróż była przyjemna, lecz bardzo jednostajna. Brzegi usiane wzgórzami, poszarpanymi w tysiączne wąwozy, przedstawiały się malowniczo. Roślinność była tak obfita, że niekiedy ginęły brzegi i zdawało się, że drzewa i krzewy wyrastają z wody.

Na wysoko położonych pastwiskach snuły się gromady gazeli, które spokojnie przyglądały się podróżnym. Niekiedy całe ich stada gasiły pragnienie na brzegu, a wówczas kilkadziesiąt strzał świsnęło w powietrzu i biedne zwierzęta ginęły wśród drzew, zostawiając na placu jedną lub więcej swoich towarzyszek w śmiertelnych podrygach. Statek strażniczy

zatrzymał się wśród wesołych okrzyków i zabierał zdobycz, z której przygotowywano prawdziwą ucztę wieczorem.

Widziano też często szakala, lwa lub nosorożca. Na drzewach i w powietrzu było mnóstwo rozmaitego ptactwa; w wodzie zaś tysiące ryb i rybek, które goniły się, płynąc za statkiem.

Aminadab wtajemniczał się w sprawy handlowe i był dzielnym pomocnikiem Aszerowi.

Ósmego dnia flotylla zatrzymała się na noc na polance, pokrytej zieloną murawą. Statki poprzywiązywano do drzew nadbrzeżnych, osły wypuszczono na pastwisko i zajęto się rozpalaniem ogniska. Jedni zbierali suche drzewo, inni tarli kawały drzewa jeden o drugie dla wywołania ognia, a jeszcze inni ćwiartowali zabite gazelle i przygotowywali naczynia.

Miejsce było przyjemne. Rosły tu olbrzymie dęby i jawory; jakaś mała, ale głęboka rzeczka wpadała do Eufratu; opodal czerniały wzgórza, okryte gęstym lasem.

Niebawem zapłonęły ogniska; zawieszono nad niemi ćwiartki mięsa i przyjemny zapach rozszedł się dokoła.

Wszyscy, którzy nie mieli zajęcia, zasiedli przy ogniu, wesoło gawędząc lub śpiewając.

Aminadab uderzył w struny kinnoru i miał zaśpiewać psalm, gdy naraz psy zerwały się, najeżyły sierść i zaczęły warczeć.

Zapanowało milczenie.

Nagle, jak huragan, wypadło kilkadziesiąt ludzi z zarośli w i mgnieniu oka uderzyło na obozowisko.

Powstał krzyk, jęk, zamieszanie.

Aminadab porwał na ręce Hadassath i zaczął biec do swego statku; podążył za nim Aszer.

Odwiązali powrozy i zaczęli odpychać się na wodę, gdy kilku zbójców z pokrwawionymi mieczami uderzyło na nich.

— Poddajcie się!—wołał dowódca.

Aszer upadł na kolana; ale Aminadab wyrwał uderzającemu na niego zbójowi miecz i zwałił go do wody, innego przebił na wylot, lecz uderzony sam silnie, upadł skrwawiony na twarz.

Hadassath krzyczała w niebogłosy.

Walka przy świetle ognisk trwała krótko; połowa załogi broczyła we krwi, inni zostali powiązani.

Aminadabowi skrępowano ręce, a na szyję włożono rozczepiony drażek — w rodzaju wideł. Drugi koniec tego drażka ścisnął szyję innego jeńca, i tym sposobem obaj stanowili jedną nierozdzieloną parę.

W takie pary powiązano prawie wszystkich, którzy pozostali przy życiu.

Aszer skrępowany leżał w namiocie; Hadassath siedziała przy nim. Nie krzyczała już, bo bicz zbójceki uciszył ją.

Pogaszono ogniska i zalegała noc ciemna.

Statek popłynął.

Aminadab siedział spokojnie, bo przy najmniejszym poruszeniu widły ocierały mu skórę na szyi i sprawiały ból piekielny. Myśli jego były okropne; a piersi rozsadzał taki wściekły gniew na zbójów i na cały świat, który mu się przedstawił teraz jako jedna okropna jaskinia zbójcka, że prosił Pana o śmierć.

Gdyby miał ręce rozwiązane, połamałby ten drażek piekielny i biłby się ze zbójami, choćby go mieli w kawały porąbać, albo wskoczyłby do wody.

Statek tymczasem skręcił na lewo i zatrzymał się przy ujściu dopływu. Były tu ukryte płaskie, długie czółna, do których zaczęto przerzucać jeńców.

Aminadab, pchnięty na dno jednego z czółen, upadł na leżącą tam niewiastę. Padając, zranił jej widłami okropnie twarz. Nieszczęśliwa zaczęła przerażliwie wrzeszczeć i gryźć go zębami.

Aminadab zawył z bólu i wściekłości i zaczął okładać biedaczkę pięściami.

W tej chwili śmignął bicz w powietrzu i okro-

pnym krzyk przedarł powietrze; na grzbiecie Aminadaba i na twarzy sąsiadki ukazały się rany. Rozległo się drugie uderzenie bicia i zapanowała cisza.

Aminadab zatkał usta końcem ketonetu, by nie wydać jęku; zsunął się ostrożnie z nieszczęśliwej niewiasty, która też nagle zamilkła i tłumiąc ból i wściekłość, prosił pocichu Boga, aby uchronił Hadassath od podobnych cierpień.

Jencom podano wiosła i kazano wiosłować.

Było to okropne — bo wskutek poruszenia, jakie każdy czynić musiał przy wiosłowaniu, widły czyniły na szyjach rany, a przez ciągłe tarcie rany stawały się coraz głębsze i ból coraz dotkliwszy.

Ale nikt nie jęknął nawet; tylko ciche westchnienie i zgrzytanie zębów świadczyły o strasznej męczarni, jaką ta praca zadawała. Strach przed batem tamował wszelkie głośniejsze objawy.

Pod osłoną nocy ruszyły łodzie w górę rzeczki. Uderzenia wiosel były ciche, miarowe. W nadbrzeżnych lasach rozlegał się wrzask ptactwa wodnego i ryk dzikich zwierząt. Wysoko na drzewach, nieraz tuż nad głowami jakieś ptaki, czy inne stworzenia jęczały: oj, oj, oj, oj! a szakale płakały, jak małe dzieci.

Nad ranem zatrzymano się. Powypędzano jeńców z czółen, ustawiono w rzędy, zaprzężono do długiej liny, do której przyczepiono łodzie i kazano ciągnąć.

Ciągnął każdy, ile mu sił starczyło; jednakże bicz był ustawicznie w robocie. Kto jęknął, bat w jednej chwili spadał na jego plecy.

Jakże zmienili się ci ludzie w ciągu kilku godzin. Niedawno zdrowi, weseli, zadowoleni, szli teraz pokrwawieni, smutni, głodni. Niedawno wesoła pieśń unosiła się nad ich głowami, a teraz świszczą bice zbójckie wśród grobowego milczenia.

Aminadaba nie poznałaby Sarwia, a może i Hadassath. Był nadzwyczaj silny, więc nie odczuł tak

bardzo męczącego pochodu, ale pragnienie i głód szarpały mu wnętrzności; twarz była blada, usta spieczone; z oczu tryskały iskry wściekłego gniewu; z szyi i ramion ściekała krew, która poplamiała wzorzysty ketonet.

Przez cały dzień holowano czółna po bystrej rzece. Na domiar złego słońce dopiekało niemiłosiernie; wielu jeńców padło pod uderzeniami biczów.

Gdy noc zapadła, pozwolono jeńcom odpocząć. Ale lichy to był odpoczynek; więzy nie pozwalały choćby jako tako się ułożyć, a robactwo spać nie dało.

Po bardzo skąpej wieczery siedzieli nasi jeńcy, drzemiąc; a zbójcy spali, tylko strażę czuwały.

Aminadab nie mógł długo oka zmrużyć. Myślał, co się robi z Aszerem i Hadassath, bo nie widział ich od czasu, gdy go pojmano. W końcu sprzykrzyło mu się to położenie; zaczął szeptać do swego towarzysza, z którym go łączyły widły. Opowiedział mu swoje dzieje i prosił go o opowiedzenie swoich. Dowiedział się, że jest Elamitą, urodzonym w Suzie, że nazywa się Ituni, że zaciągnął się do karawany kupieckiej, jako strażnik, mający czuwać nad jej bezpieczeństwem...

— Pięknie czuwałeś, skorośmy się tu dostali?— przerwał Aminadab; ale spostrzegł, że jeden z czuwających rozbójników zaczął nasłuchiwać, zkad pochodzą szepty, więc urwał.

Tak zeszła noc.

Nazajutrz porzucono rzekę; czółna ukryto; obławowano łupami jeńców i osły i puszczone się w drogę wąską i ledwie widoczną ścieżyną.

Las był bardzo gęsty, a grunt błotnisty. Aminadab, nie uwolniony od wideł, dźwigał cienki worek z winem i prowadził objuczonego osła. Drugiego osła trzymał za uzdę Ituni.

Z trudnością posuwano się naprzód; mimo to pochód był prędkie; biecze, świszczące w powietrzu, najwyraźniej przekonywały, że najlepiej wygra ten,

kto się ociągać nie będzie. Pot obfity oblewał Aminadaba, zalewał mu oczy, usta, ale szedł rażno; w dalszy prosił Boga o zemstę nad okrutnymi zbrojcami.

Przed wieczorem zatrzymano się na krótki odpoczynek.

Były tu wzgórza skaliste, okryte bukowym lasem, podszytym taką gęstą krzewiną, że nie było ani kawałka wolnej ziemi, na której możnaby usiąść. Aminadab ze współczuciem patrzył na swych towarzyszków niedoli, zwłaszcza na biednego Ituni, z którym był złączony widłami i pragnął, żeby jak najprędzej ta przeklęta podróż się skończyła.

— A może już nie pójdziemy dalej?—myślał.— Bo i gdzie tu iść? Dokoła góry i zarośla, przez które nikt się nie prześliznie; nigdzie zielonej ścieżyny. Może nas tu zostawia, albo tylko zostaną łupy, a nas wypuszczą na wolność? Daj to Boże! Ale co się dzieje z Aszerem i Hadassath? Nigdzie ich nie widać.

Oglądał się skwapliwie dokoła, nie bacząc, że bicz może spaść na jego plecy.

Rozległy się rozkazy do wyruszania; przewodnik odgarnął krzaki na prawo, za którymi ukazała się ścieżka. Zaczęto się posuwać. Niebawem skrecono na lewo i spuszczone się na dno wyschłego potoku. Była to droga znacznie wygodniejsza, niż ścieżyny leśne, ale pozostawiała wiele, bardzo wiele do życzenia.

Noc już zapadła, gdy pochód zatrzymał się przed wysoką, z grubych palów zbudowaną palisadą. Przewodnik zapłakał, jak szakal, a potem szczeknął trzy razy, jak pies.

Te same głosy odezwały się wewnątrz i natychmiast spuszczone drabinę sznurową.

Zbroje zdejmowali więzy i jeńcy wstępowali jeden za drugim po drabinie.

Aminadab odetchnął swobodniej, gdy mu zdjęto przeklęte widły, i bez wahania wskoczył na drabinę.

Niebawem znalazł się na wielkim dziedzińcu, otoczonym ze wszystkich stron wysokim parkanem.

W czterech rogach dziedzińca stały dość obszerne chaty z desek, przeznaczone dla rozbójników. Wzdłuż ścian parkanu były długie szopy, w których mieściły się konie, bydło, osły, owce, inne zwierzęta i... niewolnicy.

Szopy nie miały ścian, tylko dach, który z jednej strony wspierał się na parkanie, z drugiej na grubych słupach.

Do jednej z tych szop wpędzono jeńców. Było tu pusto, ponuro. Zamiast sprzętów stały rzędem słupy, przy których przybite leżały łańcuchy. Dziesięciu niewolników spoczywało na gołej ziemi. Każdy był przykuty do słupa łańcuchem. Stan ich był przerażający: wychudli, z twarzą zapadłą, w której tylko kości sterczały, mieli na ciele pręgi, jako ślady uderzenia owym strasznym biczem, na wspomnienie którego skóra cierpła Aminadabowi. Wszyscy byli ogłupiali, przygnębieni; leżeli nieruchomo, patrzyli obojętnie, żaden się nie odzywał.

Straszny to był widok.

Aminadab, przywiązany do łańcucha, głodny, zmęczony, spoglądał dokoła.

Na podwórzu gorzało ognisko. Zbójcy siedzieli przy niem, jedząc i pijąc. Dwie kobiety gotowały strawę. Przy ognisku było gwarno i wesoło.

Aszer siedział nieopodal ze spuszczoną głową; Hadassath była przy nim. Widok ich sprawił Aminadabowi niesłychaną ulgę. Cieszyło go niezmiernie, że widzi ich żywych i nieskrępowanych. Patrząc na nich, zapomniał o swoich cierpieniach, jedynie głód nie przestawał szarpać mu wnętrzności. Myślał więc, czy dostanie jeść, a jeżeli dostanie, to czy prędko.

Wtem jeden z jeńców, leżących blisko niego, zawołał rozpaczliwym głosem:

— Pić! pić! dajcie mi wody!

Zbójcy obejrzel się i parsknęli głośnym śmie-

chem, jeden zaś porwał bicz i smagał nim nieszczęśliwego przez plecy. Biedak zaczął wyć przeraźliwie z bólu i Aminadab poznał w nim Itunię, co napełniło go tem większą litością. Bicz świsnął w powietrzu raz, drugi i biedny Ituni zamilkł.

Aminadab przekonał się, że nie ma co myśleć o wieczery; i jakkolwiek głód nie dawał mu spokoju, skierował swe myśli na inny przedmiot. Zaczął więc myśleć o zmienności losu ludzkiego. Jakim-bo zmianom ulegał on sam w ciągu dni kilku? Niespodziewanie uciekł od pasterzy, gdzie był swobodny, a nawet mógłby być zupełnie szczęśliwy, gdyby chciał zapomnieć o swej ojczyźnie i swem pochodzeniu. Szczęśliwie uniknął niewoli, płynął wolny i wesół z Aszerem i Hadassath; marzył o Mardochai, o powrocie do Jeruzalem, a oto jedna chwila i cała jego przyszłość prysnęła. Leży teraz na łańcuchu, jak pies, lub wół niesforny i zazdrości osłom, które swobodnie chodzą po dziedzińcu i nikt ich nie bije. A co jutro będzie! A jakie będzie całe życie jego? Co się stanie z Aszerem, który, niedawno bogaty, zabiegał około powiększenia swych skarbów, a dziś nędzny niewolnik?...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO,





WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

174038

Biblioteka WSP Kielce



0122057